

*Nowa powieść autorki Powietrza, którym oddycha*

Przeznaczone  
nam było  
roztrzaskać się  
o skały...

*Sila,  
która ich  
przyciąga*

Brittainy C. Cherry

Brittany C.Cherry

*Sila,  
która ich  
przyciąga*

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

**FILIA**

*Dla miłości  
i bólu, który ją osłabia.*

*Dla miłości  
i bólu, który ją umacnia.*

# PROLOG

## LUCY

*2015*

Mama zmarła pięć lat temu, ale przed śmiercią coś nam zostawiła. Na werandzie Mari stanął bujany fotel, ponieważ mama nieustannie martwiła się, że umysł środkowej córki zawsze był w ruchu. Mari cały czas zachowywała się, jakby czegoś jej w życiu brakowało, co często doprowadzało ją do popadania w otchłań.

– Jeśli nie przestaniesz wszystkiego przesadnie analizować, twój umysł się przegrzeje, córeczko. Czasami dobrze jest zwolnić – mawiała mama.

Bujany fotel przypominał o tym zwolnieniu, mówił Mari, aby usiadła i poświęciła chwilę na zrozumienie życia, nie pozwalając, by jej umknęło.

Najstarsza Lyric dostała niewielką pozytywkę z tańczącą baletnicą. Kiedy byłyśmy małe, Lyric marzyła o byciu tancerką, ale z biegiem lat porzuciła te plany. Dorastając przy matce, która sama była wiecznym nieposkromionym dzieckiem, siostra nie chciała poświęcić się karierze opartej na pasji. Mama żyła w najbardziej pasjonujący sposób, co często oznaczało, że nie wiedziałyśmy, jaki będzie nasz następny posiłek. Kiedy należało zapłacić za mieszkanie, pakowałyśmy się i wyruszałyśmy ku następnej przygodzie.

Lyric nieustannie kłóciła się z mamą. Wierzyłam, że siostra czuła

się za nas odpowiedzialna, wydawało jej się, że musi matkować własnej matce. Mari i ja byliśmy młode i beztroskie, uwielbiałyśmy przygody, których Lyric nie znosiła. Nie podobało jej się, że nie miała stałego miejsca zamieszkania zwanego domem, nienawidziła braku stabilności w życiu mamy. Wolność była dla niej uwięzieniem w klatce. Kiedy nadarzyła się okazja do wyjazdu, Lyric natychmiast z niej skorzystała, by stać się wziętym prawnikiem. Nie wiedziałam, co stało się z pozytywką, miałam jednak nadzieję, że Lyric jej nie wyrzuciła.

– Tańcz, Lyric – prosiła mama. – Zawsze tańcz.

Mnie mama dała serce.

Przekazała mi mały klejnot, wyszlifowany w kształcie serduszka, który odkąd była nastolatką, nosiła na szyi. Czułam się zaszczycona tym podarunkiem.

– To serce naszej rodziny – powiedziała. – Powierzone przez jedną nieokiełznaną osobę kolejnej. Nigdy nie zapominaj kochać całym sercem, Lucille. Musisz spajać tę rodzinę, wspierać siostry w trudnym czasie, dobrze? Będiesz ich siłą. Wiem to, ponieważ już potrafisz tak pięknie kochać. Dzięki twojemu uśmiechowi najmroczniejsze dusze znajdą światło. Będiesz strzegła tej rodziny, wiem o tym i właśnie dlatego nie obawiam się pożegnać.

Nie zdejmowałam tej zawieszki od śmierci mamy. Tego letniego popołudnia ściszałam ją mocno w palcach, wpatrując się w bujany fotel Mari. Śmierć mamy mocno wstrząsnęła siostrą, wszyscy uważali, że przestała wierzyć w spirytualizm i wolność.

– Była taka młoda – powiedziała Mari w dzień śmierci mamy. Siostra wierzyła, że miałyśmy mieć ją już na zawsze. – To niesprawiedliwe – płakała.

Gdy zmarła mama, miałam zaledwie osiemnaście lat, Mari dwadzieścia. Czułam się wtedy, jakby okradziono nas ze słońca, obie nie miałyśmy pojęcia, co począć.

– *Maktub* – szepnęłam, tuląc siostrę. Słowo to zostało wytatuowane na naszych nadgarstkach, a oznaczało „jest zapisane”. Wszystko w życiu działo się z jakiegoś powodu i w określony sposób, bez względu na to, jak zdawało się to bolesne.

Niektórym historiom miłosnym przeznaczona była wieczność, innym zaledwie jedna z pór roku. Mari zapomniała, że miłości matki i córki pisana była wieczność, nawet jeśli zmieniały się pory.

Śmierć nie powinna wpłynąć na tę miłość. Po odejściu mamy Mari porzuciła swą nieskrępowaną naturę, poznała chłopaka i zapuściła korzenie w Wauwatosie w stanie Wisconsin – a wszystko w imię miłości.

### *Miłość.*

Uczucie, które sprawiało, że ludzie zarówno wznosili się do chmur, jak i upadali na samo dno. Uczucie, które trawiło ludzkie serca, a także spalało ich dusze. Początek i koniec każdej podróży.

Kiedy zamieszkałam z Mari i jej mężem Parkerem, wiedziałam, że nie zostanę na stałe. Pewnego popołudnia mężczyzna zaskoczył mnie, wychodząc z domu. Powietrze tego późnego lata przesycone było wonią chłodu i czającej się w cieniu jesieni. Parker nie słyszał, gdy stanęłam za nim – był zbyt zajęty pakowaniem rzeczy do szarego sedana.

W zaciśniętych ustach trzymał dwie wykałaczki. Granatowy garnitur leżał na nim idealnie, złożona chusteczka zaś wystawała z kieszonki marynarki. Byłam pewna, że kiedy wybije jego godzina, zapragnie zostać pochowany ze wszystkimi swoimi chusteczkami. Było to jego małe dziwactwo, porównywalne z obsesją na punkcie skarpetek. Nigdy nie widziałam, by ktoś prasował więcej chusteczek i skarpetek niż Parker Lee. Mówił, że wiele osób to robi, ale jego definicja „wiele” znacząco różniła się od mojej.

Na przykład według mnie wielu ludzi jadło pizzę przez pięć dni z rzędu, według Parkera natomiast był to nadmiar węglowodanów. Powinno mnie to zaniepokoić, gdy go poznałam. Z czasem pojawiło się sporo znaków ostrzegawczych. Facet, który nie lubił pizzy, tacos lub noszenia pizamy w niedzielne popołudnie, nie był kimś, kogo chciałam spotkać na swej drodze.

Mężczyzna pochylał się nad bagażnikiem i przesuwiał walizki, aby zrobić więcej miejsca.

– Co robisz? – zapytałam.

Zaskoczyłam go, więc podskoczył dobre kilka centymetrów,

uderzając głową w klapę bagażnika.

– Cholera! – Wyprostował się i potarł głowę. – Jezu, Lucy. Nie zauważyłem cię. – Przeczesał palcami potargane jasne włosy i włożył ręce do kieszeni. – Myślałem, że jesteś w pracy.

– Ojciec chłopców wrócił wcześniej do domu – odparłam, mając na myśli moją pracę niani, i jednocześnie zajrzałam do bagażnika jego samochodu. – Jedziesz na konferencję czy coś? Powinieneś być do mnie zadzwonić. Mogłabym wrócić i...

– To znaczy, że nic dziś nie zarobiłaś? – zapytał, przerywając mi i unikając odpowiedzi na moje pytanie. – Jak zamierzasz pomóc? Jak opłacisz rachunki? Dlaczego nie wzięłaś więcej godzin w kawiarni? – Na jego czole pojawił się pot, gdy letnie słońce ogrzewało jego skórę.

– Zwolniłam się z kawiarni już kilka tygodni temu, Parker. Praca tam nie przynosiła profitów. Do tego sądziłam, że jeśli ty pracujesz, ja bardziej mogłabym pomóc na miejscu.

– Jezu, Lucy. To takie podobne do ciebie. Dlaczego jesteś aż tak nieodpowiedzialna? Zwłaszcza teraz, gdy tyle się dzieje? – Zaczął chodzić, gestykulować gwałtownie w złości, złorzecząc i marudząc, z każdą sekundą coraz bardziej mnie dezorientując.

– Co się właściwie dzieje? – Podeszłam do niego. – Gdzie się wybierasz, Parker?

Stanął nieruchomo i spojrzał na mnie znacząco. Coś się w nim zmieniło, irytacja przekształciła się w ukrywane wyrzuty sumienia.

– Przykro mi.

– Przykro ci? – Serce mi się ścisnęło. – Dlaczego? – Nie wiedziałam, co spowodowało tę reakcję, ale moja pierś zaczęła gwałtownie się kurczyć, a przez myśli przewinęła się lawina emocji. Przewidywałam, że jego następne słowa będą wstrząsające. Miał mi złamać serce.

– Nie mogę już dłużej, Lucy. Po prostu nie mogę.

Sposób, w jaki słowa wydostawały się z jego ust, sprawił, że przeszył mnie dreszcz. Powiedział to, jakby czuł się winny, jednak walizki w bagażniku udowodniały, że choć miał wyrzuty sumienia, podjął już ostateczną decyzję.

– Lepiej się czuje – powiedziałam drżącym z niepokoju i strachu głosem.

– To zbyt wiele. Nie mogę... Ona... – Westchnął i grzbietem dłoni otarł skroń. – Nie mogę zostać i przyglądać się, jak umiera.

– Więc zostań i przyglądaj się, jak żyje.

– Nie mogę spać. Od wielu dni nic nie jadłem. Sześć się na mnie wścieka, bo się nie wyrabiam, a nie mogę stracić pracy, zwłaszcza przy rachunkach za leczenie. Zbyt ciężko pracowałem, by dorobić się tego, co mam, i nie mogę tego stracić. Nie mogę się dłużej poświęcać. Jestem zmęczony, Lucy.

*Jestem zmęczony, Lucy.*

Jak śmiał używać takich słów? Jak śmiał twierdzić, że był zmęczony, jakby to on zmagał się w najtrudniejszej życiowej walce?

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni, Parker. Wszyscy się z tym zmagamy. Zamieszkałam z wami, by lepiej się nią opiekować, by tobie było łatwiej, a teraz ty się poddajesz? Wycofujesz się z małżeństwa? – Brakowało mi słów. Serce... mi pękało. – Wie o tym? Powiedziałeś jej, że odchodzisz?

– Nie. – Pokręcił głową zażenowany. – Nie wie. Pomyślałem, że tak będzie łatwiej. Nie chcę jej martwić.

Prychnęłam, zaskoczona kłamstwami, jakimi mnie karmił, i jeszcze bardziej oszołomiona tym, że wierzył w to, co mówił.

– Przykro mi. Zostawiłem trochę pieniędzy na stole w przedpokoju. Będę do ciebie dzwonił, żeby sprawdzać, co z nią, żeby mieć pewność, że wszystko jest w porządku. Prześlę ci więcej pieniędzy, gdybyś potrzebowała.

– Nie chcę twoich pieniędzy – powiedziałam. Mój głos nie współgrał z jego zboląłą miną. – Niczego od ciebie nie chcemy.

Rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je pospiesznie, niezdolny poprawić słowami tej sytuacji. Obserwowałam, jak podszedł do auta, by do niego wsiąść, ale gdy dotarł do drzwi, zawołałam go. Nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć, tylko przystanął, czekając.

– Jeśli zostawisz w tej chwili moją siostrę, nie będziesz mógł wrócić. Nie będziesz mógł do niej dzwonić po pijanemu ani



sprawdzać, co u niej, gdy będziesz smutny. Kiedy pokona raka, a jestem pewna, że tak się stanie, nie będziesz mógł pojawić się ponownie i udawać, że ją kochasz. Rozumiesz?

– Tak.

To niewielkie słowo było tym samym, którym przysiągł Mari miłość w zdrowiu i w chorobie. To małe słowo miało na zawsze pozostać wypełnione żalem i wstrętnymi kłamstwami.

Wsiadł do samochodu i odjechał, ani razu się nie zatrzymując. Przez dłuższą chwilę stałam na podjeździe, niepewna jak wejść do domu i powiedzieć siostrze, że mąż porzucił ją podczas jej zmagania z chorobą.

Serce ponownie mi pękło.

Było w kawałkach, ponieważ współczułam siostrze – niewinnej istocie zmagającej się z bezlitosną rzeczywistością. Porzuciła beztroskie życie, by się ustatkować, a oba światy zwróciły się przeciwko niej.

Wzięłam głęboki wdech i zamknęłam dłoń na zawieszce w kształcie serca.

*Maktub.*

Zamiast biec za Parkerem, poszłam do Mari. Siostra leżała w łóżku. Uśmiechnęłam się do niej, więc odpowiedziała tym samym. Była wychudzona, jej ciało każdego dnia podejmowało walkę z ostatecznością. Głowę owiniętą miała apaszką – długie brązowe włosy dawno odeszły w niepamięć. Kiedy patrzyła w lustro, smuciło ją to, bo nie widziała tego, co widziałam ja. Była piękna, nawet w chorobie. Jej blask nie poddał się zmianom, przez jakie przechodziło ciało, ponieważ jej piękno pochodziło z duszy, gdzie mieszkają jedynie dobro i światło.

Wyzdrowieje. Wiedziałam, że jej się polepszy, ponieważ była wojowniczką.

Włosy odrosną, ciało odzyska siłę, a serce siostry wciąż będzie bić, co było wystarczającym powodem do świętowania.

– Cześć, Jeżynko – szepnęłam, podchodząc do łóżka, by położyć się obok. Ułożyłam się na boku, więc siostra obróciła się, by na mnie spojrzeć.

Nawet kiedy była słaba, każdego dnia znajdowała siłę na uśmiech.

– Cześć, Malinko.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Zamknęła oczy.

– Odszedł.

– Wiedziałaś?

– Widziałam, jak się pakował. Myślał, że śpię. – Z kącików jej zamkniętych oczu popłynęły słone krople. Leżałyśmy przez chwilę. Jej smutek stał się moimi łzami, a jej łzy moim smutkiem.

– Myślisz, że będzie tęsknił, gdy umrę? – zapytała. Ilekroć poruszała temat śmierci, miałam ochotę przeklinać świat za skrzywdzenie mojej przyjaciółki, mojej rodziny.

– Nie mów tak – skarciłam ją.

– Ale myślisz, że będzie? – Otworzyła oczy i wzięła mnie za rękę. – Pamiętasz, gdy byłyśmy małe i miałam ten okropny sen, w którym mama umierała? Cały dzień przepłakałam, zaczęła więc rozmawiać z nami na temat śmierci. Mówiła o tym, że nie jest to koniec podróży.

Przytaknęłam.

– Tak, stwierdziła, że we wszystkim ją zobaczymy: w promieniach słońca, w cieniach, w kwiatach, w deszczu. Powiedziała, że śmierć nas nie zabija, tylko bardziej nas budzi.

– Widziałaś ją kiedykolwiek? – zapytała szeptem.

– Tak, we wszystkim. Absolutnie we wszystkim.

Jęknęła cicho i skinęła głową.

– Ja też, ale głównie widzę ją w tobie. – Każdego dnia tęskniłam za mamą, a słowa siostry były najmiłszymi, jakimi ktoś mnie kiedykolwiek obdarował.

Przysunęłam się i ją objęłam.

– Będzie tęsknił. Będzie tęsknił, gdy ty będziesz zdrowa i żywa. Będzie tęsknił, gdy staniesz się częścią drzew. Będzie tęsknił już jutro i będzie tęsknił, gdy staniesz się wiatrem owiewającym jego ramiona. Świat będzie za tobą tęsknił, Mari, nawet jeśli będziesz na nim jeszcze przez wiele lat. W chwili, w której ci się poprawi,

otworzymy kwiaciarnię, dobrze? Ty i ja, będziemy właścicielkami.

Przez całe życie uwielbiałyśmy z siostrą naturę. Marzyłyśmy o otwarciu kwiaciarni, poszłyśmy nawet do Szkoły Aranżacji Kwiatów w Milwaukee. Zrobiłyśmy licencjaty z finansów, by zdobyć wiedzę na temat biznesu. Gdyby siostra nie zachorowała na raka, miałybyśmy już swoją kwiaciarnię. Planowałam więc, że kiedy wyzdrowieje, zrobię, co w mojej mocy, by nasze marzenie się ziściło.

– Dobrze, Mari? Otworzymy ją – powtórzyłam, mając nadzieję, że w moim głosie słychać było przekonanie. Liczyłam, że przyniosę jej w ten sposób ulgę.

– Dobrze – odparła powątpiewająco. Jej wielkie brązowe oczy, które były kształtem podobne do oczu mamy, wypełniły się głębokim smutkiem. – Podasz mi słój? I worek z drobnymi?

Westchnęłam, ale przytaknęłam. Pospieszyłam do salonu, w którym wczorajszego wieczoru zostawiłam słój i woreczek z monetami. Na pomysł ze słojem wpadłyśmy siedem miesięcy temu, gdy siostra poznała diagnozę. Napisałyśmy na nim „NM”, co znaczyło „Negatywne Myśli”. Ilekroć któraś z nas się zamartwiała, wrzucałyśmy do słoika pieniądze. Każda negatywna myśl prowadziła do spełnienia pięknego marzenia – wyjazdu do Europy. Kiedy Mari wyzdrowieje, weźmiemy te pieniądze, spakujemy plecaki i osiągniemy nasz cel.

Moneta za każdą negatywną myśl miała przypominać o lepszym jutrze.

Miałyśmy już osiem słoików wypełnionych po brzegi.

Usiadłam ponownie na łóżku Mari, która przesunęła się nieznacznie, gdy podałam jej worek drobnych.

– Malinko? – szepnęła.

– Tak, Jeżynko?

Łzy płynęły coraz szybciej, gdy jej niewielką postać przytłoczyły emocje.

– Będziemy potrzebowały więcej monet.

Wrzuciła wszystkie pieniądze do słoja, a gdy skończyła, objęłam ją mocno. Przez pięć lat siostra była równocześnie zdrową kobietą i mężatką, jednak wystarczyło zaledwie siedem miesięcy, by Parker

zniknął, zostawiając biedną Mari ze złamanym sercem.

\*\*\*

– Lucy? – Usłyszałam, gdy siedziałam na werandzie. Przez ostatnią godzinę kołysałam się w fotelu, podczas gdy Mari odpoczywała. Próbowałam zrozumieć, jakie znaczenie miało wszystko to, co się wydarzyło. Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam Richarda, mojego chłopaka, który właśnie zsiadał z roweru, a potem oparł go o werandę.

– Co się dzieje? Dostałem wiadomość. – Koszulkę Richarda jak zwykle zdobiły plamy z farby. Wszystko przez to, że chłopak był artystą. – Przepraszam, że nie odbierałem. Miałem wyciszony telefon, gdy topiłem smutki, ponieważ odmówiono mi przyjęcia do kolejnej galerii sztuki. – Podeszedł do mnie i pocałował w czoło. – Co się dzieje? – powtórzył.

– Parker odszedł.

Te dwa słowa sprawiły, że Richardowi opadła szczęka. Wprowadziłam go we wszystko, a im więcej ujawniałam, tym bardziej gwałtownie chłopak wciągał powietrze.

– Żartujesz? Z Mari wszystko dobrze?

Pokręciłam głową. Oczywiście, że nie było z nią dobrze.

– Powinniśmy wejść do środka – powiedział, chcąc chwycić mnie za rękę, ale odmówiłam.

– Muszę zadzwonić do Lyric. Od kilku godzin nie odbiera. Jeszcze chwilę będę próbować. Może mógłbyś sam tam wejść i sprawdzić, czy Mari czegoś nie potrzebuje?

Przytaknął.

– Oczywiście.

Wyciągnęłam rękę i wytarłam mu policzek z żółtej farby, po czym przysunęłam się i go pocałowałam.

– Przykro mi z powodu galerii.

Richard skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Trudno. Póki nie przeszkadza ci spotkanie się z nieudacznikiem, który nie jest wystarczająco utalentowany, by pokazywać swoją twórczość, nie przeszkadza mi to.

Byłam z Richardem od trzech lat i nie potrafiłam wyobrazić sobie,

by miał go zastąpić ktoś inny. Nie podobało mi się jednak, że świat nie dał mu jeszcze szansy zabłysnąć, ponieważ zdecydowanie wart był odniesienia sukcesu.

Jednak póki nie nadejdzie jego czas, miałam zamiar trwać u jego boku, wiernie mu kibicując.

Kiedy wszedł do domu, po raz kolejny wybrałam numer Lyric.

– Halo?

– Lyric, nareszcie. – Westchnęłam, siadając prosto, gdy po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszałam głos siostry. – Cały dzień próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Nie każdy może być panią Doubtfire i pracować na pół etatu w kawiarni, Lucy – stwierdziła, a sarkazm w jej głosie zabrzmiał czysto i wyraźnie.

– Właściwie jestem teraz tylko nianią. Zwolniłam się z kawiarni.

– Zaskakujące – odparła. – Słuchaj, chcesz czegoś, czy byłaś po prostu znudzona i postanowiłaś mnie ponękać?

Jej ton był taki sam, jak przez większość jej życia – pobrzmiwało w nim rozczarowanie moją egzystencją. Lyric potrafiła poradzić sobie z kapryсами Mari, zwłaszcza gdy siostra ustatkowała się w końcu z Parkerem. To właśnie Lyric ich ze sobą poznała. Kiedy chodziło jednak o moje relacje z najstarszą siostrą, było zupełnie inaczej. Często wydawało mi się, że mnie nienawidziła, ponieważ za bardzo przypominałam jej naszą mamę.

A z upływem czasu uświadomiłam sobie, że nienawidziła mnie, ponieważ nie byłam nikim więcej niż sobą.

– Nie, chodzi o Mari.

– Dobrze się czuje? – zapytała, choć jej głos ociekał fałszywą troską. Słyszałam, że wciąż pisała coś na klawiaturze, jak zwykle pracując do późna. – Nie...

– ...umarła? – prychnęłam. – Nie, nie umarła. Ale Parker dziś od niej odszedł.

– Odszedł? Co to znaczy?

– To, że odszedł. Spakował walizki, stwierdził, że nie może poradzić sobie z patrzeniem, jak jego żona umiera i odjechał. Zostawił ją samą.

– O Boże. To chore.

– Tak, zgadzam się.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, nim Lyric ponownie się odezwała:

– Wkurzyłaś go czymś?

Przestałam się kołysać w fotelu.

– Co?

– No dalej, Lucy. Wprowadziłaś się, by pomóc, a jestem przekonana, że nie jesteś najłatwiejsza w obyciu. Ciężko z tobą wytrzymać. – Zrobiła to, co zawsze jej się udawało, gdy byłam zaangażowana w jakąś sytuację. Zrobiła ze mnie złoczyńcę. Obarczyła mnie właśnie winą za to, że ten tchórz porzucił żonę.

Przełknęłam z trudem ślinę i puściłam jej komentarz mimo uszu.

– Chciałam, żebyś o tym wiedziała. To wszystko.

– Z Parkerem wszystko w porządku?

*Że co?*

– Sądzę, że chciałaś zapytać, czy z Mari wszystko w porządku, ale nie. Nie jest dobrze. Zmaga się z nowotworem, odszedł od niej mąż i nie ma grosza przy duszy, mimo to znajduje siłę, by walczyć.

– Ach, no i proszę – mruknęła Lyric.

– Co „proszę”?

– Dzwonisz po pieniądze. Ile ci trzeba?

Żołądek skurczył mi się na jej słowa i poczułam niesmak w ustach. Myślała, że dzwoniłam, bo potrzebowałam pieniędzy?

– Dzwonię do ciebie, ponieważ twoja siostra cierpi i czuje się samotna. Pomyślałam, że mogłabyś wpaść, by się z nią zobaczyć i upewnić się, że wszystko z nią dobrze. Nie chcę twoich pieniędzy, Lyric. Chcę, byś zaczęła się zachowywać jak siostra.

Zapadła kolejna chwila ciszy, podczas której można było usłyszeć więcej kliknięć na klawiaturze.

– Słuchaj, jestem zavalona robotą. Spłynęło do firmy wiele spraw, nie mogę ich odłożyć w tej chwili. Nie ma mowy, bym dała radę przyjechać. Może za tydzień lub za dwa.

Lyric mieszkała w centrum – dwadzieścia minut jazdy samochodem od nas – mimo to była przekonana, że to za daleko.

– Wiesz co? Nieważne. Udawaj, że w ogóle nie zadzwoniłam. – Do

oczu napłynęły mi łzy, ponieważ zaskoczyło mnie bezduszne zachowanie osoby, którą uważałam niegdyś za wzór. DNA mówiło, że byliśmy spokrewnione, ale słowa, które właśnie padły, dowodziły, że była kimś zupełnie obcym.

– Przestań, Lucy. Porzuć tę pasywną agresję. Jutro wyślę wam czek, dobrze?

– Nie rób tego. Nie potrzebujemy twoich pieniędzy i nie potrzebujemy od ciebie wsparcia. Nie wiem w ogóle, dlaczego do ciebie zadzwoniłam. Potraktuj to jako moje załamanie. Żegnaj, Lyric. Powodzenia z procesami.

– Tak, tak, okej. Lucy?

– Tak?

– Lepiej, żebyś wróciła do pracy w kawiarni najszybciej jak to możliwe.

\*\*\*

Po dłuższej chwili wstałam z bujanego fotela i weszłam do pokoju gościnnego, w którym obecnie mieszkałam. Zatrzęsnęłam drzwiami, chwyciłam naszyjnik i zamknęłam oczy.

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie... – Wzięłam kilka głębszych wdechów i powtórzyłam wielokrotnie mantrę, której nauczyła mnie mama. Gdy była bliska utraty równowagi w życiu i czuła się oderwana od powierzchni ziemi, powtarzała te słowa, odnajdując w nich siłę.

Mimo że powtórzyłam je kilkakrotnie, nadal czułam, jakbym poniosła porażkę.

Zgarbiłam się, a łzy popłynęły mi po policzkach, gdy odezwałam się do jedynej kobiety, która kiedykolwiek mnie rozumiała.

– Mamo, boję się, a nienawidzę się bać. Nie znoszę się bać, ponieważ oznacza to, że myślę odrobinę jak Parker. Częściowo wydaje mi się, że Mari nie da rady, więc każdego dnia jestem coraz bardziej przerażona.

W byciu świadkiem odchodzenia przyjaciółki było coś bolesnego. Nawet jeśli wiedziałam, że śmierć była kolejnym rozdziałem w jej pięknej księdze, nie było mi łatwo to zrozumieć. Podświadomie wiedziałam, że każdy uścisk może być ostatni, każde słowo może

oznaczać pożegnanie.

– Mam wyrzuty sumienia, bo z każdą dobrą myślą do mojej głowy wślizguje się pięć negatywnych. Mam piętnaście monet w słoju w szafie, o którym nie wie Mari. Jestem zmęczona, mam. Jestem wyczerpana i czuję się winna, gdy wszystko za bardzo mnie przytłacza. Muszę być silna, bo Mari nie potrzebuje, by ktoś na jej oczach się załamywał. Wiem, że uczyłaś nas nie nienawidzić, ale po prostu nienawidzę Parkera. Boże, wybaczone, ale jeśli to ostatnie dni Mari, nienawidzę go, że je tak skaził. Jej ostatnie dni nie powinny być naznaczone wspomnieniami o porzucającym ją mężu.

To niesprawiedliwe, że Parker tak po prostu był w stanie się spakować i uciec do nowego życia bez mojej siostry. Być może któregoś dnia znajdzie kolejną miłość, ale co z Mari? Kochała go, co bolało mnie bardziej, niż to jej okazałam. Znałam swoją siostrę jak własną kieszeń, wiedziałam, jak delikatne jest jej serce. Mari czuła wszystko dziesięć razy intensywniej niż większość ludzi. Miała serce na dłoni, pozwalała wszystkim słuchać jego cudownego bicia – nawet tym, którzy nie zasługiwali, by usłyszeć ten dźwięk. Modliła się, by pokochali jej serce. Zawsze chciała czuć się kochana, więc nienawidziłam Parkera, ponieważ sprawił, że Mari czuła się, jakby poniosła porażkę. Opuści ten świat z uczuciem, że zawiodła w małżeństwie, a wszystko w imię miłości.

### *Miłość.*

Uczucie, które sprawiało, że ludzie zarówno wznosili się do chmur, jak i upadali na samo dno. Uczucie, które trawiło ludzkie serca, a także spalało ich dusze. Początek i koniec każdej podróży.

W miarę upływu dni, tygodni i miesięcy coraz mniej słyszałyśmy z Mari o Parkerze i Lyric. Nieudane próby kontaktu były bardziej sporadyczne, napędzane wyrzutami sumienia listy również ustały. Kiedy w naszej skrzynce znalazły się dokumenty rozwodowe, Mari płakała przez wiele dni. W świetle trwałam przy niej z siłą, w cieniu rozpaczałam.

Niesprawiedliwe było, że świat odebrał Mari zdrowie, po czym miał czelność wrócić i dopilnować, żeby jej serce roztrzaskało się w drobny mak. Z każdym wdechem przeklinała swoje ciało za



zdradę i zrujnowanie życia, które budowała. Z każdym wydechem modliła się, by jej mąż wrócił do domu.

Nigdy jej nie powiedziałam, ale z każdym wdechem błagałam o jej uzdrowienie, a z każdym wydechem modliłam się, by jej mąż nigdy się już w nim nie zjawiał.

# ROZDZIAŁ 1

## GRAHAM

*2017*

Dwa dni temu kupiłem kwiaty dla kogoś, kto nie był moją żoną. Od momentu zakupu nie wyszedłem z gabinetu. Zewsząd otaczały mnie papiery – notatki, karteczki samoprzylepne, zgniecione kartki z bezsensownymi zapiskami i poskreślanymi słowami. Na moim biurku stało pięć butelek whisky, leżała też nierozpoczęta paczka papierosów.

Oczy piekły mnie z wyczerpania, ale nie mogłem zamknąć powiek. Wpatrywałem się pustym wzrokiem w ekran komputera, wpisując zdania, a następnie je kasując.

Nigdy nie kupiłem żonie kwiatów.

Nigdy nie dałem czekoladek na walentynki, pluszaki uznawałem za niedorzeczne, nie miałem też pojęcia, jaki jest jej ulubiony kolor.

Ona również nie wiedziała, jaki jest mój ulubiony, ja miałem jednak świadomość, którego z polityków lubi najbardziej. Znałem jej poglądy na globalne ocieplenie, ona знаła moją opinię na temat religii i oboje wiedzieliśmy, że nie chcemy mieć dzieci.

W tych kluczowych aspektach się zgadzaliśmy, te rzeczy nas spajały. Oboje poświęciliśmy się karierze i nie mieliśmy zbyt wiele czasu dla siebie, a co dopiero dla rodziny.

Nie byłem romantykiem, ale Jane to nie przeszkadzało, ponieważ ona również nie przykładała do tego uwagi. Nieczęsto trzymaliśmy

się za ręce czy całowaliśmy się publicznie. Nie przytulaliśmy się, nie potwierdzaliśmy miłości w mediach społecznościowych, co wcale nie oznaczało, że nasze uczucie nie było prawdziwe. Troszczyliśmy się o siebie po swojemu. Byliśmy logiczni, rozumieliśmy, co to znaczy kochać, zaangażować się, a mimo to nigdy nie daliśmy się porwać romantycznym aspektem związku.

Nasza miłość polegała na wzajemnym szacunku. Każdą poważną decyzję podejmowaliśmy po dokładnym przemyśleniu, często używając wykresów i diagramów. W dniu, w którym poprosiłem ją o rękę, sporządziliśmy piętnaście zestawień, by mieć pewność, że podejmujemy właściwą decyzję.

Romantyczne?

Pewnie nie.

Logiczne?

Absolutnie.

Właśnie dlatego zakłócenie mojego *deadline'u* było niepokojące. Jane nigdy nie przeszkadzała mi w pracy, więc jej napad, kiedy zbliżał się termin oddania książki, był niezmiernie dziwny.

Miałem do napisania dziewięćdziesiąt pięć tysięcy słów.

Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy słów, aby rękopis trafił za dwa tygodnie do wydawcy. Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy słów przekładających się na przynajmniej sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąt sześć dziennie. Oznaczało to, że kolejne dwa tygodnie życia spędzę przed komputerem, ledwie pozwalając sobie na odetchnięcie świeżym powietrzem.

Moje palce śmigały po klawiaturze, stukając w klawisze najszybciej, jak potrafiły. Fioletowe cienie pod oczami wskazywały na wyczerpanie, a plecy bolały z powodu niewstawania z fotela przez wiele godzin. Mimo to kiedy siedziałem przed komputerem i pisałem, a oczy miałem niczym zombie, czułem się bardziej sobą niż w jakiegokolwiek innej chwili swojego życia.

– Grahamie – powiedziała Jane, wrywając mnie ze świata horroru i sprowadzając do rzeczywistości. – Powinniśmy już iść.

Stała w drzwiach mojego gabinetu. Miała kręcone włosy, co było niespotykane, ponieważ zawsze je prostowała. Każdego dnia

wstawiała dużo wcześniej niż ja, aby ujarzmić blond szopę naturalnych loków. Mogłem zliczyć na palcach jednej ręki, gdy widziałem ją z naturalną fryzurą. Oprócz dziwacznych włosów, miała rozmazany makijaż, ponieważ nie zmyła go wczoraj wieczorem.

Jedynie dwukrotnie widziałem zapłakaną żonę: pierwszy raz, gdy siedem miesięcy temu dowiedziała się, że jest w ciąży, drugi, gdy cztery dni temu dotarły do nas tragiczne wieści.

– Nie musisz wyprostować włosów? – zapytałem.

– Nie mam zamiaru ich dzisiaj prostować.

– Zawsze je prostujesz.

– Nie prostowałam ich od czterech dni. – Zmarszczyła brwi, ale nie skomentowałam jej rozczarowania. Nie chciałem mieć do czynienia z jej emocjami. Od czterech dni była w rozsypce, stanowiła całkowite przeciwieństwo kobiety, którą poślubiłem, a sam nie potrafiłem radzić sobie z ludzkimi uczuciami.

Jane musiała wziąć się w garść.

Wróciłem do gapienia się w ekran komputera i ponownie zacząłem pospiesznie poruszać palcami.

– Grahamie – powtórzyła, podchodząc do mnie z wielkim brzuchem. – Musimy iść.

– Nie skończyłem rękopisu.

– Piszesz od czterech dni. Kładziesz się spać po trzeciej i wstajesz o szóstej. Potrzebujesz przerwy. Do tego nie możemy się spóźnić.

Odchrząknąłem, nadal pisząc.

– Postanowiłem, że podaruję sobie to głupie spotkanie. Przykro mi, Jane.

Kątem oka zauważyłem, jak zacisnęła usta.

– Głupie spotkanie? Grahamie, to pogrzeb twojego ojca.

– Mówisz, jakby miało to dla mnie coś znaczyć.

– Z pewnością coś dla ciebie znaczy.

– Nie mów mi, co to dla mnie znaczy. Uwłączasz mi.

– Jesteś zmęczony – powiedziała.

*No i znowu postanowiłaś mówić mi, jak mam się czuć.*

– Wyśpię się po osiemdziesiątce lub gdy znajdę się na miejscu

ojca. Jestem pewien, że on się dzisiaj dobrze wyśpi.

Skuliła się. Nie obeszło mnie to.

– Piłeś? – zapytała zatroskana.

– Czy przez wszystkie lata naszej znajomości widziałas kiedykolwiek, żebym pił?

Przyglądała się otaczającym mnie butelkom alkoholu, więc westchnąłem lekko.

– Wiem, przepraszam. Po prostu... postawiłeś jeszcze więcej butelek na biurku.

– W hołdzie zmarłemu ojcu. Niech zgnije w piekle.

– Nie mówi się źle o zmarłych – powiedziała Jane, nim czknęła i złapała się za brzuch. – Boże, nienawidzę tego uczucia. – Wzięła moje ręce z klawiatury i położyła sobie na brzuchu. – Wydaje mi się, że ona kopie mnie w każdy wewnętrzny organ. Nie znoszę tego.

– Jakież to czułe – zadrwiłem, nadal trzymając na niej dłonie.

– Nigdy nie chciałam tego dziecka – rzuciła, ponownie czkając. – Nigdy.

– A mimo to, proszę – odparłem. Nie byłem pewny, czy Jane pogodziła się z faktem, że za dwa krótkie miesiące urodzi człowieka, który będzie wymagał jej miłości i uwagi dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jeśli istniała osoba, która mogła ofiarować mniej miłości niż ja, była nią moja żona.

– Boże – mruknęła, zamykając oczy. – Czuję się dzisiaj dziwnie.

– Może powinnaś pojechać do szpitala? – zasugerowałem.

– Niezła próba. Jedziemy na pogrzeb twojego ojca.

*Szlag.*

– Nadal musimy znaleźć niańkę – powiedziała. – Firma da mi kilka tygodni macierzyńskiego, ale jeśli znajdziemy przyzwoitą opiekunkę, nie będę musiała w pełni wykorzystać urlopu. Chciałabym jakąś uroczą starszą Meksykankę, najlepiej z kończącą się zieloną kartą.

Zmarszczyłem brwi, zaniepokojony.

– Wiesz, że mówienie czegoś takiego nie tylko jest rasistowskie, ale również uwłaczające dla męża, który w połowie ma

meksykańskie korzenie, prawda?

– Nie jesteś Meksykaninem, Grahamie. Nie znasz nawet kilku hiszpańskich słów.

– I to sprawia, że nie jestem Meksykaninem. Odnotowałem, dziękuję – odparłem chłodno. Czasami wręcz nienawidziłem, żony. Choć zgadzaliśmy się w tak wielu aspektach, niekiedy słowa wychodzące z jej ust nie mieściły się w żadnym zrobionym przez nas diagramie.

Jak ktoś tak piękny mógł być czasami tak brzydki?

*Kopnięcie.*

*Kopnięcie.*

Serce mi się ścisnęło, ale ręce wciąż pozostawały na okrągłym brzuchu Jane.

Te kopnięcia mnie przerażały. Jeśli czegokolwiek byłem pewien, to tego, że nie nadawałem się do ojcostwa. Historia rodzinna jasno dowodziła, że z linii moich przodków nie wywodziło się nic dobrego.

Modliłem się do Boga, by to dziecko nie odziedziczyło moich cech lub – co gorsza – cech mojego ojca.

Jane usiadła na moim biurku, przesuwając perfekcyjnie posegregowane papiery, a moje palce wciąż znajdowały się na jej brzuchu.

– Czas, by wziąć prysznic i się ubrać. W łazience powiesiłam ci garnitur.

– Mówiłem ci, że nie idę na tę imprezę. Muszę się wyrobić do ostatecznego terminu.

– Twój ojciec już się wyrobił, a teraz czas odesłać jego rękopis.

– Jego rękopis trafił do trumny?

Jane zmarszczyła brwi.

– Nie. Nie wygłupiaj się. Jego ciało jest jego rękopisem, a trumna okładką.

– Cholernie droga ta okładka. Nie wierzę, że wybrał tę zdobioną złotem – zamilkłem i przygryzłem wargę. – Jednak po namyśle z łatwością mogę w to uwierzyć. Znałaś go.

– Będzie tam dziś wielu ludzi. Jego czytelnicy, koledzy.

Pojawią się setki, by uczcić życie Kenta Russella.

– To będzie istny cyrk – jęknąłem. – Będą go oplakiwać, nurzać się w głębokim smutku i siedzieć z niedowierzaniem. Zaczną produkować własne historie, ujawniać ból. „Nie Kent, tylko nie Kent”. „To dzięki niemu spróbowałem pisania”. „Pięć lat byłem trzeźwy dzięki temu człowiekowi”. „Nie wierzę, że go już nie ma”. „Kent Theodore Russell, człowiek, ojciec, bohater. Laureat Nagrody Nobla nie żyje”. Cały świat pograży się w żałobie.

– A ty? – zapytała Jane. – Ty się pograżysz?

– Ja? – Odchyliłem się na fotelu i skrzyżowałem ręce na piersi. – Ja dokończę swój rękopis.

– Smutno ci, że umarł? – zapytała, pocierając brzuch.

Jej pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, nim odpowiedziałem:

– Nie.

Chciałem za nim tęsknić.

Chciałem go kochać.

Chciałem go nienawidzić.

Chciałem o nim zapomnieć.

Zamiast tego, nie czułem nic. Wiele lat upłynęło, zanim nauczyłem się oschłości w stosunku do ojca, aby wymazać cały ból, jakiego przysporzył mi i tym, których kochałem najbardziej. Jedynym sposobem na poradzenie sobie z tym cierpieniem było odcięcie się od ojca i zapomnienie o wszystkim, co mi zrobił, zapomnienie o wszystkim, czego od niego pragnąłem.

Kiedy już wyzbyłem się bólu, niemal zapomniałem, jak to jest cokolwiek czuć.

Jane nie przeszkadzała moja nieczuła dusza, ponieważ ona sama również niewiele do siebie dopuszczała.

– Odpowiedziałeś zbyt szybko – wytknęła.

– Najszybsza odpowiedź jest najczęściej najbardziej prawdziwa.

– Brak mi go – wyznała, ścisząc głos i dając znać o żalu z powodu śmierci mojego ojca. Pod wieloma względami, dzięki swoim książkom, inspirującym przemówieniom i marce, jaką sprzedawał światu, Kent Russell był przyjacielem milionów. Też by mi go brakowało, gdybym nie znał jego prawdziwego oblicza skrywanego w zaciszu własnego domu.

– Brak ci go, bo tak naprawdę nigdy go nie poznałaś. Przestań użalać się nad facetem, który niewart jest twojego czasu.

– Nie – powiedziała ostro, a głos miała napięty z bólu. Jej oczy wypełniły się wilgocią, jak często miały w zwyczaju w ciągu ostatnich czterech dni. – Nie rozumiesz, Grahamie. Nie rozumiesz mojego cierpienia. Twój ojciec był dla mnie dobry. Był dobry, gdy ty byłeś oziębły, wstawiał się za tobą, ilekroć chciałam odejść, więc nie każ mi przestać go opłakiwać. Nie możesz definiować smutku, który odczuwam – powiedziała, wybuchając emocjami. Zaczęła się trząść, a z jej oczu popłynęły łzy.

Spojrzałem na nią zdezorientowany tym nagłym wybuchem, jednak mój wzrok spoczął na jej brzuchu.

*Hormony.*

– Wow – mruknąłem nieco oszołomiony.

Usiadła prosto.

– Co to było? – zapytała lekko przestraszona.

– Chyba właśnie przeżyłaś załamanie nerwowe z powodu śmierci mojego ojca.

Wzięła wdech i jęknęła.

– O Boże, co się ze mną dzieje? Przez te hormony jestem w rozsypce. Nienawidzę bycia w ciąży. Przysięgam, że po tym wszystkim każę podwiązać sobie jajniki. – Wstała, próbując się pozbierać i otrzeć łzy. Zrobiła kilka dodatkowych wdechów. – Czy możesz wyświadczyć mi dziś przysługę?

– Jaką?

– Możesz udawać smutek na pogrzebie? Ludzie zaczną plotkować, jeśli zauważą, że się uśmiechasz.

Spróbowałem zmarszczyć brwi i się skrzywić.

Przewróciła oczami.

– Dobrze, a teraz powtarzaj za mną: kochałem mojego ojca, będzie mi go brakowało.

– Mój ojciec był fiutem, nie będę za nim tęsknił.

Poklepała mnie po piersi.

– Wystarczająco podobnie. A teraz idź się ubrać.

Wstałem. Mamrotałem pod nosem przez całą drogę do łazienki.



– Och! Zamówiłeś kwiaty na pogrzeb?! – zawołała Jane, gdy zdjąłem koszulkę i rzuciłem ją na podłogę.

– Wydałem pięć tysięcy na bezużyteczne rośliny, które zostaną dostarczone za kilka godzin.

– Ludziom się to spodoba – powiedziała.

– Ludzie są głupi – odparłem, wchodząc pod gorący strumień. Pod prysznicem próbowałem wymyślić najlepszą mowę, by pożegnać człowieka, który dla wielu był bohaterem, a dla mnie diabłem. Próbowałem odkopać wspomnienia o miłości, chwile pełne troski, momenty wypełnione dumą, ale nic nie przyszło mi do głowy. Nic. Nie znalazłem ani jednego prawdziwego uczucia.

Serce w mojej piersi – to, które utwardził – pozostało całkowicie odrętwiałe.

## ROZDZIAŁ 2

### LUCY

– Tutaj spoczywa Mari Joy Palmer, która dawała miłość, spokój i szczęście. Jej odejście to wielka strata dla ludzkości. Zmarła nagłą, niesprawiedliwą i bardzo bolesną śmiercią. – Wpatrywałam się w nieruchome ciało siostry, ocierając niewielkim ręcznikiem kark. Wczesnoporanne słońce wpadało przez okna. Próbowałam złapać oddech.

– Śmierć podczas *power jogi*. – Mari westchnęła, głęboko wciągając powietrze i wydychając je nierówno.

Parsknęłam śmiechem.

– Będziesz musiała wstać, Mari. Trzeba się zbierać do pracy. – Wyciągnęłam rękę do siostry leżącej na podłodze w kałuży potu. – Chodźmy.

– Idź beze mnie – powiedziała dramatycznie, wywieszając metaforyczną białą flagę. – Ja się poddam.

– O nie, wcale nie. – Złapałam ją za ramiona i podciągnęłam do góry, chociaż się opierała. – Przeżyłaś chemioterapię, Mari. Przeżyjesz i *power jogę*.

– Nie rozumiem – jęknęła. – Myślałam, że *power joga* ma za zadanie ukoić umysł i dać spokój, a nie wiadro potu i potargane włosy.

Uśmiechnęłam się, patrząc na jej długie do ramion kosmyki, które zebrała na czubku głowy w rozwalający się kok. Od dwóch lat była w stanie remisji i od czasu jej wyzdrowienia żyłyśmy pełnią

życia, wliczając w to otworzenie kwaciarni.

Po szybkim prysznicu wyszliśmy ze studia jogi. Gdy na zewnątrz dopadło nas słońce, Mari jęknęła.

– Dlaczego, u licha, wybrałyśmy się dziś na rowerach? A w ogóle to dlaczego wpadłyśmy na pomysł pójścia na zajęcia *power jogi* o szóstej rano?

– Ponieważ dbamy o swoje zdrowie i dobre samopoczucie i chcemy być w najlepszej kondycji – zadrwiłam. – Do tego samochód jest w warsztacie.

Przewróciła oczami.

– Czy to chwila, w której pojedziemy do kawiarni na pączki i croissanty?

– Tak! – potwierdziłam, odpinając rower ze stojaka i wskakując na siodełko.

– A przez pączki i croissanty masz na myśli...?

– Koktajle z jarmużu? Tak, dokładnie tak.

Jęknęła ponownie, tym razem głośniej.

– Wolałam cię, gdy nie męczyłaś mnie bzdurami o zdrowym odżywianiu i byłaś na stałej diecie ze słodyczy i tacos.

Uśmiechnęłam się i zaczęłam pedałować.

– Ścigamy się!

Oczywiście pokonałam ją w drodze do Zielonych Snów, a kiedy weszłyśmy do środka, Mari dosłownie padła na ladę.

– Poważnie, Lucy, normalna joga tak, ale *power joga*? – urwała, sapiąc. – *Power joga* może wracać prosto do piekła, by umrzeć długą, bolesną śmiercią.

Podeszła do nas kasjerka, uśmiechając się promiennie.

– Witam, panie! Co podać?

– Tequilę – powiedziała Mari, w końcu podnosząc głowę z blatu. – Może być na wynos. Wypiję w drodze do pracy.

Kasjerka patrzyła na moją siostrę bez wyrazu, więc wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

– Poprosimy dwa zielone soki i dwie śniadaniowe tortille z jajkami i ziemniakami.

– W porządku. Tortille mają być z ziarnami pszenicy, ze

szpinakiem czy z siemieniem lnianym? – zapytała.

– Och, mogą być z przypieczonego ciasta na pizzę – odpowiedziała Mari. – Z chipsami i sosem queso.

– Siemię – powiedziałam, śmiejąc się. – Weźmiemy siemię.

Kiedy przygotowano nasze posiłki, usiadłyśmy przy stoliku. Mari rzuciła się na śniadanie, jakby nie jadła od lat.

– Co tam – zaczęła z pełnymi policzkami jak chomik – u Richarda?

– W porządku – powiedziałam, kiwając głową. – Jest zajęty, ale wszystko dobrze. Nasze mieszkanie po jego pracy wygląda, jakby przeszło przez nie tornado, ale tak to okej. Odkąd dowiedział się, że za kilka miesięcy jego obrazy wystawione zostaną w muzeum, wpadł w panikę, próbując stworzyć coś inspirującego. Rzucił spanie, ale taki jest Richard.

– Faceci są dziwni. Nie wierzę, że z nim mieszkasz.

– No wiem. – Zaśmiałam się. Ponad pięć lat zajęło mi zamieszkanie z Richardem – wcześniej nie chciałam się przeprowadzać, by nie zostawiać Mari w chorobie. Mieszkałam z chłopakiem od czterech miesięcy i mi się podobało. Kochałam go. – Pamiętasz, co mama mówiła na temat mężczyzny mieszkającego z kobietą?

– Tak, mawiała, że kiedy facet poczuje się u kobiety na tyle komfortowo, że zdejmie u niej buty i bez pytania otworzy lodówkę, to czas, by odszedł.

– Mądra kobieta.

Mari przytaknęła.

– Po jej śmierci powinnam nadal żyć według jej nauk, może wtedy uniknęłabym związku z Parkerem. – Na chwilę w jej oczach zagościło przygnębienie, jednak szybko zamrugła i się uśmiechnęła. Po odejściu Parkera dwa lata temu rzadko o nim wspominała, ale ilekroć to robiła, przytłaczał ją smutek. Walczyła z nim, nigdy nie pozwalając, by ją pochłonął. Robiła, co mogła, by być szczęśliwą. Przeważnie jej się to udawało, choć zdarzały się nieuniknione, bolesne chwile.

Chwile, gdy pamiętała, gdy obwiniała samą siebie, gdy czuła się

samotna. Chwile, gdy pozwalała sobie na złamane serce, zanim szybko brała się w garść.

Mari czuła się w obowiązku zamienić każdą chwilę cierpienia w chwilę szczęścia.

– Teraz żyjesz według jej nauk, a lepiej późno niż wcale, prawda? – powiedziałam, próbując pomóc się jej rozpogodzić.

– Prawda! – zawołała wesoło i w jej oczach ponownie zagościła radość. Uczucia były dziwaczne. W jednej sekundzie ktoś był smutny, w drugiej się cieszył. Najbardziej jednak zadziwiało mnie to, że można było smucić się i weselić jednocześnie. Wierzyłam, że Mari doświadczyła obu tych emocji. Niewielki smutek przeplatał się w niej z radością.

Pomyślałam, że to piękny sposób na życie.

– Idziemy do pracy? – zapytałam, wstając. Mari jęknęła poirytowana, ale również wstała, poczłapała do roweru i zaczęła jechać w stronę naszej kwiaciarni.

Ogrody Moneta były spełnieniem naszych marzeń. Lokal został nazwany na cześć mojego ulubionego malarza, Claude'a Moneta. Kiedy pojedziemy w końcu z Mari zwiedzać Europę, planowałam zatrzymać się w Ogrodach Moneta w Giverny we Francji.

Kopie dzieł artysty wisiały na naszych ścianach, a bukiety układałyśmy, odwzorowując jego obrazy. Kiedy podpisałyśmy umowę z bankiem, pracowałyśmy niezmiernie ciężko, by uruchomić interes i z czasem wszystko się ułożyło. Prawie nam się to jednak nie udało, ale na szczęście Mari dostała w końcu kolejną pożyczkę, o którą się ubiegała. Nawet jeśli kwiaciarnia wymagała od nas sporo wysiłku i czasu – nie miałam poza nią życia – nie potrafiłam narzekać na spędzanie dni w otoczeniu kwiatów.

Budynek był mały, jednak wystarczał, by pomieścić dziesiątki gatunków kwiatów takich jak tulipany papuzie, lilie, maki i – oczywiście – róże. Przygotowywałyśmy również dekoracje na przeróżne okazje – najbardziej lubiłam śluby, a pogrzebów nie znosiłam.

Dziś był dzień pogrzebu i wypadała moja kolej, by dostarczyć busem zamówienie.

– Na pewno nie chcesz, bym zajęła się ślubem Garretta, żebyś ty mogła pojechać na pogrzeb Russella? – zapytałam, pakując do samochodu bukiet z białych mieczyków i róż. Zmarła osoba musiała być kochana, sądząc po liczbie zamówionych kwiatów. Poproszono o bukiet z kilkunastu białych róż na trumnę, pięć dużych wieńców z szarfami z napisem „Tacie”, a także wiele bukietów, zapewne do udekorowania kościoła.

Zdumiewało mnie, że tak piękne kwiaty zdobiły tak smutną ceremonię.

– Na pewno. Ale pomogę ci zapakować auto – powiedziała Mari, biorąc wieniec i idąc z nim do uliczki, gdzie stał zaparkowany bus.

– Jeśli pojedziesz dziś na ten pogrzeb, przestanę co rano ciągać cię na *power jogę*.

Parsknęła śmiechem.

– Gdybym dostawała centa za każdym razem, gdy to powiesz, byłabym już w Europie.

– Nie, przyrzekam! Koniec z poceniem się o szóstej rano.

– Kłamiesz.

Przytaknęłam

– Tak, kłamię.

– I koniec z odkładaniem wycieczki do Europy. Na mur beton jedziemy w przyszłe wakacje, tak? – zapytała, mrużąc oczy.

Jęknęłam. Odkąd zachorowała, odkładałam naszą podróż. Wiedziałam, że już wyzdrowiała, była silna i pełna energii, ale podświadomie bałam się, że tak wielka wyprawa z dala od domu sprawi, że coś stanie się z jej zdrowiem, gdy będziemy w jakimś obcym kraju.

Przełknęłam z trudem ślinę i przytaknęłam. Mari uśmiechnęła się szeroko zadowolona i wróciła na zaplecze.

– Do którego kościoła mam to zawieźć? – zastanawiałam się na głos, szukając w komputerze odpowiedniego zamówienia. Zamarłam i zmrużyłam oczy, czytając: UW-Milwaukee Panther Arena. – Mari! – zawołałam. – Napisano tutaj, że mam to dostarczyć na stadion w mieście... Zgadza się?

Siostra wyszła z zaplecza, zerknęła na ekran, po czym wzruszyła

ramionami.

– Wow. To wyjaśnia liczbę kwiatów. – Przygładziła włosy i się uśmiechnęła. Ilekroć to robiła, serce puchło mi z radości. Odrastające włosy przypominały o odzyskaniu przez nią życia i o tym, jak wielkie miałyśmy szczęście, będąc w miejscu, w którym byliśmy dzisiaj. Niezmiernie się cieszyłam, że kwiaty w busie nie były przeznaczone dla niej.

– Tak, ale kto urządza pogrzeb na stadionie? – zapytałam zdezorientowana.

– Musiał umrzeć ktoś sławny.

Wzruszyłam ramionami, nie poświęcając temu zbyt wiele uwagi. Choć przyjechałam pod stadion dwie godziny przed ceremonią, przed budynkiem zastałam niezliczoną liczbę ludzi. Mogłabym przysiąc, że na ulicy tłoczyły się setki osób. Nad porządkiem czuwała policja.

Niektórzy pisali liściki, umieszczając je na schodach, inni płakali, jeszcze inni pogrążeni byli w rozmowach.

Podjechałam na tyły stadionu, by rozładować kwiaty, ale jeden z pracowników ochrony odmówił mi wstępu do budynku. Otworzył drzwi, lecz stanął w przejściu, blokując mi je.

– Przepraszam, nie może pani tam wejść – powiedział. – Można jedynie za okazaniem przepustki VIP. – Miał słuchawkę na szyi, a sposób, w jaki zamknął za sobą drzwi, blokując widok, sprawił, że nabrałam podejrzeń.

– O nie, ja tylko przywiozłam kwiaty – zaczęłam wyjaśniać, ale przewrócił oczami.

– Jeszcze więcej kwiatów? – jęknął, a następnie wskazał inne drzwi. – Wjazd dla kwiaciarzy jest za rogiem, trzecia brama. Nie można jej nie zauważyć – powiedział oschle.

– Okej. Hej, a czyj to właściwie pogrzeb? – zapytałam. Stałam na palcach i próbowałam zajrzeć do środka.

Mężczyzna spiorunował mnie pełnym irytacji spojrzeniem.

– Za rogiem – warknął, wchodząc i zatrzaskując drzwi.

Szarpnęłam skrzydłem i zmarszczyłam brwi.

Zamknięte.

Kiedyś miałam przestać być wścibska, jednak nie stanie się to dzisiaj.

Uśmiechnęłam się do siebie i mruknęłam pod nosem:

– Ciebie również miło było poznać.

Gdy wyjechałam za róg, zobaczyłam, że nie byliśmy jedyną kwiaciarnią dostarczającą dekoracje. Przede mną stały trzy busy, a kierowcy nie zostali wpuszczeni do budynku – bukiety odbierano w drzwiach. Nim zdołałam zaparkować, pracownicy byli już z tyłu mojego auta, waląc w drzwi, bym otworzyła. Kiedy zwołam blokadę, zajęli się wyjmowaniem kwiatów, nie poświęcając im należytej uwagi. Skrzywiłam się, widząc, jak jedna z kobiet traktuje bukiet białych róż. Zarzuciła go sobie na ramię, niszcząc przy tym użyte do ozdoby zielone dzwonki irlandzkie.

– Ostrożnie! – zawołałam, ale wszyscy wydawali się głusi.

Kiedy skończyli, zatrzasnęli drzwi mojego auta, podpisali dokumenty i podali mi kopertę.

– Co to?

– Nie powiedziano pani? – Kobieta westchnęła ciężko, kładąc rękę na biodrze. – Kwiaty są tylko na pokaz. Syn pana Russella polecił, by po pogrzebie zostały zwrócone do kwiaciarni. W środku jest przepustka na zaplecze, by po wszystkim odebrać towar. Inaczej kwiaty zostaną wyrzucone.

– Wyrzucone?! – wykrzyknęłam. – To marnotrawstwo.

Kobieta uniosła brwi.

– Tak, bo w przeciwnym razie kwiatki i tak nie zwiędną – rzuciła z sarkazmem. – Przynajmniej będzie mogła je pani zabrać.

I sprzedać kwiaty z czyjegoś pogrzebu? Przecież to chore.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, kobieta machnęła ręką na pożegnanie.

Otworzyłam więc kopertę, w której znalazłam przepustkę i kartkę z instrukcjami: „Po ceremonii proszę okazać dokument, by odebrać kwiaty, inaczej zostaną zutyliczowane”.

Wielokrotnie przeczytałam powyższe zdanie.

Spojrzałam na przepustkę.

Przepustkę.



Na pogrzeb.

Jak długo żyję, nie byłam świadkiem tak dziwnego widowiska. Kiedy wyjechałam z za rogu na główną ulicę, zobaczyłam, że przed budynkiem zebrało się jeszcze więcej ludzi, którzy w tej chwili przyczepiali liściki do ściany.

Moja ciekawość osiągnęła całkiem nowy poziom, więc kilkakrotnie okrążyłam budynek, aż w końcu znalazłam miejsce do zaparkowania. Zgasiłam silnik i wysiadłam z busa, by zobaczyć, co się działo i czyj to w ogóle był pogrzeb. Gdy weszłam na zatłoczony chodnik, zobaczyłam dziewczynę, która klęcząc, pisała coś na kartce.

– Przepraszam – odezwałam się, stukając ją w ramię. Popatrzyła na mnie z promiennym uśmiechem. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale... czyj to właściwie pogrzeb?

Wstała, wciąż się uśmiechając.

– Kenta Russella, tego autora.

– O, niemożliwe.

– Tak. Wszyscy piszą podziękowania, jak to uratował im życie, i przyczepiają do ściany, by uczcić jego pamięć, ale, tak między nami, ja przyszłam, by zobaczyć G.M. Russella. Chociaż żałuję, że musi to być przy takiej okazji.

– G.M. Russell? Chwila, to ten sławny autor thrillerów i horrorów?! – sapnęłam, gdy mnie w końcu oświeciło. – O rany! Uwielbiam G. M. Russella!

– Wow. Trochę ci zeszło, by połączyć kropki. Początkowo myślałam, że te jasne włosy to od utleniania, ale teraz widzę, że jesteś naturalną blondynką – rzuciła żartem. – To wielkie wydarzenie, bo wiesz, jaki jest G.M. jeśli chodzi o publiczne wystąpienia. Ledwo w nich uczestniczy. Na spotkaniach z czytelnikami uśmiecha się tylko sztucznie i prawie nigdy nie daje robić sobie zdjęć, jednak dziś będziemy mogły pstrykać fotki. Super!

– Fani zostali zaproszeni na pogrzeb?

– Tak, Kent życzył sobie tego w testamencie. Pieniądze z biletów przekazane zostaną na szpital dziecięcy. Mam dobre miejsca. Miała przyjść ze mną przyjaciółka, Heather, ale zaczęła rodzić. Dzieci jak

zwykle wszystko rujną.

Roześmiałam się.

– Chcesz bilet? – zapytała. – Miejsce jest blisko przodu. Poza tym wolę siedzieć obok fanki G.M. niż obok kogoś lubiącego papę Russella. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ile osób tak naprawdę przyszło tu dla niego – zamilkła, uniosła brwi i zaczęła grzebać w torebce. – Po zastanowieniu cofam to, przecież to jego ceremonia i w ogóle. – Podała mi bilet. – A w ogóle to jestem Tori.

– Lucy – odparłam z uśmiechem. Zawahałam się, myśląc, że to jednak dziwne uczestniczyć w zorganizowanym na stadionie pogrzebie obcej osoby, ale przecież G.M. Russell był w tym budynku, tak samo jak i moje kwiaty, które za kilka godzin miały trafić do śmietnika.

W końcu dotarliśmy do środka. Tori po drodze nie przestawała robić zdjęć.

– To wspaniałe miejsca, prawda? Nie wierzę, że udało mi się upolować bilet za jedyne dwa tysiące.

– Dwa tysiące?! – sapnęłam.

– Prawda? Zdzierstwo, ale wystarczyło, że sprzedałam nerkę w Internecie jakiemuś Kenny'emu.

Obróciła się do starszego mężczyzny siedzącego po jej lewej. Musiał być koło siedemdziesiątki, ale był niesłychanie przystojny. Miał na sobie niezapięty trencz, a pod nim brązowy zamszowy garnitur i biały krawat w niebieskie kropki. Kiedy na nas spojrzał, uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam za ciekawość, ale ile zapłacił pan za miejsce?

– Nie płaciłem – odparł z przyjaznym uśmiechem. – Graham był moim studentem. Zostałem zaproszony.

Całkowicie zszokowana Tori uniosła rękę.

– Chwileczkę, profesor Oliver to pan?

Uśmiechnął się i przytaknął.

– Winny zarzucanych mi czynów.

– Jest pan jak... Yoda dla naszego Luke'a Skywalker'a. Jest pan Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz. Jest pan profesorem Oliverem! Czytałam każdą publikację, jaka wyszła spod ręki Grahama,

i muszę przyznać, że to wielki zaszczyt spotkać osobę, o której tak pochlebnie się wyrażał. Cóż, pochlebnie w rozumieniu słów G.M. Russella, co oznacza, że nie prawili komplementów, jeśli wie pan, o co mi chodzi. – Zachichotała pod nosem. – Mogę uścisnąć panu dłoń?

Tori przegadała niemal całą uroczystość, umilkła jedynie, gdy Graham został zaproszony na mównicę. Zanim otworzył usta, rozpiął marynarkę, zdjął ją i w niezwykle męski sposób podwinął rękawy koszuli. Zrobił to bardzo powoli, pocierając o siebie wargami, i westchnął cicho.

*Wow.*

Był atrakcyjny, nie wkładając w to żadnego wysiłku.

Na żywo okazał się przystojniejszy, niż się spodziewałam. Jego postawa była tajemnicza, czarująca, choć nie zachęcała do kontaktu. Krótkie, kruczoczarne włosy miał zaczesane do tyłu w luźnych falach, a mocną, kwadratową żuchwę pokrywał kilkudniowy zarost. Miedziana skóra była gładka i nieskazitelna, nie można było doszukać się niedoskonałości, prócz niewielkiej blizny na szyi, która jednak nie odejmowała mężczyźnie perfekcji.

Jeśli nauczyłam się z jego książek czegokolwiek o bliznach, to tego, że kiedy występowały, mogły być piękne.

Człowiek ten ani razu się nie uśmiechnął, ale nie zdziwiło mnie to – w końcu chował ojca. Jednak gdy przemówił, jego głos był gładki, niczym whisky z lodem. Podobnie jak każdy na widowni, nie mogłam oderwać oczu od tego mężczyzny.

– Mój ojciec, Kent Russell, ocalił mi życie. Codziennie zachęcał nie tylko do tego, bym był lepszym pisarzem, ale też lepszym człowiekiem. – Kolejne pięć minut jego mowy doprowadziło setki osób do łez, wstrzymania oddechu i pragnienia, by również być spokrewnionym z Kentem. Nie przeczytałam ani jednej jego książki, ale Graham zachęcił mnie na tyle, bym po którąś sięgnęła. Mężczyzna na scenie urwał nagle, spojrzał w sufit i uśmiechnął się lekko. – Zakończę słowami mojego ojca: „Bądź inspiracją. Mów prawdę. Ryzykuj”. Mam tylko jedno życie, więc na cześć taty zamierzam żyć tak, jakby każdy dzień był moim ostatnim

rozdziałem.

– O rety – szepnęła Tori, ocierając mokre oczy. – Widziałaś? – zapytała, wskazując na swoje kolana.

– Co widziałam? – odszepnęłam.

– Jak wielki jest mój hipotetyczny wzwód. Nie wiedziałam, że można się tak nakręcić mową pogrzebową.

Parsknęłam śmiechem.

– Ja też nie.

Po ceremonii wymieniliśmy się z Tori numerami telefonów – dziewczyna zaprosiła mnie do swojego klubu książki. Pożegnaliśmy się i poszłam na tyły stadionu, by odebrać kwiaty. Sięgając po róże, mimowolnie myślałam, jak źle się czułam z powodu przepychu na pogrzebie Kenta. Miałam wrażenie, że przypominało to... cyrk.

Nie byłam jednak kimś, kto rozumiał pogrzeby – przynajmniej nie te tradycyjne. W naszej rodzinie ostatnie pożegnanie wiązało się z posadzeniem drzewa, by uhonorować pamięć zmarłego i uczcić jego życie, tym samym dodając światu piękna.

Kiedy jedna z pracownic przeszła obok z bukietem moich kwiatów, sapnęłam.

– Przepraszam! – zawołałam za nią. Nie usłyszała mnie, bo miała nałożone słuchawki. Pospieszyłam więc za nią, przepychając się przez zebranych i próbując ją dogonić. Podeszła do drzwi, otworzyła je i wyrzuciła kwiaty na zewnątrz, po czym odeszła tanecznym krokiem.

– To bukiet warty trzy stowy! – jęknęłam na głos, spiesząc przez drzwi, które trzasnęły za mną, gdy podbiegłam do śmietnika znajdującego się w zagrodzonej części.

Owiało mnie chłodne wieczorne powietrze, gdy skąpana w poświacie księżycy wyjmowałam róże. Trzymając je w ręce, odetchnęłam głęboko. Było w tej nocy coś spokojnego, jakby wszystko zwolniło, jakby codzienny gwar miał milczeć aż do rana.

Kiedy próbowałam otworzyć drzwi, by wrócić do środka, spanikowałam.

Szarpałam gwałtownie za uchwyt.

Zamknięte.

*Cholera.*

Dłonią zwiniętą w pięść zaczęłam walić w szybę, próbując dostać się jakoś do środka.

– Halo! – wołałam chyba z dziesięć minut, nim się w końcu poddałam.

Pół godziny później siedziałam na betonie, gapiąc się w gwiazdy, gdy usłyszałam za sobą otwieranie drzwi. Obróciłam się i sapnęłam cicho.

*To był on.*

Graham Russell.

Stał tuż za mną.

– Przestań – warknął, zauważając, że mu się przyglądam. – Przestań tak na mnie patrzeć.

– Chwila! Niech... – Wstałam, ale w momencie, w którym chciałam powiedzieć, by nie zamykał drzwi, usłyszałam trzask. – ... pan nie zamyka.

Uniósł brwi, przetwarzając moje słowa. Szarpnął drzwi i westchnął ciężko.

– No chyba ktoś tu sobie jaja robi. – Szarpał dalej, ale drzwi pozostały niewzruszone. – Zamknęły się.

Przytaknęłam.

– No.

Poklepał się po kieszeniach spodni.

– A telefon został w marynarce, która wisi w środku na oparciu krzesła.

– Przykro mi, zaproponowałabym swój, ale padła mi bateria.

– Oczywiście, że tak – powiedział ponuro. – Ponieważ ten dzień nie mógł być jeszcze gorszy.

Przez dłuższą chwilę walił w drzwi bez rezultatu, a następnie zaczął przeklinać wszechświat za swoje niesłychanie podłe życie. Podszedł do ogrodzenia po drugiej stronie placu i założył ręce na kark. Był całkowicie wyczerpany.

– Przykro mi – szepnęłam cicho. – Moje kondolencje.

Wzruszył ramionami, niezainteresowany.

– Ludzie umierają. To dość powszechny aspekt życia.

– Tak, ale to wcale nie sprawia, że to łatwiejsze i właśnie dlatego mi przykro.

Nie odpowiedział, ale nie musiał. Wciąż byłam oszołomiona, znajdując się tak blisko niego. Odchrząknęłam i ponownie się odezwałam, ponieważ nie lubiłam przedłużającej się ciszy.

– Piękna mowa. – Spojrzał na mnie chłodno, nim ponownie się odwrócił. Nie dawałam za wygraną: – Pokazał pan, jakim dobrym człowiekiem był pana tata i jak zmienił życie zarówno pana, jak i innych. Pana dzisiejsza mowa była... była taka... – urwałam, szukając właściwego słowa, by ją opisać.

– Beznadziejna – powiedział.

Wyprostowałam się.

– Słucham?

– Mowa była do dupy. Znalazłem ją na zewnątrz. Napisał ją ktoś, kto przyczepił kartkę na ścianie. Ten ktoś nie spędził zapewne dziesięciu minut w towarzystwie mojego ojca, w przeciwnym razie wiedziałby doskonale, jak beznadziejną osobą był Kent Russell.

– Więc splagiatował pan mowę pożegnalną na pogrzebie własnego ojca?

– Gdyby tak to ująć, brzmi to strasznie – odparł oschle.

– Brzmi tak zapewne dlatego, że po części to prawda.

– Ojciec był okrutnym człowiekiem, który manipulował ludźmi i faktami, by dostać to, czego chciał. Śmiał się, że ktoś wyrzuca pieniądze, by kupić jego zakichane książki i żyć w oparciu o śmieci, jakie wypisywał. Na przykład książkę pod tytułem *Trzydzieści dni do trzeźwości* napisał pijany w sztok. Musiałem wyciągać go z jego własnych wymiocin więcej razy, niż mógłbym zliczyć. *Pięćdziesiąt sposobów na miłość?* Posuwał prostytutki i zwolnił asystentkę, bo nie chciała iść z nim do łóżka. Był nic niewarta, żalostną postacią i jestem pewien, że nie ocalił nikomu życia, choć wielu wyznało mi to dzisiaj dramatycznie. Wykorzystał was wszystkich, by kupić sobie jacht i pieprzyć na nim kogo popadnie.

Opadła mi szczęka.

– Wow. – Zaśmiałam się, kopiąc mały kamyk. – Niech pan powie,

jak naprawdę się pan czuje.

Podjął wyzwanie i powoli się ku mnie obrócił. Podszedł bliżej, a moje serce przyspieszyło. Żaden mężczyzna nie powinien być tak niesamowicie mroczny. Graham nieustannie się krzywił. Zastanawiałam się, czy w ogóle wiedział, jak się uśmiechać.

– Chcesz wiedzieć, jak się naprawdę czuję?

*Nie.*

*Tak.*

*Może?*

Nie pozwolił mi odpowiedzieć, bo sam zaczął mówić:

– Sprzedawanie biletów na pogrzeb wydaje mi się absurdalne. Uważam za niedorzeczne zarabianie na śmierci człowieka, zmieniając ceremonię jego pożegnania w cyrk. Myślę, że to straszne, że znalazły się osoby chętne ponieść dodatkową opłatę, by znaleźć się później na stypie, ale przecież były osoby płacące za siedzenie na tej samej kanapie co Jeffrey Dahmer. Nie powinno mnie to dziwić, mimo to codziennie zaskakuje mnie brak inteligencji u niektórych osób.

– Wow... – Wygładziłam białą sukienkę, kołysząc się na piętach. – Naprawdę go pan nie lubił, co?

Spojrzał pod nogi, nim ponownie uniósł głowę.

– Ani trochę.

Popatrzyłam w ciemną noc na gwiazdy.

– Zabawne, prawda? Jak osoba, która dla jednego jest aniołem, dla drugiego może stać się demonem.

Nie zainteresowały go moje przemyślenia. Wrócił do drzwi i ponownie zaczął się dobijać.

– *Maktub* – powiedziałam, uśmiechając się.

– Co?

– *Maktub*. Tłumaczy się to jako „jest napisane”, ale oznacza, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. – Bez namysłu wyciągnęłam do niego rękę. – A tak w ogóle to jestem Lucy. Zdrobnienie od Lucille.

Zmrużył oczy, nierozbawiony.

– Okej.

Zachichotałam, podchodząc i nadal wyciągając rękę.

– Wiem, że autorzy czasami są w stanie przegapić pewne sygnały, ale to chwila, w której powinien pan uścisnąć moją dłoń.

– Nie znamy się.

– Zadziwiające, ale zazwyczaj tak się dzieje, gdy ludzie po raz pierwszy wymieniają uścisk dłoni.

– Graham Russell – powiedział, ale nie podał mi ręki. – Jestem Graham Russell.

Opuściłam dłoń, uśmiechając się z zażenowaniem.

– Wiem, kim jesteś. Choć zabrzmiało to banalnie, jestem twoją zagorzałą fanką. Przeczytałam wszystko, co napisałeś.

– To niemożliwe. Napisałem rzeczy, które nigdy nie zostały opublikowane.

– Być może, ale gdy tylko zostaną wydane, przyrzekam, że przeczytam.

– Czytałaś *Żniwa*?

Zmarszczyłam nos.

– Tak...

Uśmiechnął się – nie – jego usta zaledwie drgnęły. *Mój błąd.*

– Ta książka jest tak kiepska, jak mi się wydaje, prawda? – zapytał.

– Nie, jest po prostu... Inna niż reszta. – Przygryzłam dolną wargę. – Jest inna, ale nie potrafię sprecyzować dlaczego.

– Napisałem ją po śmierci babci. – Przystąpił z nogi na nogę. – Zupełnie mi nie wyszła, nie powinna zostać wydana.

– Nie – powiedziałam stanowczo. – Skradła mi serce, jednak w jakiś inny sposób... I, możesz mi wierzyć, powiedziałabym ci, gdyby powieść była całkowicie do niczego. Nigdy nie potrafiłam kłamać. – Poruszyłam brwiami, zmarszczyłam nos i stanęłam na palcach, dokładnie jak robiła to mama. Znów spojrzałam w gwiazdy. – Myślałeś, by posadzić drzewo?

– Że co?

– Drzewo, aby uczcić ojca. Kiedy zmarła bliska mi osoba, została skremowana, a jej prochy użyte do posadzenia drzewa. Kiedy mamy z siostrą wolne, bierzemy jej ulubione słodycze, siadamy pod



tym drzewem i jemy, by uczcić jej pamięć. To pełne koło życia. Przyniosła na ten świat energię, odeszła w ten sam sposób.

- Naprawdę karmisz mnie tymi wierutnymi stereotypami, co?
- To właściwie świetny sposób na zachowanie piękna w świecie.
- Lucille...
- Dlaczego nie Lucy?
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia sześć.

– Lucy to imię dla dziecka. Jeśli naprawdę chcesz coś znaczyć, powinnaś przedstawiać się jako Lucille.

– Zapamiętam. Jeśli kiedykolwiek zechcesz zacząć się bawić, powinieneś przedstawiać się jako Herbatnik Grahamek.

- Zawsze tak nedorzecznie się zachowujesz?
- Jedynie na pogrzebach, na które trzeba nabyć bilet.
- Jaka była ich cena?
- Średnio od dwóch stówek do dwóch tysięcy.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Żartujesz? Ludzie zapłacili dwa tysiące, by popatrzeć na trupa?!

Przeczesałam włosy palcami.

– Plus podatek.

– Martwię się o przyszłe pokolenia.

– Nie martw się, wcześniejsze pokolenie martwiło się o ciebie, a mimo to wyrosłeś na wesołą, pogodną osobę – zadrwiłam.

Wydawało mi się, że się prawie uśmiechnął.

I było to niemal piękne.

– Wiesz co? Sądząc po końcówce mowy, powinnam się była domyślić, że nie ty ją napisałeś.

Uniósł brew.

– Tak naprawdę to napisałem tę mowę.

Zaśmiałam się.

– Wcale nie.

Nie roześmiał się.

– Masz rację, nie napisałem. Skąd wiesz?

– Pisziesz thrillery i horrory. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, przeczytałam wszystkie i żaden nie skończył się dobrze.

– Nieprawda – spierał się.

Skinęłam głowę.

– Prawda. Zawsze wygrywają potwory. Zaczęłam czytać twoje książki, gdy straciłam przyjaciółkę, a ich mrok przyniósł mi nieznaczną ulgę. Wiedza, że na świecie istnieje innego rodzaju cierpienie, pomogła mi uporać się z własnym bólem. Co dziwne, twoje książki dały mi spokój.

– Jestem pewien, że choć jedna ma szczęśliwe zakończenie.

– Ani jedna. – Wzruszyłam ramionami. – Ale to nic. To arcydzieła, choć nie tak pozytywne jak dzisiejsza mowa – zamilkłam i ponownie zachichotałam. – Pozytywna mowa pogrzebowa. To najdziwniejsze stwierdzenie jakie kiedykolwiek wypowiedziałam.

Ponownie zapadła cisza. Graham wrócił do walenia pięściami w drzwi co kilka minut, a po każdej nieudanej próbie wzdychał ciężko, rozczarowany.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powtórzyłam, widząc, jak spięty się wydawał. To był dla niego długi dzień, nie podobało mi się, że wyraźnie chciał zostać sam, a ja stałam na jego drodze do samotności. Dosłownie został uwięziony z nieznaną w dzień pogrzebu własnego ojca.

– To nic. Ludzie umierają.

– Nie, nie chodzi mi o jego śmierć. Jestem jedną z tych, którzy uważają, że śmierć jest początkiem kolejnej przygody. Miałam na myśli to, że przykro mi, że nie był dla ciebie człowiekiem, jakim był dla reszty świata.

Przez chwilę rozważał moje słowa, ale wybrał milczenie.

– Rzadko dzielisz się odczuciami, co? – zapytałam.

– A ty dzielisz się nimi za często – odparł.

– Napisałeś w ogóle własną?

– Mowę? Nie. Ty napisałaś te podziękowania i przyczepiłaś je na ścianie? Przeczytałem twoje słowa?

Roześmiałam się.

– Nie, ale napisałam coś podczas pogrzebu. – Wyciągnęłam z torebki niewielką kartkę. – To nic tak pięknego jak twoje... twoje

pożyczone słowa, ale jednak coś.

Wyciągnął rękę, więc podałam mu kartkę, a nasze palce zetknęły się przy tym nieznacznie.

*Spełnienie marzeń fanki za trzy... dwa...*

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie... – przeczytał na głos, po czym gwizdnął cicho. – O – powiedział, kiwając powoli głową. – Jesteś świrniętą hipiską.

– Tak, jestem świrniętą hipiską – przyznałam, a kącik jego ust drgnął, gdy mężczyzna walczył, by się nie uśmiechnąć. – Mama nieustannie nam to powtarzała.

– Więc twoja matka też jest świrniętą hipiską.

Zakłuło mnie serce, ale nie przestałam się uśmiechać. Znalazłam sobie miejsce i ponownie usiadłam.

– Tak, była.

– Była – mruknął, marszcząc brwi. – Przykro mi.

– W porządku. Ktoś powiedział mi kiedyś, że ludzie umierają i że to dość powszechny aspekt życia.

– Tak, ale... – zaczął, lecz po chwili urwał. Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a chłód zniknął z jego oczu, zastąpiły go smutek i ból. Ukrywał to spojrzenie przez cały dzień zarówno przed światem, jak i zapewne przez całe życie przed sobą.

– Napisałem pożegnanie – szepnął, siadając obok. Ugiął kolana i położył na nich przedramiona z podwiniętymi rękawami koszuli.

– Tak?

– Tak.

– Chcesz się nim podzielić? – zapytałam.

– Nie.

– Okej.

– Tak – mruknął cicho.

– Okej.

– To nic takiego... – ostrzegł, wyciągając z kieszeni spodni złożoną kartkę.

Szturchnęłam go w nogę.

– Grahamie, siedzisz uwieczony na stadionie ze świrniętą hipiską, której zapewne już nigdy nie zobaczysz. Nie powinieneś się

denerwować.

– Dobra. – Odchrząknął, denerwując się bardziej, niż powinien. – Nienawidziłem ojca, który zmarł kilka dni temu. Był dla mnie największym demonem, największym potworem, zmienił moje życie w koszmar. Mimo to po jego śmierci mój świat w jakiś sposób zwolnił. Brak mi nieistniejących wspomnień.

*Wow.*

Słów było niewiele, ale te, które przeczytał, były wymowne.

– I tyle? – zapytałam z gęsią skórką na rękach.

Przytaknął.

– Tyle.

– Herbatniku Grahamku? – zapytałam, obracając się do niego i przysuwając nieznacznie.

– Tak, Lucille? – odparł, również się ku mnie zwracając.

– Każde słowo, które napisałeś staje się moją nową ulubioną historią.

Kiedy rozchylił usta, by mi odpowiedzieć, drzwi budynku otworzyły się, więc zerwaliśmy kontakt wzrokowy. Odwróciłam się do stojącego za nami ochroniarza.

– Znalazłem go! Drzwi na podwórze się zatrzasnęły. Zgaduję, że został uwięziony.

– O Boże, najwyższy czas! – powiedziała kobieta. W chwili, w której wyszła na zewnątrz, zmrużyłam oczy z niedowierzaniem.

– Jane.

– Lyric?

Powiedzieliśmy jednocześnie z Grahamem, patrząc na moją starszą siostrę, której nie widziałam od lat – siostrę, która spodziewała się dziecka i patrzyła na nas, wytrzeszczając oczy.

– Kim jest Jane? – zapytałam.

– Kim jest Lyric? – zapytał Graham.

Jej spojrzenie było pełne emocji. Złapała się za serce.

– Co ty tu, u diabła, robisz, Lucy? – zapytała drżącym głosem.

– Przywiozłam kwiaty na uroczystość – odparłam.

– Zamówiłeś je z Ogrodów Moneta? – zapytała Lyric Grahama.

Zaskoczyło mnie to, że znała nazwę mojej kwiaciarni.

– Zamówiłem z kilku. Czy to ważne? Chwila, skąd wy się znacie? – zapytał Graham, wciąż zdezorientowany.

– Cóż – powiedziałam, trzęsąc się i wpatrując w brzuch Lyric, a następnie w oczy, które odziedziczyła po mamie. Oczy, które wypełniły się łzami, jakby została przyłapana na wielkim kłamstwie. Rozchyliłam usta, by wyznać prawdę: – To moja siostra.

## ROZDZIAŁ 3

### GRAHAM

– Twoja siostra? – zapytałem, powtarzając po Lucy i patrząc tępo na wciąż milczącą żonę. – A od kiedy ty masz siostrę?

– A od kiedy masz męża i spodziewasz się dziecka? – zapytała Lucy.

– To długa historia – odparła cicho, kładąc rękę na brzuchu i krzywiąc się nieco. – Grahamie, czas iść. Mam spuchnięte nogi i jestem wykończona.

Jane – *Lyric* – spojrzała na Lucy, która nadal patrzyła na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Ich tęczówki miały ten sam kolor, jednak było to jedyne podobieństwo między kobietami. Jedne czekoladowe oczy były zimne jak zwykle, podczas gdy drugie były miękkie, wypełnione ciepłem.

Nie potrafiłem oderwać wzroku od Lucy, gdy przeszukiwałem umysł, próbując zrozumieć, jak ktoś taki jak ona mógł być spokrewniony z kimś takim jak moja żona.

Gdyby Jane miała przeciwieństwo, z pewnością byłaby nim Lucy.

– Grahamie – warknęła Jane, przez co oderwałem spojrzenie od kobiety z ciepłem w oczach. Obróciłem się do żony i uniosłem brwi. Skrzyżowała ręce nad brzuchem i przypomniała głośno: – To był długi dzień, czas jechać do domu.

Odwróciła się, by odejść, gdy Lucy – wpatrzona w siostrę – odezwała się:

– Trzymałaś to wszystko w tajemnicy przed rodziną. Naprawdę

aż tak nas nienawidzisz? – zapytała drżącym głosem.

Jane zamarła na chwilę, po czym się wyprostowała, ale nie obróciła.

– Nie jesteś moją rodziną.

Wyszła.

Stałem przez kilka sekund w miejscu, niepewny, czy nogi udźwigną mnie, gdy się ruszę. Na moich oczach Lucy pękło serce. Dziewczyna została zmiażdżona. Łagodne oczy przepełniły się uczuciami, niepowstrzymywane łzy popłynęły strumieniem po policzkach. Lucy pozwoliła, by przytłoczyły ją emocje, nie próbowała wziąć się w garść, przestać płakać i się trząść. Mogłem to niemal zobaczyć – jak na jej sercu pojawił się wielki kamień, wciskający ją powoli w ziemię. Jej ciało fizycznie się ugięło, sprawiając, że była coraz mniejsza od przytłaczającego ją bólu. Nigdy nie widziałem kogoś, kto tak wyraźnie manifestowałby swoje emocje, nie odkąd...

*Stop.*

Umysł chciał wrócić do przeszłości, do głęboko ukrytych wspomnień. Oderwałem wzrok od Lucy i spuściłem rękawy koszuli, próbując zablokować dźwięk bólu, jaki czuła.

Kiedy ruszyłem w stronę drzwi, które wciąż przytrzymał ochroniarz, spojrzałem na załamana kobietę i odchrząknąłem.

– Lucille – powiedziałem, poprawiając krawat. – Mała rada?

– Tak? – Objęła się rękami, a kiedy na mnie popatrzyła, jej uśmiech zastąpiło mocne skrzywienie.

– Spróbuj odczuwać mniej – rzuciłem. – Nie pozwól, by inni sterowali w taki sposób twoimi emocjami. Odetnij się od tego.

– Mam odciąć się od uczuć?

Przytaknąłem.

– Nie potrafię – odparła, wciąż płacząc. Złapała się za serduszko wiszące na szyi i pokręciła głową. – Taka właśnie jestem. Jestem dziewczyną, która wszystko czuje.

Wiedziałem, że to prawda.

Wszystko odczuwała, ja natomiast nie czułem nic.

– Więc świat zrobi ci krzywdę – pouczyłem ją. – Im więcej z siebie

dasz, tym więcej zostanie ci odebrane. Wierz mi, weź się w garść.

– Ale... to moja siostra i...

– Nie jest twoją siostrą.

– Co?

Podrapałem się po karku i wepchnąłem rękę do kieszeni.

– Właśnie stwierdziła, że nie jesteś jej rodziną, co oznacza, że ma cię gdzieś.

– Nie. – Pokręciła głową, wciąż trzymając zawieszkę w kształcie serca. – Nie rozumiesz. Moja relacja z siostrą jest...

– Nieistniejąca. Jeśli kogoś kochasz, mówisz o nim innym, a ja ani razu o tobie nie słyszałem.

Milczała, ale jej emocje uspokoiły się nieco, gdy otarła łzy. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i zaczęła cicho powtarzać:

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie, napełnij mnie duchu.

Wciąż to powtarzała, więc zmrużyłem oczy, nie wiedząc, czy Lucy była w ogóle człowiekiem. Przepęłniały ją emocje: była zmienna, niestała i pełna pasji. Całkowicie świadoma swoich wad, którym pozwalała istnieć. W jakiś sposób ją dopełniały.

– Nie męczy cię to? – zapytałem. – Odczuwanie tak wiele?

– Nie męczy cię odczuwanie tak niewiele?

W tamtej chwili zrozumiałem, że stanąłem twarzą w twarz z moim całkowitym przeciwieństwem i nie miałem pojęcia, jak odpowiedzieć tak dziwacznej nieznajomej.

– Do widzenia, Lucille.

– Do widzenia, Herbatniku Grahamku.

\*\*\*

– Nie skłamałam – zarzekała się Jane w drodze do domu. Nie powiedziałem, że skłamała, nie zadałem żadnych pytań o Lucy i o to, że nie wiedziałem do tej pory o jej istnieniu. Nie okazałem nawet gniewu, mimo to żona powtarzała, że nie skłamała.

*Jane.*

*Lyric?*

Nie miałem pojęcia, kim była siedząca obok mnie kobieta, ale czy w ogóle wiedziałem o niej cokolwiek, zanim przypadkowo spotkała



swoją siostrę?

– Masz na imię Jane – powiedziałem, zaciskając palce na kierownicy. Przymknęła. – I masz na imię Lyric?

– Tak... – Pokręciła głową. – Nie. Miałam, ale zmieniłam to imię wiele lat temu, zanim cię poznałam. Kiedy zamierzałam złożyć dokumenty na studia, wiedziałam, że żadna placówka nie potraktuje mnie poważnie, jeśli nadal będę miała na imię Lyric. Jaka kancelaria prawnicza zgodziłaby się zatrudnić później Lyric Daisy Palmer?

– Daisy – prychnąłem. – Nie zdradziłaś wcześniej drugiego imienia.

– Bo nie pytałeś o nie.

– Och.

Uniosłem brew.

– Nie jesteś zły?

– Nie.

– Wow. – Wzięła głęboki wdech. – W porządku. Gdyby role się odwróciły, byłabym...

– Ale się nie odwróciły – przerwałem jej, nie mając ochoty rozmawiać po czymś, co zdawało się być najdłuższym dniem mojego życia.

Przesunęła się na siedzeniu, ale się nie odezwała.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. W mojej głowie kotłowały się pytania, choć w dużej mierze nie chciałem poznać na nie odpowiedzi. Jane miała przeszłość, o której nie mówiła, ja miałem dokładnie taką samą. Niektóre fragmenty naszych żyć powinny pozostać w cieniu. Rodzina Jane była tego doskonałym przykładem. Nie było powodu, by omawiać szczegóły. Wczoraj nie miała siostry, a dzisiaj już tak. Wątpiłem jednak, by Lucy miała złożyć nam wizytę w Święto Dziękczynienia.

Udałem się prosto do sypialni, po drodze rozpinając koszulę. Żona natychmiast podążyła za mną, zdenerwowanie gościło na jej twarzy, ale się nie odezwała. Oboje zaczęliśmy się rozbierać, Jane podeszła do mnie cicho, obróciła się tyłem i poprosiła, bym rozpiął jej czarną sukienkę.

Spełniłem polecenie; zsunęła z siebie materiał, po czym założyła jedną z moich koszulek, których używała jako koszul nocnych. Naciągały się na jej brzuchu, ale mi to nie przeszkadzało.

Chwilę później staliśmy w łazience, myjąc zęby i nie wymieniając żadnych słów. Wyszczotkowaliśmy zęby, wypluliśmy pianę, wypłukaliśmy usta. Stanowiło to naszą rutynę, cisza była naszą przyjaciółką, a ten wieczór niczego nie zmienił.

Kiedy poszliśmy do łóżka, oboje zgasiliśmy lampki stojące na szafkach nocnych, nie odzywając się przy tym do siebie i nie życząc sobie dobrej nocy. Gdy zamykałem oczy, próbowałem również usilnie wyłączyć umysł, jednak wydarzenia dzisiejszego dnia wyciągnęły na wierzch wspomnienia. Zamiast zapytać Jane o jej przeszłość, wstałem i poszedłem do gabinetu. Pochłonęło mnie pisanie powieści. Wciąż musiałem dodać do niej dziewięćdziesiąt pięć tysięcy słów, więc postanowiłem zatracić się w fikcji, by na chwilę uciec od rzeczywistości. Kiedy pracowałem, mój umysł skupiał się jedynie na słowach. Słowa wyzwalały mnie od zamieszania z żoną, wyciągały z czeluści umysłu, gdzie ulokowałem cały ból związany z przeszłością.

Bez pisania mój świat przepelniałaby strata.

Bez słów byłbym wrakiem.

– Chodź do łóżka – powiedziała Jane, stając w drzwiach. Już drugi raz przeszkodziła mi dziś w pisaniu. Miałem nadzieję, że nie wejdzie jej to w nawyk.

– Muszę skończyć rozdział.

– Kolejny dzień jesteś bardzo długo na nogach.

– Nieważne.

– Mam dwie – powiedziała nagle, krzyżując ręce na piersiach. –

Dwie siostry.

Skrzywiłem się i wróciłem do pisania.

– Zostawmy to, Jane.

– Pocałowałeś ją?

Moje palce zamarły, a brwi ściągnęły się, gdy na nią spojrzałem.

– Co?

Przezesłała włosy palcami, a po jej policzkach spłynęły łzy.

Płakała. Znowu. Zbyt wiele łez jak na jeden dzień.

– Pytałam, czy ją pocałowałeś.

– O czym ty mówisz?

– Moje pytanie było dość proste. Po prostu odpowiedz.

– Nie będziemy tego ciągnąć.

– Pocałowałeś, prawda? – załkała. Wszelkie racjonalne myślenie dawno ją opuściło. Gdzieś pomiędzy gaszeniem lampek nocnych a moim przejściem do gabinetu, moja żona zmieniła się w emocjonalny wrak i w tej chwili jej umysł tworzył niestworzone historie. – Całowałeś ją. Całowałeś moją siostrę!

Zmrużyłem oczy.

– Nie teraz, Jane.

– Nie teraz?

– Proszę, nie przeżywaj mi tu teraz załamania nerwowego pod wpływem hormonów. To był długi dzień.

– Jezu, powiedz tylko, czy całowałeś moją siostrę – powtórzyła jak zdarta płyta. – Powiedz, przyznaj się.

– Nawet nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Co nie zmienia faktu, że ją całowałeś.

– Idź się połóż, Jane. Zaraz podniesie ci się ciśnienie.

– Zdradziłeś mnie. Zawsze wiedziałam, że do tego dojdzie. Zawsze wiedziałam, że mnie zdradzisz.

– Masz paranoję.

– Po prostu mi powiedz, Grahamie.

Złapałem się za włosy, niepewny, co powinienem zrobić, prócz tego, by powiedzieć jej prawdę.

– Jezu! Nie całowałem jej.

– Całowałeś – płakała, ocierając mokre oczy. – Wiem, że całowałeś, bo ją znam. Znam swoją siostrę. Zapewne wiedziała, że jesteś moim mężem i zrobiła to, by się odegrać. Niszczy wszystko, czego dotknie.

– Nie całowałem jej.

– Jest zarazą, której nikt nie dostrzega. Chociaż ja ją przejrzałam. Jest bardzo podobna do matki, wszystko tylko niszczy. Dlaczego nikt inny nie widzi tego, co ona wyprawia? Nie wierzę, że

mi to zrobiłeś, że zrobiłeś to nam. Jestem w ciąży, Grahamie!

– Nie całowałem jej! – wykrzyknąłem. Gardło paliło mnie słowami spływającymi z języka. Nie chciałem wiedzieć niczego więcej o przeszłości Jane. Nie prosiłem, by opowiadała o siostrze, nie drażyłem tematu, nie zadreślałem jej pytaniami, mimo to w jakiś sposób rozwinęła się dyskusja o kobiecie, której praktycznie nie znałem. – Nie mam pojęcia, kim jest twoja siostra, i nie chcę niczego o niej wiedzieć. Nie wiem, co roi ci się w głowie, ale przestań już do mnie mówić. Nie okłamałem cię. Nie zdradziłem cię. Nie zrobiłem niczego złego, więc przestań mnie atakować i to akurat dzisiaj.

– Przestań się zachowywać jakby ci zależało na dzisiejszym dniu – szepnęła, obracając się do mnie plecami. – Nie zależało ci nawet na ojcu.

Przed oczami stanęły mi słowa.

*Mimo to po jego śmierci mój świat w jakiś sposób zwolnił. Brak mi nieistniejących wspomnień.*

– Teraz jest odpowiedni moment, byś przestała mówić – ostrzegłem.

Nie zamilkła.

– Przecież to prawda. On dla ciebie nic nie znaczył. Był dobrym człowiekiem, a mimo to nic dla ciebie nie znaczył.

Nie odezwałem się.

– Dlaczego nie zapytasz o moje siostry? – dociekała. – Dlaczego cię to nie interesuje?

– Wszyscy mamy przeszłość, o której nie chcemy rozmawiać.

– Nie skłamałam – powtórzyła, choć nigdy nie zarzuciłem jej kłamstwa. Wydawało się, że próbowała przekonać samą siebie, że nie skłamała, choć w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Chodziło o to, że się nie interesowałem, bo jeśli nauczyłem się czegoś o ludziach, to tego, że wszyscy kłamią. Nikomu nie ufałem.

Kiedy ktoś nadszarpnie nasze zaufanie, gdy prawda wyjdzie na jaw, wszystko, co kiedykolwiek zostało powiedziane – prawdziwe czy też nie – zdaje się przynajmniej częściowo okryte kłamstwem.

– Dobra. W porządku. Zróbmy to. Wyłóżmy karty na stół.

Wszystkie. Mam dwie siostry, Mari i Lucy.

Skrzywiłem się.

– Przestań, proszę.

– Nie utrzymujemy kontaktu. Jestem najstarsza, Lucy jest najmłodsza. Jest emocjonalnym wrakiem. – Było to dość ironiczne stwierdzenie, biorąc pod uwagę fakt, że Jane była w trakcie własnego załamania. – I jest najwierniejszą kopią matki, która zmarła wiele lat temu. Ojciec odszedł od nas, gdy miałam dziewięć lat, ale nie mogę go winić, matka była świrnięta.

Uderzyłem dłońmi w biurko i obróciłem się do niej twarzą.

– Czego ty ode mnie chcesz, Jane? Chcesz, żebym powiedział, że jestem zły, bo mi o tym wcześniej nie opowiedziałaś? Dobra, jestem wkurzony. Chcesz, żebym był wyrozumiały? Dobra, rozumiem. Chcesz, żebym przyznał ci rację za odsunięcie się od tych ludzi? Super, masz rację, nie utrzymując z nimi kontaktu. A teraz proszę, chciałbym wrócić do pracy.

– Opowiedz mi o sobie, Grahamie. Powiedz o swojej przeszłości, no wiesz, tej, o której nigdy nie wspominasz.

– Zostaw to, Jane. – Byłem opanowany. Byłem świetny w nieokazywaniu uczuć, ale ona na mnie naciskała, droczyła się ze mną. Pragnąłem, by przestała, bo kiedy te uczucia zostaną uwolnione z czeluści mojej duszy, na powierzchni nie pojawi się smutek czy cierpienie.

Tylko wściekłość.

Wrzał we mnie gniew, a żona tylko go podsycala.

Zmuszała mnie, bym znów stał się potworem, o istnieniu jakiego nie wiedziała, chociaż co noc kładła się obok niego spać.

– No dalej, Grahamie. Opowiedz o dzieciństwie. Co z twoją matką? Przecież miałaś matkę, prawda? Co się z nią stało?

– Przestań – powiedziałem, zaciskając mocno powieki i zwijając dłonie w pięści. Ale ona nie odpuściła.

– Nie kochała cię wystarczająco? Zdradzała twojego ojca? Umarła?

Wyszedłem z gabinetu, bo czułem, że gniew znajdował się coraz bliżej powierzchni. Czułem, że rośnie w siłę i zaczyna mnie

przytłaczać. Próbowałem uciec od żony, ale poszła za mną.

– Dobra, nie chcesz rozmawiać o matce. A może porozmawiamy o ojcu? Powiedz, dlaczego tak bardzo nim gardzisz? Przeszkadzało ci, że nieustannie pracował?

– Nie chcesz tego – ostrzegłem ponownie, ale za bardzo się rozpędziła. Chciała zagrać nieczysto, jednak nie wiedziała, że zadziera z niewłaściwą osobą.

– Zabrał ci ulubioną zabawkę? Nie pozwolił ci mieć zwierzątka, gdy byłeś mały? Zapomniał o twoich urodzinach?

Moje spojrzenie przepełniała złość. Jane zauważyła to, gdy popatrzyła mi w oczy.

– Och – szepnęła. – Zapomniał o bardzo wielu urodzinach.

– Pocałowałem ją! – zagrzmiałem w końcu, patrząc na żonę, której opadła szczeka. – Tego chciałaś? Pragnęłaś usłyszeć to kłamstwo?! – syknąłem. – Przysięgam, że zachowujesz się jak kretynka.

Uderzyła mnie w pierś.

*Mocno.*

Z każdym jej uderzeniem na powierzchnię zaczęły wydostawać się emocje. Z każdym uderzeniem czułem to w swoim wnętrzu.

Tym razem był to żal.

– Przepraszam – powiedziałem. – Przepraszam.

– Nie pocałowałeś jej? – zapytała zdziwiona.

– Oczywiście, że nie.

– To był długi dzień i... Aua – sapnęła i zgięła się w pół z bólu. – Aua!

– Co się dzieje? – Popatrzyłem jej w oczy i pierś mi się ścisnęła. Trzymała ręce na brzuchu, a pomiędzy jej nóg coś ciekło, gdy odziana jedynie w moją koszulkę, cała się trzęsła. – Jane? – szepnąłem zdenerwowany i zdezorientowany. – Co się dzieje?

– Chyba odeszły mi wody.

## ROZDZIAŁ 4

### GRAHAM

– Za wcześnie, za wcześnie, za wcześnie – szeptała w kółko Jane, gdy wiozłem ją do szpitala. Trzymała ręce na brzuchu, odczuwając nieustające skurcze.

– Będzie dobrze, wszystko jest w porządku – zapewniałem ją, choć tak naprawdę byłem przerażony. *Za wcześnie, za wcześnie, za wcześnie...*

Kiedy dotarliśmy do szpitala, od razu trafiliśmy na salę, gdzie pielęgniarki i lekarze zadawali pytania, próbując zdiagnozować problem. Ilekroć ja o coś pytałem, ludzie ci uśmiechali się i mówili, że muszę poczekać, by porozmawiać z dyżurnym neonatologiem. Czas płynął za wolno, każdą minutę odczuwałem jak godzinę. Wiedziałem, że dla dziecka było za wcześnie – ciąża trwała zaledwie trzydzieści jeden tygodni. Neonatolog w końcu zawitał do naszej sali, uśmiechając się nieznacznie i trzymając kartę Jane, i usiadł obok jej łóżka.

– Witam. Nazywam się Lawrence i wkrótce będzie miała mnie pani dosyć. – Zaczął przeglądać dokumenty, palcami gładząc się po zarosniętym policzku. – Wygląda na to, że dziecko daje pani w kość. Obawiamy się, że poród nie będzie bezpieczny, skoro do właściwej daty zostało jeszcze dwanaście tygodni.

– Dziewięć – poprawiłem. – Zostało tylko dziewięć tygodni.

Doktor Lawrence ściągnął krzaczaste brwi i wrócił do czytania dokumentów.

– Nie, jestem pewien, że dwanaście, co powoduje złożone problemy. Wiem, że zapewne odpowiadała pani na te pytania pielęgniarkom, ale muszę się upewnić, co dzieje się z panią i z dzieckiem. Zatem, po pierwsze, czy ostatnio mocno się pani stresowała?

– Jestem prawnikiem, na tym polega moje życie – odparła.

– Przyjmowała pani alkohol, narkotyki?

– Nie i nie.

– Pali pani?

Zawahała się.

Uniosłem brwi.

– Chyba żartujesz, Jane. Poważnie?

– Tylko kilka razy w tygodniu – powiedziała, oszłamiając mnie. Popatrzyła na lekarza i spróbowała wyjaśnić: – Mam bardzo stresującą pracę. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, próbowałam rzucić, ale kilka papierosów i tak było lepsze niż pół paczki.

– Powiedziałaś, że rzuciłaś – syknąłem przez zęby.

– Próbowałam.

– To nie to samo co rzucenie!

– Nie musisz na mnie wrzeszczeć! – zawołała roztrzęsiona. – Popełniłam błąd, ale teraz bardzo cierpię, więc twoje krzyki w niczym mi nie pomogą. Jezu, Grahamie, czasami chciałabym, byś był delikatniejszy, jak twój ojciec.

Jej słowa zakłuły mnie głęboko, ale postarałem się nie zareagować.

Doktor Lawrence skrzywił się, po czym ponownie lekko uśmiechnął.

– Okej, palenie może doprowadzić do kilku poważnych komplikacji przy porodzie, ale nie możemy zrzucić na nie całej winy. Dobrze, że o tym wiemy. Ponieważ skurcze występują tak wcześnie, podamy środki, próbując powstrzymać przedwczesny poród. Dziecko wciąż powinno rozwijać się w łonie, więc zrobimy co w naszej mocy, by jeszcze przez chwilę w nim pozostało. Przez następne czterdzieści osiem godzin zatrzymamy panią w szpitalu, monitorując stan dziecka.



– Czterdzieści osiem godzin? Ale co z pracą...  
– Napiszę pani bardzo dobre usprawiedliwienie. – Doktor Lawrence puścił do niej oko i wstał. – Pielęgniarki zaraz wrócą, by zacząć podawać leki.

Kiedy wyszedł, podążyłem za nim.

– Doktorze Lawrence.

Odwrócił się i podszedł do mnie.

– Tak?

Skrzyżowałem ręce na piersi i zmrużyłem oczy.

– Pokłóciliśmy się zaraz przed tym, jak odeszły jej wody. Krzychałem i... – urwałem, przeczesując włosy palcami, nim ponownie skrzyżowałem ręce. – Chciałbym wiedzieć, czy może być to powodem... Czy ja się do tego przyczyniłem?

Doktor Lawrence uśmiechnął się półgębkiem i pokręcił głową.

– Takie rzeczy się zdarzają. Nie damy rady poznać dokładnego powodu, a obwinianie siebie nikomu nie pomoże. Wszyscy musimy skupić się na tej chwili i zrobić wszystko, co najlepsze dla pana żony i dziecka.

Skinąłem głową i podziękowałem.

Próbowałem mu uwierzyć, ale podświadomie czułem, że to ja zawiniłem.

\*\*\*

Po czterdziestu ośmiu godzinach, podczas których ciśnienie krwi dziecka zaczęło spadać, lekarze poinformowali nas, że nie ma wyjścia i musi odbyć się poród przez cesarskie cięcie. Od tej chwili wszystko mi się rozmyło, cały czas miałem serce w gardle. Stałem w kącie sali operacyjnej, niepewny, co będę czuł, gdy potomek przyjdzie na świat.

Kiedy lekarz wyjął dziecko i przeciął pępowinę, wszyscy zaczęli biegać i pokrzykiwać na siebie.

Dziecko nie płakało.

Dlaczego nie płakało?

– Kilo i cztery gramy – powiedziała pielęgniarka.

– Potrzebna nam pompa – powiedziała druga.

– Pompa? – zapytałem, gdy przechodziły obok mnie.

– Pompa powietrzna podłączona do specjalnej maski, wspomaga oddychanie.

– Dziecko nie oddycha? – zapytałem.

– Oddycha, ale bardzo słabo. Przeniesiemy córkę na intensywną terapię noworodków i poinformujemy, gdy jej stan będzie stabilny.

Nim zdołałem zapytać o coś innego, pospieszyły do wyjścia.

Kilka osób zostało, by zająć się Jane, a gdy przenieśli ją do sali pooperacyjnej, spała przez kilka następnych godzin. Kiedy w końcu się obudziła, lekarz poinformował nas o stanie naszej córki. Opowiedział o zmaganiach i walce na intensywnej terapii. Stwierdził, że jej życie wciąż jest zagrożone.

– Jeśli coś jej się stanie, wiedz, że to twoja wina – powiedziała Jane, gdy wyszedł lekarz. Odwróciła ode mnie głowę i popatrzyła w kierunku okna. – Jeśli umrze, będzie to twoja wina, nie moja.

\*\*\*

– Rozumiem, co pan mówi, panie White, ale... – Jane stała na oddziale intensywnej terapii i rozmawiała przez telefon odwrócona do mnie plecami. – Wiem i całkowicie rozumiem. Chodzi jednak o to, że moje dziecko jest na intensywnej terapii i... – urwała, przestąpiła z nogi na nogę i skinęła głową. – Dobrze. Rozumiem. Dziękuję, panie White.

Rozłączyła się i pokręciła głową, ocierając oczy, zanim zwróciła się do mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– To tylko praca.

Skinąłem krótko głową.

Staliśmy nieruchomo, patrząc na córkę, która walczyła o oddech.

– Nie mogę – szepnęła Jane, cała się trzęsąc. – Nie mogę tu stać i nic nie robić. Czuję się bezradna.

W nocy wydawało się, że stracimy córeczkę. W tamtej chwili poczułem się, jakbym zaczął się rozpadać. Jane także nie radziła sobie za dobrze, nie przespała ani minuty.

– Jest dobrze – powiedziałem, chociaż w to nie wierzyłem.

Pokręciła głową.

– Nie pisałam się na to. Nie pisałam się na coś takiego. Nie

chciałam mieć dziecka. Chciałam być prawnikiem. Miałam wszystko, czego pragnęłam. A teraz... – Jane bawiła się palcami. – Ona umrze, Grahamie – szepnęła, krzyżując ręce na piersiach. – Jej serce nie jest wystarczająco silne. Jej płuca nie działają. Ledwo żyje. Istnieje tylko dzięki tym wszystkim... – Wskazała na maszyny, do których podłączona była nasza córka. – ...ustrojstwow, a my niby mamy siedzieć i patrzeć, jak umiera?! To okrutne.

Nie odpowiedziałem.

– Nie mogę. To już niemal dwa miesiące, Grahamie. Nie powinno jej się poprawiać?

Jej słowa mnie zirytowały, a wiara, że córka nie przetrwa, zniesmaczyła.

– Może powinnaś pojechać do domu i wziąć prysznic? – zaoferowałam. – Odpocząć. Albo wrócić do pracy, by uspokoić myśli.

Przestąpiła z nogi na nogę i się skrzywiła.

– Tak, masz rację. Mam wiele pracy. Wrócę za kilka godzin, okej? Wtedy się zamienimy i będziesz mógł pojechać się wykapać.

Przytaknąłam.

Podeszła do małej i spojrzała na nią.

– Nie powiedziałam nikomu, jak ma na imię. To głupie, prawda? Przedstawić ją, gdy umiera.

– Nie mów tak – warknąłam. – Wciąż jest nadzieja.

– Nadzieja? – Spojrzenie Jane było pełne dezorientacji. – A od kiedy to masz nadzieję?

Nie odpowiedziałem, ponieważ miała rację. Nie wierzyłem w znaki, nadzieję czy cokolwiek innego związanego z naturą. Przed urodzeniem córki nie zwracałem się do Boga, a kiedy myślałem o modlitwie, czułem się głupio.

Byłem realistą.

Wierzyłem w to, co widziałem, nie w to, na co miałem nadzieję. Mimo to patrząc na tę małą istotkę, żałowałam, że nie umiem się modlić.

Potrzebowałam, by córka przeżyła, choć było to egoistyczne. Potrzebowałam, by wyzdrowiała, bo nie byłem pewny, czy poradzę

sobie z jej stratą. W chwili, w której przysłała na świat, zaczęło mnie boleć za mostkiem. Moje serce obudziło się po latach uspienia, a kiedy odżyło, był w nim tylko ból. Ból, ponieważ wiedziałem, że moja córka może umrzeć. Ból, ponieważ nikt nie określił, ile minut, godzin, dni pozostało mi z nią spędzić. Dlatego właśnie potrzebowałem, by przetrwała – żeby zniknął ten ból.

Dużo łatwiej było żyć, gdy od wszystkiego się odcinałem.

Co ona ze mną zrobiła? Jak zmieniła mnie przez sam fakt urodzenia się?

*Nie wypowiedziałem nawet jej imienia...*

Jakimi byliśmy potworami?

– Jedź, Jane – powiedziałem chłodno. – Zostanę.

Żona wyszła bez słowa, a ja usiadłem na krześle obok córki, której imienia nie odważyłem się wypowiedzieć na głos.

Wiele godzin później próbowałem dodzwonić się do Jane. Wiedziałem, że kiedy pograżała się w pracy, zapominała wyjść z gabinetu, podobnie jak ja, gdy pochłaniało mnie pisanie.

Nie odebrała, chociaż dzwoniłem przez następne pięć godzin. Wybrałem więc numer do jej firmy. Gdy rozmawiałem z jej asystentką, Heather, poczułem się oszukany.

– Witam, panie Russell. Przykro mi, ale... wyszła dziś wcześniej. Tak długo nie było jej w pracy, że pan White ją zwolnił... Myślałam, że pan wie. – Ściszyła głos. – Jak tam sprawy? Co z dzieckiem?

Rozłączyłem się.

Zdezorientowany.

Zły.

Zmęczony.

Ponownie zadzwoniłem na komórkę Jane, ale połączenie od razu zostało przekierowane na pocztę głosową.

– Potrzebuje pan przerwy? – zapytała pielęgniarka, która przysłała, by sprawdzić, czy wszystko w porządku z sondą do karmienia małej. – Wygląda pan na wyczerpanego. Mógłby pan wrócić do domu i trochę odpocząć. Zadzwonimy, jeśli...

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem, przerywając jej.

Chciała coś powiedzieć, ale mój ostry wzrok zamknął jej usta. Zrobiła, co do niej należało, a zanim wyszła, posłała mi niewielki uśmiech.

Siedziałem przy córce, słuchając pracy wszystkich urzędów, i czekałem na powrót żony. Mijały godziny, więc pojechałem do domu wykapać się i wziąć laptop, żeby pisać w szpitalu.

Pospiesznie wskoczyłem pod strumień gorącej wody pod prysznicem. Przebrałem się i poszedłem do gabinetu po komputer. Właśnie tam znalazłem list – złożoną kartkę papieru pozostawioną na klawiaturze.

*Grahamie,*

Powinienem przestać czytać w tym miejscu. Wiedziałem, że nic dobrego nie wyniknie z następnych słów. Z niespodziewanych słów zapisanych czarnym atramentem nigdy nie wynikało nic dobrego.

*Nie mogę. Nie mogę zostać i przyglądać się, jak ona umiera. Straciłam dziś pracę – to, na co tak ciężko pracowałam i co odczuwam jak utratę części serca. Nie mogę siedzieć i patrzeć, jak znika kolejna jego część. To dla mnie zbyt wiele.*

*Przepraszam.*

*Jane*

Wpatrywałem się w kartkę, czytając wielokrotnie poszczególne wyrazy, po czym złożyłem ją i wcisnąłem do tylnej kieszeni spodni.

Słowa te mocno mnie zakłuły, jednak starałem się nie dopuszczać do siebie emocji.

## ROZDZIAŁ 5

### LUCY

– Zawałem – powiedział drżącym głosem nieznajomy. – To znaczy, oboje mieliśmy wiele egzaminów, więc próbowałem wszystkie je zdać, i całkowicie zapomniałem o naszej rocznicy. Zorientowałem się dopiero, gdy przyszła z prezentem dla mnie, ubrana elegancko i gotowa, by iść na kolację w restauracji, w której nie zarezerwowałem stolika.

Uśmiechnęłam się do chłopaka i skinęłam głową, gdy wyjaśniał, dlaczego dziewczyna się na niego zdenerwowała.

– I nie pomogło, że zapomniałem też o jej urodzinach, ale to dlatego, że tydzień wcześniej nie przyjęto mnie na medycynę. Było to bardzo absorbujące, ale rety... Dobra, przepraszam... Poproszę te kwiaty.

– To wszystko? – zapytałam, podając mu tuzin czerwonych róż mających pomóc chłopakowi przeprosić dziewczynę za to, że zapomniał o dwóch datach, o których naprawdę powinien pamiętać.

– Tak, myśli pani, że wystarczy? – zapytał zdenerwowany. – Naprawdę nawaliłem, nie wiem nawet, od czego zacząć przeproszać.

– Kwiaty to dobry początek – odparłam. – Słowa również pomogą. Ale wydaje mi się, że czyny przemówią najmocniej.

Podziękował, zapłacił i wyszedł z kwaciarni.

– Daję im dwa tygodnie, po czym się rozstaną – powiedziała z uśmiechem Mari, przycinając tulipany.

– Pani Optymistka. – Roześmiałam się. – On się stara.

– Prosił nieznajomą o poradę w sprawie swojego związku. Nie poradzi sobie – odparła, kręcąc głową. – Nie rozumiem. Dlaczego faceci czują potrzebę przeproszenia po tym, jak nawalili? Gdyby nie dali ciała, nie mieliby za co przeproszać. Nie lepiej być... dobrym?

Posłałam jej sztywny uśmiech, widząc, jak agresywnie przycina kwiaty, w jej oczach wirowało pełno emocji. Nie przyznałaby, że wyładowywała swój ból na pięknych roślinach, ale dla mnie było to oczywiste.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam, gdy wzięła margerytki i dosłownie wepchnęła je do wazonu.

– Tak. Po prostu nie rozumiem, jak facet może być tak niewrażliwy. Dlaczego, na Boga, miałby cię pytać o radę?!

– Mari.

– Co?

– Nos ci się splaszczyl i wymachujesz nożyczkami jak szalona tylko dlatego, że chłopak kupił dziewczynie róże, bo chciał przeprosić, że zapomniał o rocznicy. Jesteś zdenerwowana przez niego czy przez dzisiejszą datę? Ponieważ byłaby to twoja...

– Siódma rocznica? – Pocięła dwie róże na małe kawałeczki. – Tak? To dzisiaj? Nie zauważyłam.

– Mari, zostaw te nożyczki.

Spojrzała na mnie, po czym przeniosła wzrok na kwiaty.

– O nie, właśnie przechodzę załamanie, prawda? – zapytała, gdy podeszłam i powoli wyjęłam nożyczki z jej ręki.

– Nie, to bardzo ludzkie. W porządku, naprawdę. Możesz być zła i smutna tak długo, jak tego potrzebujesz. Pamiętasz? *Maktub*. Problemem będzie, gdy przez głupich mężczyzn zaczniemy niszczyć nasze rzeczy, a zwłaszcza kwiaty.

– Ech, masz rację. Przepraszam – jęknęła, opierając podbródek na dłoniach. – Dlaczego wciąż się przejmuję? Minęły lata...

– Czas nie wyłącza uczuć, Mari. To normalne, ale również w porządku jest to, że zamówiłam dla nas stół na dzisiejszą kolację.

– Poważnie?

Przytaknęłam.

– Będą margarity i tacos.

Poweselała nieco.

– I sos queso?

– O tak. Wszystko z sosem queso.

Wyprostowała się i objęła mnie mocno.

– Dziękuję, Malinko, że zawsze przy mnie jesteś, nawet gdy nie mówię, że cię potrzebuję.

– Proszę, Jeżynko. A teraz pozwól, że przyniosę miotłę, by posprzątać bałagan, który narobiłaś. – Idąc na zaplecze, usłyszałam dzwonek informujący o przyjściu klienta.

– Cześć, jest Lucille? – zapytał głęboki głos, a ja nadstawiłam uszu.

– Poszła na zaplecze – odparła Mari. – Zaraz przyjdzie...

Przybiegłam z powrotem i na widok Grahama stanęłam jak wryta. Bez krawata i garnituru wyglądał inaczej, choć wciąż znajomo. Miał granatowe jeansy, czarną opiętą koszulkę i to samo zimne spojrzenie.

– Witam – powiedziałam, krzyżując ręce na piersiach i podchodząc bliżej. – Czym mogę służyć?

Bawił się palcami, a ilekroć spojrzał mi w oczy, zaraz odwracał wzrok.

– Tak się zastanawiam... widziałaś ostatnio Jane? – Skrzywił się nieco, a następnie odchrząknął. – To znaczy Lyric. To znaczy swoją siostrę. Widziałaś ostatnio swoją siostrę?

– Herbatnik Grahamek? – zapytała Mari, wstając z krzesła.

– Graham – powiedział stanowczo. – Mam na imię Graham.

– Nie widziałam jej od pogrzebu – powiedziałam.

Skinął głową i przygarbił się nieco rozczarowany.

– W porządku. Cóż, gdybyś coś... – Westchnął. – Nieważne. – Odwrócił się, by wyjść, ale zawołałam go, nim zdążył to zrobić.

– Wszystko dobrze? Z Lyric? – umilkłam. – Z Jane. – Serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałam o najgorszym. – Dobrze się czuje? Jak dziecko? Wszystko w porządku?

– Tak i nie. Urodziła niemal dwa miesiące temu. To dziewczynka.



Mała jest wcześniakiem. Nie opuściła jeszcze szpitala Świętego Józefa.

– O rany – mruknęła Mari, chwytając się za serce. – Czują się lepiej?

– My... – zaczął odpowiadać, ale umilkł jakby miał wątpliwości, a w jego spojrzeniu ukazał się strach. – Nie dlatego tu przyszedłem. Pojawiłem się, bo Jane zniknęła.

– Co? – Kręciło mi się w głowie od tych informacji. – Zniknęła?

– Wyszła wczoraj około południa i nie wiem, gdzie się podziała i czy wszystko z nią w porządku. Pomyślałem, że może coś słyszałaś.

– Nie, nie słyszałam. – Spojrzałam na Mari. – Ty coś słyszałaś?

Pokręciła głową.

– Nie szkodzi. Przepraszam, że przyszedłem. Nie chcę przeszkadzać.

– Nie... – Wyszedł, nim zdołałam dokończyć. – ...przeszkadzasz – mruknęłam.

– Zadzwońię do niej – powiedziała Mari, biegnąc po komórkę. Jej serce prawdopodobnie galopowało równie szybko jak moje. – Gdzie idziesz? – zapytała, gdy rzuciłam się do drzwi.

Nie miałam czasu, by jej odpowiedzieć, gdyż pognałam za mężczyzną.

– Grahamie! – zawołałam na sekundę przed tym, jak wszedł do czarnego audi. Spojrzał na mnie, jakby nie mógł pojąć mojego istnienia.

– Co?

– Ja... Nie możesz tak wpadać do kwaciarni, zarzucać wszystkich takimi informacjami i uciekać. Co mogę zrobić? Jak mogę pomóc?

Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nie możesz. – Wszedł do auta i odjechał, zostawiając mnie oszołomioną.

Moja siostra zniknęła, miałam siostrzenicę walczącą o życie i nie mogłam nic zrobić?

Trudno było mi w to uwierzyć.

– Jadę do szpitala – powiedziałam Mari, gdy wróciłam do budynku. – Sprawdzę, co się tam dzieje.

– Ja też pojedę – zaoferowała, ale wytłumaczyłam jej, że byłoby lepiej, gdyby została w kwaciarni. Miałyśmy zbyt wiele pracy, więc jeśli obie byśmy pojechały, miałybyśmy ogromne opóźnienie.

– Spróbuj też zadzwonić się do Lyric. Jeśli odbierze od którejś z nas, to przedziej od ciebie.

– Dobrze. Ale obiecaj, że zadzwonisz, gdyby coś się stało i byłabym potrzebna – powiedziała.

– Obiecuję.

\*\*\*

Kiedy wpadłam na oddział, najpierw zobaczyłam plecy Grahama. Mężczyzna siedział pochylony na krześle, wpatrując się w niewielkie łóżko, w którym leżała jego córeczka.

– Grahamie – szepnęłam, przez co uniósł głowę. Kiedy na mnie spojrzał, wyglądał, jakby był pełen nadziei, niemal jakby myślał, że to Jane. Nadzieja zniknęła jednak, gdy wstał i zbliżył się do córki.

– Nie musiałaś przyjeżdżać – powiedział.

– Wiem. Pomyślałam tylko, że upewnię się, czy wszystko okej.

– Nie potrzebuję towarzystwa – powiedział, podchodząc do mnie. Im był bliżej, tym bardziej wydawał się spięty.

– To nic jeśli jesteś smutny czy przestraszony... – szepnęłam, patrząc na dziewczynkę, która usilnie starała się oddychać. – Nie musisz przez cały czas być silny – stwierdziłam.

– Moja słabość ją ocali? – warknął.

– Nie, ale...

– Więc nie będę marnował czasu.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

– Słyszałeś coś o mojej siostrze?

– Nie.

– Wróci – powiedziałam, mając nadzieję, że nie kłamałam.

– Zostawiła list mówiący co innego.

– Poważnie? To... – umilkłam, nim zdołałam powiedzieć, że to zaskakujące, bo w pewnym sensie takie nie było. Starsza siostra nieustannie uciekała, podobnie jak nasz ojciec. Zmieniłam temat. –

Jak ma na imię? – zapytałam, patrząc na dzieciątko.

– Nie ma sensu mówić tego ludziom, jeśli ona... – Głos mu się załamał. Graham zacisnął dłonie w pięści i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, coś zmieniło się w jego chłodnym spojrzeniu. Przez sekundę pozwolił sobie na uczucia, gdy obserwował, jak jego córka próbowała przetrwać na tym świecie. Zwiesił głowę i szepnął: – Jeśli umrze.

– Ale ona wciąż tu jest, Grahamie – powiedziałam, wskazując ją ruchem głowy. – Wciąż żyje i jest piękna.

– Ale jak długo? Jestem realistą.

– Na szczęście dla ciebie ja jestem „nadzieistką”.

Ręce zaciskał tak mocno, że całe poczerwieniały.

– Nie chcę, żebyś tu była – powiedział, patrząc na mnie. Przez chwilę pomyślałam, że gdybym została, nie będąc mile widzianą, zachowałabym się niegrzecznie.

Ale zauważyłam, jak mężczyzna się trzęsie.

Drżał, gdy patrzył na córkę, gdy patrzył w nieznane. W tej właśnie chwili uświadomiłam sobie, że nie mogę go zostawić.

Wyciągnęłam rękę, rozwinęłam jego zaciśnięte palce i wzięłam jego dłoń w swoją. Wiedziałam, że dziecko mocno walczy, lecz było jasne, że Graham również toczył wojnę. Gdy trzymałam go za rękę, zauważyłam, że westchnął lekko.

Chwilę później przełknął z trudem ślinę i zabrał dłoń z mojego uścisku. Wydawało się, że tylko tyle wystarczyło, by przestał drżeć.

– Talon – szepnął z obawą, niemal jakby sądził, że zdradzenie mi jej imienia naznaczy ją pocałunkiem śmierci.

– Talon – powtórzyłam cicho, uśmiechając się nieznacznie. – Witaj na świecie, Talon.

W tym właśnie momencie, po raz pierwszy w mojej obecności, Talon Russell otworzyła oczy.

## ROZDZIAŁ 6

### GRAHAM

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała Lucy, niepewna, czy nie nadwyreżała mojej gościnności w szpitalu. Od dwóch tygodni przychodziła codziennie, sprawdzając stan zarówno małej Talon, jak i mój. Z każdym mijającym dniem coraz bardziej irytowała mnie jej obecność. Nie chciałem jej towarzystwa. Stało się jasne, że wizyta w kwaciarni w poszukiwaniu Jane była błędem.

A co było najgorsze? To, że usta Lucy nigdy się nie zamykały.

Nie potrafiła zamilknąć. Wydawało mi się, że każda myśl zrodzona w jej głowie musiała ujrzeć światło dzienne. Najgorsze było również to, że niemal każde zdanie przepełniała pozytywnymi hipisowskimi bzdurami. Brakowało jej tylko jointa, naszyjnika z kryształami i maty do jogi.

– Mogę zostać, jeśli mnie potrzebujesz – zaoferowała ponownie. Sonda do odżywiania została wyjęta, ponieważ lekarze byli pewni, że Talon może zacząć jeść samodzielnie, co – po miesiącach niepewności – było krokiem w dobrą stronę. – Poważnie, Grahamie. Zostanę z nią parę godzin, to żaden problem.

– Nie. Idź.

Przytaknęła i w końcu wstała.

– Dobrze, ale wrócę jutro.

– Nie.

– Grahamie, nie musisz być z tym sam – nalegała. – Mogę zostać i pomóc, jeśli...

– Nie rozumiesz? – warknąłem. – Nie chcę. Idź zalewać kogoś innego swoją litością.

Rozchyliła usta i cofnęła się o krok.

– Nie lituję się nad tobą.

– Więc chyba nad sobą, ponieważ nie masz własnego życia – mruknąłem, nie patrząc jej w oczy. Kątem oka widziałem, że przyglądała mi się ze zbolaną miną.

– Wiesz, są chwile, gdy cię widzę. Kiedy widzę, jak cierpisz, kiedy widzę, jak się martwisz, ale zaraz zakrywasz to swoim chamstwem.

– Przestań się zachowywać, jakbyś mnie znała – powiedziałem.

– Przestań się zachowywać, jakbyś nie miał serca – odparła. Wygrzebała z torebki kartkę i długopis i zapisała swój numer telefonu. – Masz. Weź, w razie gdybyś mnie potrzebował lub gdybyś zmienił zdanie. Byłam nianią, mogłabym ci pomóc.

– Dlaczego tego nie rozumiesz? Niczego od ciebie nie chcę.

– Myślisz, że chodzi o ciebie? – parsknęła śmiechem, kręcąc głową i zamykając palce na zawieszce w kształcie serca. – Twój egoizm przysłania ci prawdę. Nie przychodzę dla ciebie. Ledwie cię znam. Życzeniem matki leżącej na łożu śmierci było to, żebym zatroszczyła się o siostry, a ponieważ Lyric zniknęła, uważam, że powinnam zaopiekować się jej córką.

– Nie jesteś odpowiedzialna za Talon – spierałem się.

– Może nie – odparła. – Ale czy ci się to podoba czy też nie, mała należy do mojej rodziny. Dlatego nie pozwól, by twoja duma i niestosowny gniew powstrzymały cię przed wykonaniem telefonu, gdybyś mnie jednak potrzebował.

– Nie będę cię potrzebował. Nikogo nie potrzebuję – warknąłem, bo irytowała mnie jej otwarta natura. Uznałem za niedorzeczne, że tak nieskrępowanie dawała z siebie tak wiele.

Zmrużyła oczy i przechyliła głowę, wpatrując się we mnie. Nienawidziłem, gdy się tak gapiła. Nienawidziłem, gdy nasze spojrzenia się krzyżowały, jakby potrafiła przejrzeć część mojej duszy, której sam jeszcze nie odkryłem.

– Kto cię skrzywdził? – zapytała szeptem.

– Co?

Przysunęła się, rozprostowała moje zaciśnięte palce i wsadziła mi w nie kartkę z numerem telefonu.

– Kto skrzywdził cię tak bardzo, że stałeś się taki zimny?

Kiedy wychodziła, śledziłem ją wzrokiem. Ani razu nie obejrzała się za siebie.

\*\*\*

Minęły trzy tygodnie, zanim lekarze pozwolili, bym zabrał Talon do domu. Dwie godziny zajęło mi upewnienie się, że fotelik samochodowy był prawidłowo zamontowany. W dodatku poprosiłem aż pięć pielęgniarek, by sprawdziły, czy wszystko zostało bezpiecznie pozapinane.

Nigdy w życiu nie jechałem tak wolno. Co chwilę obracałem się, by sprawdzić, czy Talon nadal spokojnie śpi.

*Spieprzę to.*

Byłem pewien, że tak się stanie. Nic nie wiedziałem o byciu ojcem. Nic nie wiedziałem o opiece nad dzieckiem. Jane świetnie by sobie poradziła. Jasne, nie chciała mieć dzieci, ale była perfekcjonistką. Nauczyłaby się, jak być najlepszą mamą na świecie. Lepiej by sobie poradziła w opiece nad córką niż ja.

Pozostawienie małej pod moją opieką wydawało się kardynalnym błędem.

– Ciii... – próbowałem ją uspokoić, niosąc z samochodu do domu. Zaczęła płakać w chwili, w której podniosłem ją z fotelika. Mój żołądek skurczył się z nerwów.

*Jest głodna?*

*Muszę zmienić pieluchę?*

*Jest jej za gorąco?*

*Za zimno?*

*Brakuje jej powietrza?*

*Jej płuca są wystarczająco silne?*

*Przeżyje w ogóle noc?*

Kiedy Talon znalazła się w łóżeczku, usiadłem obok na podłodze. Podrywałem się na równe nogi za każdym razem, gdy się poruszyła. Za każdym razem, gdy się nie ruszała, wstawałem, by sprawdzić jej stan.

*Spieprzę to.*

Lekarze się mylili. Byłem o tym przekonany. Nie powinni jej jeszcze wypisywać. Nie była gotowa. Ja nie byłem gotów. Była za mała, a ja miałem za duże dłonie.

*Skrzywdzę ją.*

Popelnię błąd, który będzie kosztował ją życie.

*Nie dam rady.*

Wziąłem telefon i wybrałem numer, pod który dzwoniłem od tygodni.

– Jane, to ja, Graham. Chciałem tylko, żebyś wiedziała... że Talon jest w domu. Nic jej nie jest. Nie umrze, Jane, chcę, byś o tym wiedziała. Możesz już wrócić. – Zacisnąłem palce na komórce, mówiąc ostro: – Wróć do domu. Proszę. Nie dam... Bez ciebie nie dam rady. Nie poradzę sobie sam.

Odkąd lekarze orzekli, że wypiszą córkę ze szpitala, zostawiałem tę wiadomość wielokrotnie na jej poczcie. Mimo to Jane nie oddzwoniła.

Ta noc była najtrudniejszą w całym moim życiu.

Ilekoć Talon płakała, nie potrafiłem jej uspokoić. Ilekoć brałem ją na ręce, obawiałem się, że zrobię jej krzywdę. Ilekoć ją karmiłem, nie chciała jeść, więc martwiłem się o jej zdrowie. Presja była zbyt wielka. Jak ktoś tak mały mógł zawierzyć mi swoje życie?

Jak potwór miał wychować dziecko?

Nieustannie w głowie kołatało mi się ostatnie pytanie Lucy.

*Kto skrzywdził cię tak mocno, że jesteś aż taki zimny?*

Łatwo było odpowiedzieć na pytanie „kto?”. Trudniej jednak wyjaśnić przyczynę takiego traktowania.

## ROZDZIAŁ 7

### JEDENASTE URODZINY

*Chłopiec stał nieruchomo w ciemnym korytarzu, niepewny, czy ojciec chciał go widzieć. Przez część wieczoru był sam, wolał, by tak pozostało, bo był wtedy bezpieczniejszy. Chłopiec z doświadczenia wiedział, że ojciec wróci do domu pijany. Nie wiedział tylko, która wersja pijanego ojca tym razem pojawi się w drzwiach. Zdarzało się, że mężczyzna był wesoły, a niekiedy wyjątkowo brutalny.*

*Z ojca czasami wychodziła taka agresja, że chłopiec zamykał wtedy oczy, próbując przekonać samego siebie, że wymyślił sobie zachowanie pijanego mężczyzny i że tata nigdy nie byłby zdolny do czegoś takiego. Powtarzał sobie w duchu, że nikt nie mógłby tak bardzo nienawidzić własnego dziecka – nawet jeśli był pod wpływem alkoholu.*

*Jednak prawda wyglądała tak, że niekiedy ci, których kochamy najbardziej, są również potworami prześladowającymi nas w nocy.*

*– Synu, przyjdź tutaj! – zawołał mężczyzna, sprawiając, że chłopiec się wyprostował. Pospieszył do pokoju, gdzie zobaczył ojca siedzącego z kobietą. Mężczyzna uśmiechnął się, trzymając kobietę za ręce. – To – powiedział z nienaturalnie błyszczącymi oczami – jest Rebecca.*

*Kobieta była piękna, miała czekoladowe, opadające na ramiona włosy i wąski nos, który idealnie pasował do wielkich brązowych oczu. Jej usta były pełne, pomalowane na czerwono, a kiedy się uśmiechała, przypominała chłopcu matkę.*



– Witaj – powiedziała cicho Rebecca. Jej głos był pełen dobroci i zaufania. Wyciągnęła do chłopca rękę. – Cudownie móc w końcu cię poznać.

Chłopiec trzymał się na dystans, niepewny, co powinien powiedzieć lub czuć.

– No – skarcił go ojciec. – Podaj rękę. Przywitaj się, synu.

– Witam – wyszeptał chłopiec, jakby się obawiał, że zostanie złapany w pułapkę.

– Rebecca będzie moją nową żoną, a twoją nową mamą.

– Mam mamę – rzucił chłopiec głośniejszym głosem, niż zamierzał. Odchrząknął i wrócił do szeptania. – Mam mamę.

– Nie – odparł mężczyzna. – Zostawiła nas.

– Zostawiła ciebie – spierał się chłopiec. – Bo jesteś pijakiem! – Wiedział, że nie powinien tego mówić, ale serce bardzo go bolało na myśl, że matka mogła porzucić także jego, zostawiając z tym potworem. Mama go kochała, był tego pewien. Pewnego dnia po prostu za bardzo się przestraszyła i ten strach spowodował, że odeszła.

Często zastanawiał się, czy była świadoma tego, że go opuściła.

Często modlił się, by pewnego dnia wróciła.

Ojciec usiadł prosto i zacisnął dłonie w pięści. Kiedy miał już nawrzeszczeć na wyszczekanego syna, Rebecca położyła rękę na jego ramieniu, uspokajając go.

– W porządku. To dla nas wszystkich nowa sytuacja – powiedziała, głaszcząc go po plecach. – Nie chcę zastępować ci mamy. Wiem, że wiele dla ciebie znaczy, więc nigdy nie chciałabym zajmować jej miejsca, ale mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz i dla mnie miejsce w swoim serduszku, ponieważ serca mają tę cudowną moc, że kiedy myślisz, że są już pełne, w jakiś magiczny sposób robi się w nich miejsce i udaje ci się tam zmieścić jeszcze więcej miłości.

Chłopiec milczał, niepewny, co powiedzieć. W oczach ojca nadal widział gniew, ale w jakiś sposób Rebecce udało się go uspokoić. Zdawało się, że była Piękną, która oswoiła Bestię. Z tego powodu chłopiec zapragnął, by została na noc, a może nawet do rana.

– A teraz przejdźmy do weselszych rzeczy – powiedziała kobieta, wstając i przechodząc do jadalni. Wróciła z babeczką, pośrodku której była wbita żółto-zielona świeczka. – Plotka głosi, że kończysz dzisiaj jedenaście lat. To prawda?

Chłopiec skinął ostrożnie głową.

Skąd wiedziała?

Ojciec nic nie wspominał przez cały dzień.

– Więc musisz pomyśleć życzenie. – Rebecca uśmiechnęła się szeroko, jak niegdyś miała w zwyczaju jego matka. Wyciągnęła z torebki zapalniczkę i podpaliła knot. Chłopiec przyglądał się, jak świeczka się spala i ścieka po niej wosk, skapując na babeczkę. – No dalej, zdmuchnij ją, myśląc o życzeniu.

Spełnił polecenie, więc uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Chłopiec popełnił tej nocy błąd, choć nawet tego nie zauważył. Wszystko stało się tak szybko pomiędzy tym, jak rozchylił wargi, by zdmuchnąć płomień, a tym, jak świeczka zgasła.

W tym ułamku sekundy – niewielkim odcinku czasu – mimowolnie otworzył serce i wpuścił do niego nowo poznaną kobietę.

Ostatnią osobą, która pamiętała o jego urodzinach, była jego ukochana mama.

Rebecca bardzo mu ją przypominała – była miła, wzbudzała zaufanie, a w jej wielkich oczach i pomalowanych ustach widać było miłość.

Kobieta nie myliła się, jeśli chodziło o serca, które zawsze były gotowe na nową miłość, ale kiedy ta miłość do nich trafiała, niekiedy w cieniu czaił się też ból.

W cieniu ból zatruwał miłość, zmieniając ją w coś mroczniejszego, cięższego, brzydszego. Ból przytłaczał miłość, okaleczał ją, niszczył. Serce powoli zaczynało zwalniać i nie było już tak otwarte.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała Rebecca, po czym nabrała na palec nieco polewy z babeczki i włożyła go sobie do ust. – Mam nadzieję, że spełnią się wszystkie twoje życzenia.

## ROZDZIAŁ 8

### LUCY

Telefon zaczął dzwonić w środku nocy. Obróciłam się w łóżku, szukając Richarda, ale go nie było. Spojrzałam w stronę korytarza, z którego dochodziło słabe światło i ciche dźwięki jazzowej melodii, co oznaczało, że mój chłopak nad czymś pracował. Telefon wciąż dzwonił, więc przetarłam oczy i odebrałam.

– Halo. – Ziewnęłam, próbując utrzymać powieki w górze. W pokoju panował mrok, promienie nie przebijały się przez okno. Najwyraźniej było jeszcze daleko do świtu.

– Lucille, mówi Graham. Obudziłem cię? – zapytał drżącym głosem.

Słyszałam w tle płaczące dziecko. Ponownie ziewnęłam.

– Nie, nigdy nie śpię o trzeciej w nocy. – Zaśmiałam się lekko. – O co chodzi? Co się dzieje?

– Przywiozłem Talon do domu.

– Super.

– Nie – odparł ochryple. – Nie chce przestać płakać. Nie je. Kiedy śpi, myślę, że umarła, więc sprawdzam jej puls, co ją budzi i mała znów płacze. Kiedy wkładam ją do łóżeczka, płacze jeszcze głośniejsze, niż gdy ją trzymam. Potrzebuję... Chcę...

– Podaj adres.

– Nie musisz...

– Grahamie, podaj adres, teraz.

Posłuchał i przekazał mi wskazówki, jak dojechać do domu

w River Hills, co podpowiedziało mi, że wiódł wygodne życie.

Pospiesznie się ubrałam, związałam potargane kręcone włosy w niechlujny kok i pobiegłam do salonu, w którym zastałam Richarda. Mój chłopak wpatrywał się intensywnie w jeden ze swoich węglowych szkiców.

– Nadal pracujesz? – zapytałam.

Spojrzał na mnie i uniósł brwi.

– Gdzie się wybierasz? – Jego oblicze było inne. Zgolił zarost na policzkach, a zostawił tylko wąsy.

– Broda zniknęła – skomentowałam. – I masz... wąsy.

– Tak, potrzebowałam inspiracji, a wiedziałem, że ogolenie się przyniesie powiew świeżości. Podoba ci się?

– Jest... – Zmarszczyłam nos. – Artystycznie?

– Właśnie na to liczył ten artysta. Ale chwila, gdzie idziesz?

– Graham właśnie dzwonił. Przywiózł Talon ze szpitala, ma z nią w domu urwanie głowy.

– Ale jest... – Spojrzał na zegarek i zmrużył oczy. Byłam pewna, że okulary zgubił gdzieś w twórczym szale. – Trzecia w nocy.

– Wiem. – Podeszłam i pocałowałam go w czubek głowy. – I właśnie dlatego powinieneś położyć się spać.

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Ludzie, którzy wystawiają się w muzeach, nie śpią, Lucy. Tworzą.

Zaśmiałam się, podchodząc do drzwi.

– To twórz przez chwilę z zamkniętymi oczami. Niedługo wrócę.

Kiedy wjechałam na podjazd Grahama, oszołomiła mnie wielkość domu mężczyzny. Oczywiście wszystkie posiadłości w River Hills były wspaniałe, ale ta wręcz zapierała dech w piersi. Rezydencja Grahama była podobna do jego osobowości – odsunięta od reszty świata. Z przodu otaczały ją drzewa, dopiero ogród z tyłu stanowił otwartą przestrzeń. Żwirowe ścieżki wygradzały rabatki, jednak zamiast kwiatów rosła na nich wysoka trawa. Gdyby zadbać o ogród, byłby cudowny. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić byliny i pnącza mogące wypełnić tę przestrzeń. Za trawnikiem rozciągało się więcej drzew.

Słońce jeszcze nie wstało, więc dom był ciemny, ale mimo to zachwycił. Na ganku stały dwa wielkie kamienne lwy, na dachu zaś ustawiono trzy gargulce.

Podeszłam do drzwi, trzymając dwa kubki kawy. Gdy miałam już nacisnąć dzwonek, Graham otworzył drzwi i popędził mnie, bym weszła.

– Nie przestaje płakać – powiedział, nawet się nie witając. Poganiał mnie jedynie, bym weszła do środka. W domu panowały egipskie ciemności, na stoliku w salonie paliła się tylko niewielka lampka. Zasłony na oknach zostały wykonane z ciężkiego, czerwonego aksamitu, przez co w pokoju było jeszcze ciemniej. Graham zaprowadził mnie do pokoju Talon, w którym dziecko leżało w łóżeczku i wrzeszczało całe czerwone na twarzy.

– Nie ma temperatury, ale położyłem ją na plecach, bo wiesz... – Wzruszył ramionami. – Czytałem o śmierci łóżeczkowej i choć wiem, że nie jest w stanie się obrócić, to co, jeśli niechcący by się jej udało? I nie zjadła za wiele. Nie wiem, co robić, próbowałem kangurować.

Niemal parsknęłam śmiechem z powodu jego zdenerwowania, jednak Talon płakała, więc nikomu nie było do śmiechu. Rozejrzałam się, zauważając, że pokój dziecka był dwa razy większy niż mój własny. Na podłodze leżało kilka otwartych poradników dla rodziców, z niektórych wystawały zakładki, jakby Graham chciał wrócić później do ich czytania.

– Co to jest kangurowanie? – zapytałam.

Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam, że stojący przede mną mężczyzna nie miał na sobie koszuli. Powiodłam wzrokiem po jego wyrzeźbionej piersi i karmelowej skórze i z trudem zmusiłam się, by nie wgapić się w niego tak ostentacyjnie. Jak na pisarza, był wysportowany i dobrze zbudowany. Na lewym ramieniu miał tatuaż, który sięgał aż na łopatkę, a jego bicepsy zdawały się mieć własne bicepsy.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy na pewno był pisarzem, czy też przypadkiem nie stał przede mną Dwayne Johnson.

Zdjął córce śpioszki i zostawił ją tylko w pieluszce. Wziął dziecko

na muskularne ręce i zaczął je kołysać, układając sobie jego główkę na piersi, tuż powyżej serca.

– Kangurowanie polega na kontakcie skóry dziecka ze skórą rodzica, by stworzyć więź. Wierzę, że lepiej się sprawdza, kiedy robi to matka, ale pielęgniarka w szpitalu odpowiedziała, bym i ja spróbował, co jest jednak bezcelowe – wymamrotał, gdy mała nie przestawała płakać. Trzymał ją jak piłkę do futbolu, kołysząc gorączkowo. Prawie odchodził od zmysłów, nie potrafiąc jej uspokoić.

– Może powinniśmy ponownie spróbować ją nakarmić – podsunęłam. – Chcesz, bym przygotowała butelkę?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie wiesz, jaką powinna mieć temperaturę.

Uśmiechnęłam się, nieporuszona jego brakiem wiary we mnie.

– W porządku. Podaj mi ją, a sam idź przygotować jedzenie. – Zmarszczył brwi, a wątpliwości pogłębiły się na jego twarzy. Usiadłam w szarym bujanym fotelu w kącie i wyciągnęłam rękę. – Obiecuję, że jej nie upuszczę.

– Musisz podtrzymywać główkę – powiedział, gdy powoli – bardzo powoli – ułożył mi Talon na rękach. – I nie ruszaj się, póki nie wrócę.

Roześmiałam się.

– Słowo honoru, Grahamie.

Nim wyszedł, spojrział na mnie, jakby spodziewał się zastać dziecko na podłodze lub zobaczyć coś równie niedorzecznego. Chociaż nie mogłam go winić za te obawy, wydawało mi się, że Graham miał problemy z zaufaniem, zwłaszcza po tym, jak moja siostra go porzuciła.

– Witaj, ślicznotko – powiedziałam do Talon, kołysząc się w fotelu i tuląc ją do siebie. Była piękna niemal jak dzieło sztuki. Kilka tygodni temu była maleńkim orzeszkiem, ale od kiedy widziałam ją po raz ostatni, przybrała przynajmniej dwa kilo. Przetrwała i stała się iskierką nadziei. Im dłużej się kołysałam, tym bardziej zdawała się uspokajać. Zanim Graham zdążył wrócić, spała smacznie.

Mężczyzna uniósł brew.

- Jak to zrobiłaś?
- Wzruszyłam ramionami.
- Najwyraźniej lubi ten fotel.
- Skrzywił się, sięgnął po córkę, wyjął ją z moich ramion i ułożył w łóżeczku.
- Wyjdź.
- Co? – zapytałam zdezorientowana. – Przepraszam, zrobiłam coś złego? Myślałam, że chciałeś...
- Możesz już iść, Lucille. Twoje usługi nie będą już potrzebne.
- Moje usługi? – wytknęłam, oszołomiona jego chłodem. – Przyjechałam pomóc. Wezwalesz mnie.
- A teraz cię „odwzywam”. Żegnam. – Pogonił mnie do drzwi i bez słowa wyprowadził z domu. Nie podziękował nawet, nim zatrzasnął mi drzwi przed nosem.
- Nie zapomnij wypić kawy, którą ci kupiłam i postawiłam na blacie! – zawołałam, dobijając się do drzwi. – Jest czarna. Jak twoja dusza!

\*\*\*

- Zadzwoił do ciebie o trzeciej w nocy? – zapytała Mari, otwierając rankiem kwiaciarnię. Nie była czynna w żadną niedzielę, ale przyszliśmy do pracy, by przygotować wszystko na nadchodzący tydzień. – Przyznam, że cieszę się, że nie obudziłaś mnie o piątej na *power jogę*, ale rankiem zastanawiałam się, gdzie się podziałaś. Jak z dzieckiem?
- Dobrze, mała świetnie sobie radzi. – Uśmiechnęłam się na myśl o niej. – Jest idealna.
- A on... sam sobie z nią radzi?
- Robi, co może – powiedziałam, wchodząc. – Wydaje mi się, że walczy. Wiem, że wykonanie do mnie telefonu wiele go kosztowało.
- Dziwne, że w ogóle zadzwonił. Ledwie cię zna.
- Nie sądzę, by miał własną rodzinę. Wydaje mi się, że ojciec był jedyną bliską mu osobą. W dodatku dałam mu swój numer i powiedziałam, by dzwonił, gdyby potrzebował pomocy.
- Ale po wszystkim wyrzucił cię z domu?
- Tak.

Mari przewróciła oczami.

– To bardzo rozsądne zachowanie, jeśli chodzi o wychowywanie dziecka. Kiedy przyjechał do kwiaciarni, wiedziałam już, że jest z nim coś nie tak.

– Nie jest łatwy w obyciu, ale wydaje mi się, że naprawdę chce jak najlepiej zaopiekować się Talon. Został do tego zmuszony. Sądził, że żona mu pomoże, jednak został ze wszystkim sam.

– Nawet nie potrafię sobie tego nie wyobrazić – powiedziała siostra. – Nie wierzę, że Lyric tak po prostu go zostawiła. Wydawało mi się, że będzie mądrzejsza po tym, co przeszłam z Parkerem.

– Porzuciła noworodka leżącego w szpitalu, Mari. Wszelaka mądrość, jaką posiadała Lyric, wyparowała i zniknęła w otchłani. – Niewyobrażalne, że można znać kogoś przez całe życie, po czym uświadomić sobie nagle, że jest ci zupełnie obcy.

Czas był klątwą, która powoli przekształcała związki bliskich sobie osób w relacje nieznanym.

Mari pokręciła głową.

– Co za bałagan. Ale wracając do weselszych spraw, mam dla ciebie niespodziankę.

– Czy to zielony koktajl?

Uniosła brwi.

– Powiedziałam „niespodziankę”, a nie wstrętą roślinną papkę. Zatrudnimy dodatkową florystkę! Przez ostatnie tygodnie rozmawiałam z kilkoma osobami.

Od otwarcia kwiaciarni planowałyśmy zatrudnić jeszcze jedną osobę, jednak do tej pory nie było nas na to stać. Zatem fakt, że w tej chwili mogłyśmy sobie na to pozwolić, znaczył naprawdę wiele. Nie było nic bardziej ekscytującego niż widok spełniających się marzeń.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo odezwał się dzwonek nad drzwiami. Obie popatrzyłyśmy na wejście.

– Przepraszam, ale dzisiaj mamy zamkn... – Nie zdołałam dokończyć zdania, zobaczywszy stojącą osobę z bukietem róż.

– Parker – powiedziała Mari bez tchu. Jej siła zniknęła, gdy jego



imię opuściło jej usta. Ciało siostry zareagowało na jego obecność – ramiona opadły, a kolana się ugięły. – Co... co ty tu robisz? – Głos jej drżał, a ja żałowałam, że tak było. Ukazywało to, jak mężczyzna na nią działał, pokazywało efekt, jaki zapewne pragnął wyrzucić.

– Ja, eee... – Zaśmiał się nerwowo i spojrział na bukiet. – Zgaduję, że głupotą jest przyniesienie kwiatów do kwiaciarni, co?

– Co tu robisz? – zapytałam nieco bardziej stanowczym głosem niż siostra. Skrzyżowałam ręce na piersiach i nawet na sekundę nie spuściłam mężczyzny z oka.

– Dobrze widzieć i ciebie, Lucy – rzucił. – Miałem nadzieję, że przez chwilę porozmawiam z żoną.

– Nie masz już żony – wytknęłam. Ingerowałam w każdy krok, który stawiał w stronę Mari. – Straciłeś ją, gdy lata temu spakowałeś się i wyjechałeś.

– Dobra, dobra, w porządku. Zasłużyłem – odparł. Mari wymamrotała coś pod nosem, na co Parker uniósł brwi. – Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że na nic, cholera, nie zasługujesz! – warknęła wciąż drżącym, ale tym razem mocniejszym głosem. Mari zazwyczaj nie przeklinała, więc kiedy słowa te opuściły jej usta, wiedziałam, jak bardzo była wstrząśnięta.

– Mari – zaczął Parker. Odwróciła się do niego plecami, ale to go nie powstrzymało. – Kilka dni temu minęło siedem lat.

Nie spojrzała na niego, ale widziałam, jak zareagowało jej ciało.

*Pozostań silna, siostrze.*

– Wiem, że nawaliłem. Wiem, że to okropne z mojej strony pojawiać się po tych wszystkich latach z jakimiś tanimi kwiatkami, ale tęskniłem za tobą.

Ciało siostry ponownie zareagowało.

– Tęskniłem za nami. Jestem kretynem, okej? Popeliłem wiele błędów. Nie proszę, byś przyjęła mnie dziś z powrotem, Mari. Nie proszę, byś mnie znów pokochała. Jestem tylko chłopcem stojącym przed dziewczyną, pragnącym umówić się na kawę.

– O rany – jęknęłam.

– Co? – zapytał Parker urażony moją irytacją.

– Wzięłeś ten tekst z *Notting Hill*!

– Nie słowo w słowo! Julia Roberts błagała Hugh Granta, by ją kochał. Ja tylko chciałem umówić się na kawę – wyjaśnił.

Nie potrafiłam wystarczająco mocno przewrócić oczami.

– Nieważne. Wyjdź.

– Bez obrazu, Lucy, ale nie przyszedłem do ciebie. Przyszedłem do Mari, a ona nie kazała mi...

– Wyjdź – powiedziała siostra. Jej głos odzyskał siłę, gdy ponownie obróciła się do Parkera. Stała prosto niczym silny dąb.

– Mari... – Zbliżył się, ale wyciągnęła rękę, by go zatrzymać.

– Powiedziałam, byś wyszedł, Parker. Nie mam ci nic do powiedzenia, i niczego od ciebie nie chcę. A teraz wyjdź.

Zawahał się przez chwilę, po czym położył kwiaty na ladzie i wyszedł.

W momencie, w którym zamknęły się za nim drzwi, Mari wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze, a ja pospieszyłam na zaplecze.

– Co robisz? – zawołała za mną.

– Idę po pęczek szaławii – odpowiedziałam. Kiedy byłyśmy małe, mama paliła szałwię za każdym razem, gdy wybuchała jakaś kłótnia. Mawiała, że spory sprowadzają złą energię, więc najlepiej było od razu ją oczyścić. – W energii Parkera nie było niczego dobrego, nie chcę, by jego negatywna moc ponownie zatrzymała nasze życie. Nie dzisiaj, szatanie. – Podpaliłam pęczek i przeszłam przez kwaciarnię, wymachując nim.

– A mówiąc o szatanie... – powiedziała Mari, biorąc do ręki mój dzwoniący telefon.

Sięgnęłam po niego i zobaczyłam na ekranie imię Grahama.

Odebrałam ostrożnie, podając siostrze pęczek szaławii.

– Halo?

– Fotel nie działa.

– Co?

– Powiedziałem, że fotel nie działa. Stwierdziłaś, że Talon lubi bujany fotel i że dzięki niemu zasnęła, ale to nie działa. Próbowałem cały ranek, ale mała nie chce spać. Ledwie je i... –

urwał, nim dodał cicho: – Wróc.

– Słucham? – Oburzona oparłam się o ladę. – Wygoniłeś mnie.

– Wiem.

– I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Że wiesz?

– Słuchaj, jeśli nie chcesz przyjechać i pomóc, w porządku. Nie potrzebuję cię.

– Nieprawda, potrzebujesz mnie. Właśnie dlatego dzwonisz. – Przygryzłam dolną wargę i zamknęłam oczy. – Będę za dwadzieścia minut.

– Okej.

Ponownie mi nie podziękował.

– Lucille?

– Tak?

– Bądź za piętnaście.

## ROZDZIAŁ 9

### GRAHAM

Lucy przyjechała poobijanym, burgundowym samochodem. Otworzyłem drzwi, zanim zdołała z niego wysiąść. Kołysałem Talon, która nieustannie płakała.

– To było dwadzieścia pięć minut – skarciłem ją.

Uśmiechnęła się tylko. Zawsze się uśmiechała.

Obdarowała mnie uśmiechem przypominającym o przeszłości – pięknym i wypełnionym nadzieją. Nadzieja była lekarstwem słabego człowieka. Wiedziałem o tym z doświadczenia.

– Nazwałabym to eleganckim spóźnieniem.

Im była bliżej, tym bardziej się spinałem.

– Dlaczego pachniesz marihuaną?

Zaśmiała się.

– To nie marihuana, tylko szałwia. Okadzałam nią kwiaciarnię.

– Dlaczego okadzałaś szałwią kwiaciarnię?

Uśmiechnęła się zawstydzona i wzruszyła ramionami.

– Aby zwalczyć negatywną energię, taką jak twoja.

– Ach tak, świrnięta hipiska. Założę się, że masz przy sobie kryształy i kamienie.

Bez namysłu wsadziła rękę do przewieszanej na ukos torebki i wyciągnęła garść kryształów.

Oczywiście, że je miała.

– Daj mi ją. – Wzięła ode mnie Talon i zaczęła ją kołysać. – Musisz odpocząć. Popilnuję jej. – Miałem silne wyrzuty sumienia

na widok córki uspokajającej się w rękach Lucy.

– Nie mogę spać – powiedziałem.

– Możesz. Zdecydowałeś, by nie spać, bo popadłeś w paranoję, że coś stanie się twojej córce, co jest zrozumiałe. Jestem pewna, że większość młodych rodziców przez to przechodzi. Jednak nie jesteś sam, Grahamie. Jestem tutaj.

Zawahałem się, więc szturchnęła mnie lekko ramieniem.

– Idź. Poradzę sobie.

– Mówiłaś, że wcześniej byłaś nianią, prawda?

– Tak, opiekowałam się bliźniętami i ich młodszym braciszkiem. Byłam u nich przez pięć dni w tygodniu, aż poszli do szkoły. Grahamie, przyszekam, że Talon nic się nie stanie.

– Dobrze. – Podrapałem się po zarośniętym policzku i ruszyłem w kierunku sypialni. Prysznic byłby wspaniały. Nie pamiętałem, kiedy się ostatnio kąpałem czy też jadłem. *Kiedy spożyłem ostatni posiłek? Miałem w lodówce jakieś jedzenie? Lodówka w ogóle wciąż pracowała?*

*Rachunki.*

*Zapłaciłem je? Nie odcięto mi telefonu, co było dobrym znakiem. Wiedziałem o tym, bo rano dzwoniłem do pediatry.*

*Lekarz.*

*Wizyta – musiałem umówić wizytę.*

*Niania? Musiałem przeprowadzić rozmowy.*

– Przestań – warknęła Lucy.

– Niczego nie mówiłem.

– Nie, ale myślałeś o wszystkim, co mógłbyś robić, zamiast położyć się spać. Zanim zaczniesz działać, musisz wypocząć. Grahamie?

Obróciłem się i zobaczyłem ciepłe spojrzenie.

– Tak?

– Dobrze radzisz sobie z córką.

Odchrząknąłem i wsadziłem ręce do kieszeni jeansów. *Pranie – kiedy ostatnio robiłem pranie?*

– Ona cały czas płacze. Nie jest ze mną szczęśliwa.

Lucy zaśmiała się, szeroko rozciągając usta i odrzucając głowę do

tyłu. Śmiała się za głośno i w nieodpowiednich momentach.

– Dzieci płaczą, Grahamie. To normalne. Sytuacja jest nowa dla was obojga. To zupełnie inny świat, ale oboje robicie, co możecie, by się przystosować.

– Przy tobie nie płacze.

– Zaufaj mi. – Lucy uśmiechnęła się, patrząc na spokojne dziecko. – Daj jej chwilę, a będę cię błagać, byśmy się zamienili. A teraz idź. Odpocznij, nim ci ją oddam.

Przytaknąłem, ale zanim wyszedłem, ponownie odchrząknąłem.

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że cię stąd wyprosiłem. Zachowałem się niegrzecznie, więc przepraszam.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie pytająco.

– Dlaczego czuję, że przez twoją głowę przewija się tysiąc słów, ale przez usta pozwalasz wydostać się tylko nielicznym?

Nie odpowiedziałem.

Patrzyłem, jak kołysze moją córkę, która złościła się coraz bardziej, na co Lucy tylko się uśmiechnęła i puściła do mnie oko.

– Widzisz? Mówiłam. To tylko dziecko. Zajmę się nią przez chwilę. Idź i zadbaj o siebie.

Podziękowałem jej w duchu, a ona uśmiechnęła się, jakby to usłyszała.

\*\*\*

Zasnąłem od razu, gdy tylko moja głowa dotknęła poduszki. Nie wiedziałem, że aż tak byłem zmęczony, póki nie odważyłem się odpocząć. Wydawało mi się, jakby moje ciało roztopiło się na łóżku, a materac pochłonął je w całości. Nie miałem snów – dobrych czy złych – za co byłem wdzięczny.

Zacząłem się budzić, dopiero gdy usłyszałem płacz Talon.

– Jane, możesz się nią zająć? – szepnąłem wciąż nieco zaspany. Otworzyłem oczy i spojrzałem na drugą stronę łóżka, która była pusta. Na prześcieradle nie zauważyłem żadnych zmarszczek. Wpatrywałem się w idealnie zasłaną pościel przypominającą mi, że byłem sam.

Wstałem, a gdy szedłem korytarzem, usłyszałem miękki szept.

– Wszystko dobrze, wszystko dobrze.

Im byłem bliżej pokoju dziecka, tym bardziej uspokajał mnie cichy głos. Stałem w drzwiach, przyglądając się, jak Lucy karmi Talon.

Może widok pustego łóżka przypomniał mi, że Jane odeszła, ale widok Lucy uświadomił mi, że nie byłem sam.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, a zaskoczona dziewczyna uniosła głowę.

– O tak. Jest głodna, to wszystko. – Przebiegła wzrokiem po moim ciele. – Nie pachniesz już jak lump.

Powiodłem palcami po wciąż wilgotnych włosach.

– Tak, wziąłem szybki prysznic i uciałem sobie jeszcze krótszą drzemkę.

Przytaknęła i podeszła do mnie.

– Chcesz ją nakarmić?

– Może... nie. Czy ona...?

Lucy wskazała ruchem głowy bujany fotel.

– Siadaj. – Chciałem zaprotestować, ale pokręciła głową. – Teraz.

Spełniłem polecenie, a gdy usiadłem, podała mi dziecko. Talon już w chwili wymiany zaczęła głośno płakać, więc pośpiesznie spróbowałem oddać ją Lucy, ale nie chciała jej wziąć.

– Nie zrobisz jej krzywdy.

– Nie lubi, gdy ją trzymam. Nie jest jej wygodnie.

– Nie, to tobie nie jest wygodnie, ale dasz radę, Grahamie. Po prostu oddychaj i uspokój swoją energię.

Skrzywiłem się.

– Znów uzewnętrznia się twoja świrnięta hipisowska natura.

– A u ciebie ujawnia się strach – ciągnęła. Pochyliła się, podała mi butelkę i pomogła nakarmić małą. Po dłuższej chwili dziecko zaczęło ssać i uspokoiło się na tyle, że zaczęły opadać mu powieki. – Nie zrobisz jej krzywdy, Grahamie.

Nie znosiłem, gdy bez pozwolenia czytała mi w myślach. Byłem przerażony, że każdy mój dotyk skończy się śmiercią Talon. Ojciec powiedział mi kiedyś, że niszcze wszystko, czego dotknę, byłem

więc pewien, że będzie tak również w przypadku córki.

Nie potrafiłem jej nakarmić, a co dopiero wychować.

Lucy nadal trzymała mnie za rękę, którą ścisnąłem butelkę. Jej dotyk był miękki, delikatny i zadziwiająco dobry dla mojej zamkniętej duszy.

– Na co masz największą nadzieję?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– O co ci chodzi?

– Na co masz w życiu największą nadzieję? – powtórzyła. – Mama nieustannie pytała nas o to, gdy byliśmy małe.

– Nie... nie mam nadziei.

Posmutniała, ale zignorowałem jej rozczarowanie. Nie żyłem nadzieją, po prostu istniałem.

Kiedy Talon opróżniła butelkę, podałem małą Lucy, a gdy jej się odbiło, kobieta położyła ją do łóżeczka. Stanęliśmy nad nim oboje, wpatrzeni w odpoczywające dziecko, jednak węzeł, który miałem w żołądku od urodzenia Talon, wcale się nie rozluźnił.

Mała skrzywiła się nieco kilkakrotnie, nim całkowicie się odprężyła i zasnęła. Zastanawiałem się, czy śniła i czy któregoś dnia będzie miała na coś nadzieję.

– Wow – powiedziała Lucy, lekko się uśmiechając. – Krzywą minę ma po tobie.

Również się zaśmiałem, co spowodowało, że natychmiast na mnie spojrzała.

– Przepraszam, czy ty właśnie... – Wyprostowała palec i dźgnęła mnie w ramię. – Czy Graham Russell właśnie się zaśmiał?

– Wypadek. To już się nie powtórzy – odparłem oschle, stając prosto.

– Och, jakżebym chciała, by się jednak powtórzyło.

Patrzyliśmy sobie w oczy, stojąc blisko siebie, ale nie padły między nami żadne słowa. Włosy Lucy były nieokiełznanymi naturalnymi lokami, nawet na pogrzebie ojca miała na głowie ten bałagan.

Mimo wszystko jej fryzura była piękna.

Luźny lok opadał na jej lewe ramię, więc wyciągnąłem do niego



rękę, gdy zobaczyłem, że coś na nim jest. Im bardziej się zbliżałem, tym bardziej sztywniała.

– Grahamie? – szepnęła. – Co robisz?

Przeczesałem palcami jej włosy, a ona zamknęła oczy. Wyraźnie było widać jej zdenerwowanie.

– Odwróć się – poleciłem.

– Co? Dlaczego?

– Po prostu się odwróć – powiedziałem. Uniosła brew, więc przewróciłem oczami, nim dodałem drwiąco: – Proszę.

Spełniła polecenie, a ja się skrzywiłem.

– Lucille? – szepnąłem, przysuwając się do niej. Moje usta znajdowały się kilka milimetrów od jej ucha.

– Tak, Herbatniku Grahamku?

– Masz wymiociny na plecach.

– Co?! – wykrzyknęła, obracając się i próbując spojrzeć na własne plecy, które całe były pokryte mlekiem zwróconym przez Talon. – O Boże – jęknęła.

– Masz je też we włosach.

– Cholera jasna. – Uświadomiła sobie, co powiedziała i zakryła usta dłonią. – Przepraszam. To znaczy, kurczę. Miałam nadzieję, że nie wrócę do domu pokryta wymiocinami.

Prawie znów się zaśmiałem.

– Możesz skorzystać z mojego prysznicza i pożyczyć jakieś ubranie, żebym twoje wrzucił do pralki.

Uśmiechnęła się, co robiła często.

– Czy to twój niezręczny sposób na poproszenie, bym została jeszcze kilka godzin i pomogła z Talon?

– Nie – odparłem ostro, urażony jej komentarzem. – To niedorzeczne.

Przestała się uśmiechać, a zaczęła się śmiać.

– Żartowałam, Grahamie. Nie bierz wszystkiego tak poważnie. Rozluźnij się trochę. Ale tak, jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie skorzystam z propozycji. To moja najładniejsza sukienka.

– Nie jest zbyt ładna z wymiocinami i w ogóle. Twój gust jest do bani.

– Wow. – Lucy gwizdnęła, kręcąc głową. – Twój powab jest niemal odurzający – zadrwiła.

– Nie chciałem... – urwałem. Nawet jeśli Lucy nadal się śmiała, widziałem, że drżała jej dolna warga. Obraziłem ją. Oczywiście, że ją obraziłem. Niespecjalnie, ale i tak mi się to udało. Przesząpiłem z nogi na nogę i się wyprostowałem. Powinienem coś dodać, lecz nie wymyśliłem niczego odpowiedniego.

– Chyba pojedę do domu, by to wyprać – powiedziała cicho, biorąc torebkę.

Przytaknąłem ze zrozumieniem. Również nie chciałem, by została.

Kiedy wychodziła z pokoju, powiedziałem:

– Jestem kiepski w słowach.

Odwróciła się i zaprzeczyła.

– Nie, czytałam twoje książki i jesteś w nich świetny. Niemal za dobry. Brak ci tylko umiejętności społecznych.

– Często żyję jedynie w swojej głowie. Rzadko mam kontakt z ludźmi.

– A co z moją siostrą?

– Nie rozmawialiśmy za wiele.

Lucy się zaśmiała.

– Jestem pewna, że wasz związek był niełatwy.

– Byliśmy wystarczająco blisko, by odczuwać satysfakcję.

Pokręciła głową i zmrużyła oczy.

– Nikt, kto jest zakochany, nie powinien czuć się nieusatysfakcjonowany.

– A kto mówił o miłości? – odparłem. Wzdrygnąłem się na widok jej nagłego smutku.

Kiedy zamruwała, smutek zniknął. Doceniałem fakt, że jej emocje nie trwały zbyt długo.

– Wiesz, co pomogłoby w twoich umiejętnościach społecznych? – zapytała. – Uśmiech.

– Uśmiecham się.

– Nie. – Parsknęła. – Marszczysz brwi. Krzywisz się. Na twojej twarzy widać grymas. Tylko tyle. Ani razu się nie uśmiechnąłeś.

– Kiedy znajdę powód do uśmiechu, z pewnością cię powiadomię. A w ogóle to przepraszam, wiesz, za to, że cię obraziłem. Zdaje sobie sprawę, że czasami bywam niemiły.

– Niedopowiedzenie roku. – Zaśmiała się.

– Wiem, że niewiele mówię, a to, co wychodzi z moich ust, zazwyczaj jest niewłaściwe, więc przepraszam, że cię obraziłem. Byłaś pomocna, a ja zachowałem się jak cham. Nie jestem przyzwyczajony, że ludzie dają... po prostu dają.

– Grahamie...

– Czekaj, daj mi dokończyć, nim powiem coś, co to zrujnuje. Chciałem ci podziękować za dzisiaj i za odwiedziny w szpitalu. Wiem, że nie jestem łatwy w obyciu, ale to, że pomagałaś mi mimo wszystko, wiele dla mnie znaczy.

– Proszę. – Przygryzła dolną wargę i jęknęła, mamrocząc „*maktub*”, po czym dodała: – Słuchaj, pewnie bardzo tego pożałuję, ale mogę zaglądać do ciebie przed pracą i przyjeżdżać po niej, by ci pomagać. Wiem, że w którejś chwili będziesz musiał wrócić do pisania kolejnego bestsellera.

– Mogę... ci płacić za usługi.

– To nie są żadne usługi, Grahamie, to pomoc i nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Czułbym się lepiej, gdybym ci płacił.

– A ja czułabym się lepiej, gdybyś tego nie robił. Poważnie. Nie zaproponowałabym tego, gdybym liczyła na zapłatę.

– Dziękuję. Lucille?

Uniosła brwi, czekając.

– To bardzo ładna sukienka.

Obróciła się powoli na palcach.

– Z wymiocinami i w ogóle?

– Tak.

Spuściła na chwilę głowę, nim ponownie na mnie spojrzała.

– Jesteś jednocześnie ciepły i zimny, nie potrafię cię rozszyfrować. Nie wiem, jak cię odczytać, Grahamie Russell. Byłam dumna, że potrafię rozróżniać ludzkie emocje, ale ty jesteś inny.

– Być może jestem jak jedna z tych książek, które musisz

przeczytać do końca, by zrozumieć ich prawdziwy sens.

Uśmiechnęła się i ruszyła tyłem do łazienki, by wyczyścić ubranie. Wciąż patrzyła mi w oczy.

– Częściowo chciałabym udać się na koniec, by sprawdzić finał historii, ale nie znoszę spoilerów, a uwielbiam napięcie.

Kiedy się wytarła, wróciła do foyer.

– Napiszę wieczorem, by sprawdzić, czy mnie nie potrzebujesz. Jeśli nie odpiszesz, wpadnę rano. Grahamie?

– Tak?

– Nie zapominaj się uśmiechać.

## ROZDZIAŁ 10

### LUCY

Kolejne tygodnie skupiały moją energię głównie na przygotowywaniu aranżacji kwiatowych i zajmowaniu się Talon. Jeśli nie spędzałam czasu w Ogrodach Moneta, pomagałam Grahamowi. Ilekroć zjawiałam się u niego, niewiele rozmawialiśmy. Podawał mi córkę, szedł do gabinetu, gdzie się zamykał i pisał. Był małomówny, a ja nauczyłam się, że te kilka słów, które wypowiadał, były szorstkie. Jego milczenie przestało mi przeszkadzać. Jeśli już, dawało spokój.

Czasami, gdy przechodziłam pod jego drzwiami, słyszałam, że nagrywał się Lyric na pocztę. W każdej wiadomości informował ją o postępkach Talon, opisując wzloty i upadki córki.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy podjechałam pod jego dom, zdziwiłam się, widząc zaparkowane na podjeździe brązowe kombi. Zostawiłam samochód, podeszłam do drzwi i zadzwoniłam.

Czekałam, kołyszając się na piętach i nastawiając uszu, gdy z domu dobiegł śmiech.

Śmiech?

W domu Grahama Russella?

– Kiedy wrócę, chcę widzieć na tobie mniej tłuszczu, a więcej mięśni – powiedział ktoś, zanim otworzyły się drzwi. Na widok mężczyzny uśmiechnęłam się szeroko. – O, witam panienkę – powiedział wesoło.

– Profesor Oliver, prawda?

– Tak, tak, ale proszę, mów mi Ollie. Ty zapewne jesteś Lucille. – Wyciągnął rękę, więc ją uścisnęłam.

– Lucy – powiedziałam. – Graham uważa, że Lucy jest zbyt nieformalne, ale jestem dość nieformalną dziewczyną. – Uśmiechnęłam się do Grahama, który stał nieco dalej i się nie odzywał.

– Ach, Graham, formalny dżentelmen. Wiesz, od lat próbuję go nakłonić, by przestał zwracać się do mnie „profesorze Oliverze”, ale odmawia nazywania mnie Olliem. Uważa, że to infantylne.

– Bo to infantylne – wciął się Graham, podając starszemu mężczyźnie brązowy kapelusz. – Dziękuję za odwiedzinę, profesorze Oliverze.

– Oczywiście, oczywiście. Miło mi było cię poznać, Lucy. Graham wyrażał się o tobie w samych superlatywach.

Roześmiałam się.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Ollie zmarszczył nos i parsknął śmiechem.

– Prawda, prawda. Nie mówił o tobie za wiele. Trochę z niego ponury gnojek, nieprawdaż? Ale widzisz, Lucy, chciałbym zdradzić ci pewną tajemnicę.

– Z przyjemnością poznam wszelkie sekrety i wskazówki.

– Profesorze – powiedział stanowczo Graham. – Mówił pan, że niezwłocznie musi być pan na kolejnym spotkaniu.

– Och, jest rozdrażniony, co? – Ollie zaśmiał się, ale ciągnął niezrażony: – Ale oto wskazówka, jak postępować z panem Russellem: jego usta nie mówią za wiele, jednak oczy przekazują całą historię. Jeśli uważnie się przyjrzyysz, oczy opowiedzą ci o jego uczuciach. Jest niczym otwarta księga, jeżeli tylko nauczysz się czytać jego język. Gdy go o ciebie zapytałem, odparł, że wszystko w porządku, lecz jego oczy powiedziały mi, że jest ci wdzięczny. Lucy, dziewczyno z wielkimi brązowymi oczami, Graham ma o tobie bardzo dobre zdanie, choć wcale go nie wyraża.

Spojrzałam na Grahama, który zaciskał wargi, ale jego spojrzenie złagodniało nieco, co roztopiło mi serce. Talon miała w oczach to samo piękno.

– W porządku, staruszk, wydaje mi się, że dosyć już tej paplaniny. Wyraźnie przekroczył pan granice mojej gościnności.

Uśmiech starszego mężczyzny poszerzył się, gdyż zupełnie nie wzruszył go chłód Grahama.

– A mimo to wciąż mnie zapraszasz. Do zobaczenia za tydzień, synu, i proszę, mniej tłuszczu, więcej mięśni. Przestań wykręcać się pisaniem, w momencie gdy masz nadrobiony materiał. – Ollie spojrział na mnie i skłonił się lekko. – Naprawdę miło było cię poznać, Lucy.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Przechodząc obok, uchylił kapelusza. Przez całą drogę do samochodu gwizdał, idąc tanecznym krokiem.

Uśmiechnęłam się do Grahama, który nie odpowiedział tym samym. Staliśmy przez chwilę we foyer, milcząc i po prostu na siebie patrząc. Było to z pewnością niezręczne.

– Talon śpi – powiedział, zrywając kontakt wzrokowy.

– Och, okej.

Skrzywił się.

Jak zwykle.

– Mogłabym pomedytować w twoim salonie? Wezmę ze sobą elektroniczną niańkę, żeby wiedzieć, kiedy Talon się obudzi.

Skinął krótko głową. Gdy przeszłam obok niego, odezwał się ponownie:

– Jest szósta po południu.

Obróciłam się i uniosłam brew.

– To prawda.

– O szóstej jem obiad w gabinecie.

– Tak, wiem.

Odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę. Gapił się przez dłuższą chwilę w podłogę, nim spojrział na mnie ponownie.

– Żona profesora Olivera, Mary, przygotowała mi mrożone obiady na dwa tygodnie.

– Wow, to miło z jej strony.

Ponownie skinął głową.

– Tak. Jeden z posiłków jest w piekarniku, ale każdy zrobiła na

tyle duży, że może wystarczyć dla więcej niż jednej osoby.

– O – powiedziałam. Mężczyzna wpatrywał się we mnie, ale milczał. – Grahamie?

– Tak, Lucille?

– Prosisz, bym zjadła dziś z tobą obiad?

– Jeślibyś chciała, jedzenia jest dosyć.

Zawahałam się, zastanawiając, czy śnię czy jednak nie, ale wiedziałam, że jeśli nie odpowiem wystarczająco szybko, chwila uleci w mgnieniu oka.

– Z przyjemnością.

– Masz jakieś alergię pokarmowe? Jesteś wegetarianką? Nie jesz glutenu? Nie tolerujesz laktozy?

Roześmiałam się, ponieważ wszystko, co robił Graham, było śmiertelnie poważne. Jego mina, gdy pytał o wszystkie te rzeczy, była surowa, więc mimowolnie zachichotałam.

– Nie, nie. Cokolwiek będziemy jeść, będzie dobre.

– To lasagne – powiedział wyższym głosem, jakby coś miało być nie tak.

– W porządku.

– Na pewno?

Parsknęłam śmiechem.

– Herbatniku Grahamku, na sto procent.

Jego twarz nie ujawniała żadnych emocji. Mężczyzna skinął tylko głową.

– Nakryję do stołu.

Stół w jego jadalni był nedorzecznie wielki – pomieściłoby się przy nim dwanaście osób. Graham ustawił porcelanę i sztucę na dwóch różnych końcach, po czym wskazał, bym zajęła miejsce. W milczeniu podał posiłek i zasiadł po drugiej stronie.

W domu nie było za dużo światła, w dodatku zasłony często pozostawały zasunięte, nie wpuszczając do środka promieni słońca. Także mebli nie było wiele, jeśli już, również były ciemne. Miałam wrażenie, że w całej posiadłości to ja byłam najjaśniejszym punktem, z moimi kolorowymi ubraniami i nieujarzmionymi blond włosami.



– Wiesz, pogoda jest przyjemna, jak na wiosenny dzień w Wisconsin – powiedziałam po kilku minutach krępującej ciszy. Rozmowa o pogodzie była kiepska, ale tylko tyle zdołałam wymyślić. Wcześniej zwykle pogaduszki nie stanowiły dla mnie problemu.

– Tak? – mruknął niezainteresowany. – Nie byłem na zewnątrz.

– Och. Cóż, no to jest ciepło.

W ogóle tego nie skomentował, tylko zajął się spożywaniem posiłku.

*Hmm...*

– Myślałeś o założeniu ogrodu kwiatowego? – zapytałam. – To odpowiednia pora, by wszystko zaplanować, a masz takie piękne miejsce. Trzeba by skrócić trawę, rozjaśniłoby to działkę.

– Nie jestem zainteresowany. To strata pieniędzy.

– Och. Okej.

*Hmm...*

– Ollie jest taki słodki – wspomniałam, próbując ostatni raz. – Jest dobrym człowiekiem, prawda?

– Jest w porządku – wymamrotał.

Przechyliłam głowę, patrząc mu w oczy zgodnie ze wskazówką Olliego.

– Naprawdę go lubisz, prawda?

– Był moim profesorem na studiach i wspiera mnie teraz przy pisaniu. Ni mniej, ni więcej.

– Słyszałam, jak się śmialiście. Nie śmiejesz się z wieloma ludźmi, ale słyszałam, że z nim się śmiałeś. Nie wiedziałam, że masz poczucie humoru.

– Nie mam.

– Tak, oczywiście – zgodziłam się, wiedząc, że kłamał. – Ale wydawało mi się, że jesteście zżyci.

Nie odpowiedział, co oznaczało koniec dyskusji. Jedliśmy w ciszy, a kiedy elektroniczna niańka dała znać, że Talon płacze, oboje poderwaliśmy się z miejsc, by do niej pójść.

– Ja sprawdzę – powiedzieliśmy równocześnie.

– Nie, ja... – zaczął Graham, ale pokręciłam głową.

– Dlatego tu jestem, pamiętasz? Dokończ posiłek. Dziękuję, że podzieliłeś się nim ze mną.

Skinął głową, a ja poszłam do Talon. Na mój widok mała otworzyła szerzej oczy i przestała płakać, a łzy zastąpił niewielki uśmiech. Wyobrażałam sobie, że tak właśnie wyglądałby uśmiech Grahama. Gdy przygotowałam butelkę i zaczęłam karmić dziecko, w drzwiach pojawił się mężczyzna i oparł się o futrynę.

– Wszystko z nią dobrze? – zapytał.

– Jest głodna.

Przytaknął i odchrząknął.

– Profesor Oliver ma ekstrawertyczną osobowość. Jest otwarty, gadatliwy i przez dziewięćdziesiąt procent swojego czasu gada jakieś głupoty. Nie mam pojęcia, jak żona czy córka wytrzymują z jego dziwactwami. Jak na człowieka po osiemdziesiątce, zachowuje się niczym dziecko, jednak często okazuje się, że jest dobrze wykształconym, choć śmiesznym panem.

– Och. – Przynajmniej teraz wiedziałam, że Graham nie lubił wszystkich po równo, nie tylko mnie.

Spuścił głowę i zawiesił wzrok na własnych palcach, które trzymał złączone.

– I jest najlepszym człowiekiem i przyjacielem, jakiego znam.

Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Tak po prostu, przez ułamek sekundy, Graham Russell pokazał mi, że ma serce.

Około jedenastej skończyłam sprzątać w pokoju Talon i udałam się do gabinetu Grahama, w którym mężczyzna pisał całkowicie skupiony na słowach.

– Hej, idę do domu.

Dokończył zdanie i spojrzał na mnie.

– Dziękuję za poświęcenie czasu, Lucille.

– Nie ma sprawy. Chciałam tylko dać znać, że w piątek prawdopodobnie nie dam rady przyjść. Mój chłopak wystawia swoje prace w muzeum, więc muszę tam z nim być.

– O – powiedział. Zadrżała mu dolna warga. – Okej.

Przewiesiłam torebkę przez ramię.

– Wiesz, gdybyś chciał, mógłbyś zabrać Talon na wystawę. Byłoby

miło, gdyby wyszła z domu i odwiedziła inne miejsce niż gabinet lekarski.

– Nie mogę. Do soboty muszę skończyć kilka następnych rozdziałów.

– Och, okej... Dobrej nocy.

– O której? – zapytał, gdy byłam już w korytarzu.

– Hmm?

– O której otwarciu tej wystawy?

Rozpaliła się we mnie iskra nadziei.

– O ósmej wieczorem w muzeum sztuki.

Skinął krótko głową.

– Może skończę wcześniej. Obowiązuje jakiś strój?

Nie potrafiłam zapanować nad uśmiechem.

– Elegancki.

– Okej. – Musiał zauważyć moją ekscytację, bo zmrużył oczy. – Nie obiecuję, że przyjdę. Zbieram jedynie informacje, gdybym jednak postanowił uczestniczyć.

– Oczywiście. Na wszelki wypadek umieszczę cię na liście gości.

– Dobranoc, Lucille.

– Dobranoc, Herbatniku Grahamku.

Wychodząc, zastanawiałam się nad rozwojem wydarzeń tego wieczoru. Dla przeciętnego obserwatora zachowanie mężczyzny mogłoby wydawać się normalne, jednak wiedziałam, że dla Grahama był to niezwykle dzień.

Jasne, nie obiecał, że przyjdzie na wystawę, ale istniała niewielka szansa, że się pojawi. Jeśli stał się taki po wizycie profesora, miałam nadzieję, że starszy mężczyzna będzie go odwiedzał codziennie.

\*\*\*

Istniały krótkie chwile świadczące o tym, jak bardzo Graham kochał córkę. Staralam się o nich pamiętać, gdy był dla mnie oziębły. Czasami zastawałam go leżącego na kanapie bez koszuli z Talon w ramionach. Każdego dnia kangurował, bojąc się, że nie nawiąże z córką więzi. Jednakże był z nią związany ponad wszelką wątpliwość. Mała uwielbiała go, podobnie jak on ją. Pewnego dnia,

gdy odpoczywałam w salonie, usłyszałam przez elektroniczną niańkę, jak mówił do córki, próbując ją uspokoić.

– Jesteś kochana, Talon. Obiecuję, że zawsze będę się o ciebie troszczył. Przrzekam, że dla ciebie stanę się lepszy.

Przy mnie jednak nigdy nie okazywał serca. Nigdy się nie otwierał. Mimo to fakt, że nie bał się czule kochać córki w zaciszu domowym, podnosił mnie na duchu. Okazało się, że bestia wcale nie była taka straszna. Graham był człowiekiem, którego w przeszłości skrzywdzono i który powoli otwierał się na miłość do córki.

\*\*\*

Przyjechałam do muzeum nieco po ósmej, ponieważ wcześniej musiałam dostarczyć kwiaty. Gdy weszłam do środka w błyszczącej fioletowej sukience, zdziwiłam się liczbą obecnych już ludzi. Wystawa Richarda mieściła się w zachodniej części budynku, a przybyli goście ubrani byli jak na Met Galę w Nowym Jorku.

Swoją sukienkę kupiłam na wyprzedazy w Targecie.

Rozejrzałam się, szukając Richarda, a kiedy go spostrzegłam, podeszłam do niego.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się, przerywając jego rozmowę z dwiema kobietami o cenie jego dzieła. Kobiety były oszałamiająco piękne, ubrane w sięgające podłogi czerwoną i złotą suknię. Miały również idealnie upięte fryzury i nałożony makijaż.

Richard spojrzał na mnie i uśmiechnął się półgębkiem.

– Cześć, przyszaś. Stacy, Erin, to Lucy.

Obie kobiety zmierzyły mnie wzrokiem z góry na dół, gdy przysunęłam się do Richarda i wyciągnęłam ku nim dłoń.

– Jestem jego dziewczyną.

– Nie wiedziałam, że masz dziewczynę, Richie – powiedziała Erin z wyrazem niechęci na twarzy, ściskając moją dłoń.

– Ani ja – dodała Stacy.

– Od pięciu lat – syknęłam przez zęby, próbując posłać im wymuszony uśmiech.

– Och – westchnęły jednocześnie z niedowierzaniem.

Richard odchrząknął, położył dłoń na moich plecach i popchnął

mnie nieznacznie.

– Moje drogie, weźcie sobie po drinku. Oprowadzę Lucy po wystawie.

Kiedy odeszły, mój chłopak nieznacznie się do mnie przysunął.

– Co to było?

– O czym mówisz? – zapytałam, próbując nie skupiać się na tym, że nie była to całkowicie normalna wymiana zdań.

– O tej twojej postawie: „To mój facet, odpieprzcie się, zdziiry”.

– Przepraszam – mruknęłam, prostując się. Nie byłam z natury zazdrosna, ale nie czułam się komfortowo w obecności tych dwóch kobiet. Wydawało mi się, że uraziłam je swoim istnieniem.

– W porządku, naprawdę – powiedział Richard, zdejmując okulary i czyszcząc je chusteczką. – Masz krótką sukienkę – zauważył, rozglądając się po sali.

Obróciłam się.

– Podoba ci się?

– Jest krótka, to wszystko. Do tego twoje szpilki są żółte i dość wysokie. Jesteś w nich wyższa ode mnie.

– A to problem?

– Czuję się przez to nieco przytłoczony. Przedstawiając cię, będę wyglądał jak kurdupel przy gigantce.

– To tylko kilka centymetrów.

– Ale to i tak uwłaczające.

Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, a nim zdołałam znaleźć odpowiednie słowa, zdążył skomentować moją fryzurę.

– I masz płatki we włosach.

Uśmiechnęłam się i poklepałam po wianku, który uplotłam sobie przed wyjściem z kwiaciarni. Stworzyłam go z róż, tulipanów i łąszczca i włożyłam na głowę, gdzie uprzednio zaplotłam gruby francuski warkocz, który w tej chwili spoczywał na moim lewym ramieniu.

– Podoba ci się? – zapytałam.

– Wygląda nieco dziecinnie – odparł, zakładając okulary. – Po prostu... Wydawało mi się, że mówiłem ci, jak ważny jest dla mnie ten wieczór, Lucy. Jak istotny jest dla mojej kariery.

Zmrużyłam oczy.

– Wiem. Richardzie, to wszystko jest niesamowite. Twoje prace są wspaniałe.

– Tak, ale trochę dziwnie wyglądasz w tym stroju.

Rozchyliłam usta, niepewna, co powiedzieć, ale nim zdołałam zwerbalizować myśli, przeprosił mnie, mówiąc, że musi się przywitać z bardzo ważnymi osobami.

Odchrząknęłam, odsunęłam się od niego i przespacerowałam po sali, aż trafiłam do baru, w którym uśmiechnął się do mnie miły mężczyzna.

– Witam, co podać?

– Inną sukienkę – zażartowałam. – I może szpilki na mniejszym obcasie.

– Pięknie pani wygląda – zauważył. – A tak między nami, uważam, że jest pani najlepiej ubraną osobą w całym tym muzeum, ale co ja tam wiem. Jestem tylko prostym barmanem, nie artystą.

Uśmiechnęłam się.

– Dziękuję. Poproszę na razie wodę z cytryną.

Uniósł brwi.

– Na pewno nie wódkę? Impreza wygląda tak, że bez porządnej ilości alkoholu ani rusz.

Zaśmiałam się, kręcąc głową.

– Choć muszę się zgodzić, podejrzewam, że zwróciłam na siebie już wystarczająco dużo uwagi. Nie potrzebuję przedstawiać im pijanej wersji siebie. – Podziękowałam mu, a gdy się odwróciłam, zauważyłam mężczyznę stojącego do mnie plecami i wpatrującego się w jedno z dzieł Richarda. Obok niego stało nosidełko z najpiękniejszym na świecie dzieckiem. Poczułam ulgę na widok tej pary. Trudno było wyjaśnić, dlaczego te dwie znajome twarze dodały mi takiej pewności siebie.

– Przyszliście – powiedziałam, pochylając się nad Talon, by pocałować ją w czoło.

Graham spojrział na mnie przelotnie, po czym wrócił do podziwiania obrazu.

– Tak. – Stał wyprostowany w czarnym garniturze, z grafitowym

krawatem i mankietami. Miał błyszczące buty, świeżo wypolerowane na tę okazję. Włosy zaczesał za pomocą żelu i przystrzygł brodę.

– Oznacza to, że skończyłeś rozdziały?

Pokręcił głową.

– Dokończę, jak wrócę.

Serce mi się ścisnęło. Nie skończył pracy, ale poświęcił swój czas, by tu przyjść.

– Lucille?

– Tak?

– Dlaczego patrzę na trzyipółmetrowy obraz twojego nagiego chłopaka?

Zachichotałam i upiłam łyk wody.

– To akt z kolekcji autoportretów, w której Richard zanurzył się głęboko w swoje wnętrze, myśli, obawy i postanowił wyrazić siebie poprzez różne środki, jak glina, węgiel czy pastele.

Graham rozejrzał się po sali, spoglądając na pozostałe autoportrety wykonane na płótnie i w glinie.

– Czy to dwumetrowa rzeźba jego penisa? – zapytał.

Skinęłam głową zażenowana.

– Tak, to rzeczywiście dwumetrowa rzeźba jego penisa.

– Hmm. Jest dość pewny swojej... – Przechylił nieznacznie głowę i odchrząknął. – ...męskości.

– Lubię wierzyć, że pewność to moje drugie imię – zażartował Richard, podchodząc do nas. – Przepraszam, nie sądzę, byśmy się poznali.

– Ach, tak, przepraszam. Richardzie, to Graham. Grahamie, to Richard.

– Chłopak Lucy – powiedział z odrobiną zgryźliwości Richard, wyciągając rękę do Grahama. – Więc to ty dniem i nocą kradniesz czas mojej dziewczyny, co?

– Bardziej Talon niż ja sam – odparł jak zwykle oschle Graham.

– I jesteś pisarzem? – zapytał mój chłopak, doskonale zdając sobie sprawę, że ma przed sobą G. M. Russella. – Przepraszam, nie jestem pewny, czy słyszałem coś o twoich książkach. Chyba nie

czytałem żadnej. – Był dziwnie opryskliwy, przez co cała sytuacja stała się niezręczna.

– Nie szkodzi – odparł Graham. – Czytało je wystarczająco wiele innych osób, więc twój brak świadomości nie wyrządzi mojej karierze żadnych szkód.

Richard zaśmiał się głośno i poklepał Grahama po ramieniu.

– Zabawne. – Nadal się śmiał, gdy włożył ręce do kieszeni. Spojrzał na szklanekę w mojej dłoni i uniósł brew. – Wódka?

Pokręciłam głową.

– Woda.

– Dobrze, dobrze. Lepiej by było, gdybyś dziś nie piła, prawda, kochanie?

Uśmiechnęłam się sztywno, ale nie odpowiedziałam.

Graham się skrzywił.

– A dlaczego? – zapytał.

– Lucy po alkoholu staje się nieco... głupekowata. Za dużo gada, jeśli możesz w to uwierzyć. Wychodzą na wierzch wszystkie jej dziwactwa, niekiedy nie można sobie z nimi poradzić.

– Jest na tyle dorosła, że potrafi podejmować własne decyzje – zauważył Graham.

– I zdecydowała, by dzisiaj nie pić – odparł z uśmiechem Richard.

– Jestem pewien, że potrafi mówić za siebie – powiedział chłodno Graham. – Przecież ma własne struny głosowe.

– Tak, ale powiedziałyby dokładnie to samo, co ja przed chwilą.

Graham posłał mu wymuszony, sztywny uśmiech. Był to najkwaśniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Wybaczcie mi, proszę, ale muszę być gdzie indziej – powiedział Graham, biorąc nosidełko z dzieckiem.

– Wow. – Richard gwizdnął cicho. – Co za buc.

Szturchnęłam go lekko w ramię.

– Co to było? Byłeś trochę zbyt agresywny, nie uważasz?

– Przepraszam. Nie wiem tylko, co myśleć o tym, że spędzasz u niego tak wiele czasu.

– Pomagam mu zajmować się Talon, która jest moją siostrzenicą, moją rodziną. Wiesz o tym.



– Tak, ale zdaje się, że pominęłaś fakt, że facet wygląda jak pieprzony grecki bóg, Lucy. To znaczy, Jezu Chryste, który pisarz ma ramiona wielkości Titanica? – jęczał Richard z wyraźną zazdrością.

– Ćwicz, gdy ma blokadę twórczą.

– Więc musi się z nią często mierzyć. A w ogóle to chodź, chciałbym ci przedstawić kilka osób. – Wziął mnie za rękę i zaczął ciągnąć. Gdy rozejrzałam się po sali, Graham siedział na ławce, trzymając dziecko i patrząc na mnie. Jego spojrzenie było intensywne, jakby w głowie kotłowało mu się milion myśli.

Richard oprowadził mnie wokół wystawy, przedstawiając osobom ubranym jeszcze bardziej fantazyjnie niż ja. Za każdym razem, gdy mówił o moim stroju, wytykał, że jest dziwaczny podobnie jak moje serce. Mówił to z uśmiechem, ale i tak wiedziałam, że mój ubiór mu się nie podobał.

– Mogę się na chwilę oddalić? – zapytałam po rozmowie z kobietą, która patrzyła na mnie jak na śmiecia.

– Jeszcze dwie osoby. To ważne. To para, z którą bardzo chciałem dziś porozmawiać.

Najwyraźniej moja przerwa musiała poczekać.

– Państwo Peterson – powiedział Richard, wyciągając rękę, by uścisnąć ich dłonie. – Cieszę się, że państwo przyszli.

– Proszę, nie tak formalnie, Richardzie. Jestem Warren, a to Catherine – powiedział mężczyzna, gdy oboje powitali nas ciepłymi uśmiechami.

– Tak, oczywiście. Bardzo się cieszę, że jesteście.

Catherine miała na sobie futro i kosztowną biżuterię, dzięki której jej uśmiech błyszczał jeszcze mocniej. Usta miała pomalowane w kolorze fuksji i prężyła się, jakby była z królewskiego rodu.

– Za nic na świecie byśmy nie przegapili twojej wystawy, Richardzie. A ty musisz być Lucy. – Uśmiechnęła się, chwytając mnie za dłoń. – Wiele pytałam o towarzyszkę życia tego utalentowanego młodzieńca.

– To ja. – Zaśmiałam się bez entuzjazmu, skubiąc palcami rąbek

swojej sukienki i mając nadzieję, że Richard tego nie skomentuje. –  
Przepraszam, skąd znacie się z...

– Pan Pet... Warren jest jednym z najwspanialszych artystów na świecie i pochodzi z Milwaukee, Lucy – wyjaśnił mój chłopak. – Wielokrotnie ci o nim wspominałem.

– Nie – powiedziałam cicho. – Jestem pewna, że bym coś o tym wiedziała.

– Tak, mówiłem ci. Pewnie zapomniałaś.

Warren się zaśmiał.

– Nie martw się, Lucy. Moja własna żona zapomina o mnie wielokrotnie w ciągu dnia, czyż nie tak, Catherine?

– Przepraszam, znamy się? – zażartowała żona, puszczając oko do męża. Choć para była rozbawiona, wiedziałam, że Richard się zdenerwował. Miałam jednak pewność, że nigdy wcześniej nie słyszałam o tych ludziach.

– Jaki będzie następny krok w twojej karierze, Richardzie? – zapytał Warren.

– Przyjaciel zaprosił mnie do wystawienia swoich dzieł w Nowym Jorku – zaczął.

– Tak? – zapytałam zaskoczona, że o tym również nie słyszałam. – Nie wiedziałam.

– Właściwie stało się to dziś po południu – wyjaśnił, przysuwając się i całując mnie w policzek. – Pamiętasz Tylera? Będzie się wystawiał na tej wielkiej artystycznej gali w mieście i powiedział, że mógłbym się zatrzymać w jego mieszkaniu.

– Chodzi o Galę w Rosa Art? – zapytał Warren, kiwając głową. – Wiele lat wystawiałem się w Rosie. To magiczny tydzień. Każdy artysta przynajmniej raz w życiu powinien tego doświadczyć. Podczas tych wystaw znalazłem kilka najsilniejszych artystycznych inspiracji.

– I straciłeś wiele szarych komórek – rzuciła żartem Catherine. – Od oparów farby, alkoholu i marihuany.

– Jestem pewien, że w tym roku też będzie wspaniale – zgodził się Richard.

– Wybierasz się, Lucy? – zapytał Warren.

– Och, nie. Lucy prowadzi kwiaciarnię – wtrącił się mój chłopak, nie dając mi szansy na odpowiedź. Nie zostałam nawet zaproszona. – Ale chciałbym, by ze mną była.

– Jesteś kwiaciarką? – zapytał ochoczo Warren. – Powinnaś popracować z malarzami kwiatowymi, którzy się tu wystawiają. Robiłabyś bukiety, które później oni przenosiliby na płótno. To niezła zabawa.

– Brzmi wspaniale – zgodziłam się.

– Gdybyś chciała, daj mi znać, a zobaczę, co da się zrobić. Jestem pewien, że uda mi się wcisnąć cię do programu. – Uśmiechnął się.

– A teraz czas na najważniejsze pytanie wieczoru: co pijesz, Lucy? – zapytała Catherine.

– Tylko wodę.

Wzięła mnie pod rękę i zaczęła odciągać.

– Tak nie może być. Lubisz gin?

Nim zdołałam odpowiedzieć, wtrącił się Richard:

– Lucy uwielbia gin. Jestem pewien, że wypije to, co ty.

Kiedy wszyscy czworo ruszyliśmy do baru, Catherine zamarła.

– O Boże, Warrenie! Patrz! – Ruchem głowy wskazała Grahama, który wkładał śpiącą Talon do nosidełka. – To G.M. Russell?

Warren wyjął z kieszeni okulary i je założył.

– Chyba tak.

– Znacie jego książki? – zapytał z rozbawieniem Richard.

– Czy znamy? Uwielbiamy je. Jest najlepszym pisarzem, oczywiście zaraz po swoim ojcu, który niech spoczywa w spokoju – powiedział Warren.

– O nie, jest o wiele lepszy niż Kent. Pisze z tak wielkim bólem. To niesamowicie piękne.

– Tak – przytaknął Warren. – Całkowicie się zgadzam. Właściwie moja seria *Cienie* inspirowana była jego książką pod tytułem *Gorycz*.

– To jedna z moich ulubionych powieści – powiedziałam wesoło, pamiętając, że książka miała stałe miejsce w mojej biblioteczce. – Co za akcja!

– O tak, kochana, co za akcja! – zgodziła się Catherine, a jej

policzki się zaczerwieniły. – Och, bardzo chciałabym go poznać.

Nie sądziłam, że mój chłopak będzie zdolny do jeszcze większej sztuczności tego wieczoru, ale nie przestawał mnie zadziwiać w materii swoich kłamstw.

– Tak naprawdę jest przyjacielem Lucy – powiedział gładko. Graham był daleki od bycia moim przyjacielem, nawet jeśli dziś był jedynym dobrym człowiekiem na tej sali. – Myślisz Lucy, że mogłabyś go przedstawić?

– Jasne, oczywiście. – Uśmiechnęłam się do podekscytowanej pary i poprowadziłam starsze małżeństwo do Grahama. – Cześć, Graham.

Mężczyzna wstał, wygładził garnitur, a następnie splótł przed sobą palce.

– Lucille.

– Dobrze się bawisz? – zapytałam.

Milczał niezręcznie, więc po chwili odchrząknęłam i wskazałam stojące za mną osoby.

– To Warren i Catherine. Są...

– Pana największymi fanami – powiedziała podekscytowana kobieta, ściskając rękę Grahama i potrząsając nią gwałtownie. Graham posłał jej szeroki uśmiech, który był sztuczny i wymuszony. Podejrzywałam, że każdy pisarz się tak uśmiechał.

– Dziękuję, Catherine. Spotkania z czytelnikami to dla mnie niezmierną przyjemność. Poinformowano mnie dziś, że nie wszyscy znają moje dzieła, ale fakt, że oboje państwo macie dla nich uznanie, jest pocieszający – odparł Graham.

– Ktoś nie słyszał o pana książkach? Błuznierstwo! Nie potrafię wyobrazić sobie, któż mógłby nie znać pana twórczości – powiedział Warren. – W pewnych kręgach jest pan żywą legendą.

– Niestety nasz drogi Richard zdaje się z tym nie zgadzać – zadrwił Graham.

– Doprawdy, Richardzie? Nie znasz prac pana Grahama? – zapytała z nutą rozczarowania Catherine.

Richard zaśmiał się nerwowo, pocierając kark.

– O nie, oczywiście, że znam. Po prostu się przekomarzałem.

– Twoja definicja przekomarzania jest nieco niedokładna – odparł oschle Graham.

Talon zaczęła kwilić, więc wyjęłam ją z nosidełka i uśmiechnęłam się do słodkiej dziewczynki, podczas gdy Graham nadal toczył dziwną wojnę z Richardem.

Napięcie w grupie rosło coraz bardziej, więc Warren uśmiechnął się szeroko, po czym rozejrzał po sali.

– Twoje prace, Richardzie, są zupełnie wyjątkowe.

Mój chłopak wyprostował się dumnie.

– Tak, lubię myśleć o nich jako o przebudzeniu moich najgłębszych i najmroczniejszych cieni. W procesie twórczym wszedłem tak głęboko i daleko w czas, że przeżyłem załamanie z powodu zarówno tak wielkiego odkrycia samego siebie, jak i idei wpuszczenia innych do swej duszy. Był to dla mnie bardzo trudny okres. Jestem pewien, że wylałem wtedy morze łez, ale się udało.

Graham parsknął śmiechem, a Richard spiorunował go wzrokiem.

– Przepraszam, powiedziałem coś zabawnego?

– Nie, prócz każdego słowa, które wyszło z twoich ust – odparł Graham.

– Wydaje ci się, że pozjadałeś wszystkie rozumy, prawda? No dalej, powiedz, co widzisz, gdy się rozglądasz – nalegał Richard.

*Nie rób tego. Nie budź bestii...*

– Zaufaj mi, nie chcesz poznać moich myśli – powiedział pisarz, stając prosto.

– Nie no, proszę, oświeć nas, nie mogę się wprost doczekać – nalegał Richard. – Twój pretensjonalny ton jest niezmiernie nieuzasadniony i, szczerze mówiąc, bardzo lekceważący.

– Lekceważący? Pretensjonalny? – zapytał Graham, unosząc brew.

*O nie.* Zauważyłam na jego szyi pulsującą żyłę i nawet jeśli kontrolował swój głos, wiedziałam, że był coraz bardziej poirytowany.

– Stoimy w sali pełnej obrazów i rzeźb twojego penisa, co, szczerze mówiąc, wydaje się niczym więcej jak marną próbą

rekompensaty czegoś, czego ci w życiu brakuje. Sądząc po rozmiarach i potrzebie zmuszenia ludzi do wpatrywania się w przesadnie oddane genitalia, zgaduję, że masz kompleksy.

Wszystkim opadła szczęka, ponieważ oszołomiły ich słowa Grahama. Wytrzeszczyłam oczy, gdy poczułam ucisk w sercu. Pociągnęłam mężczyznę za ramię.

– Możemy porozmawiać gdzie indziej, proszę? – powiedziałam. Było to bardziej żądanie niż grzeczna prośba.

– Co to było?! – szepnęłam ostro, niosąc Talon w ciemny kąt muzeum, gdy Graham szedł za mną.

– Co masz na myśli?

– Ciebie. Całą tę scenę.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

– No dalej, Grahamie! Czy chociaż raz mógłbyś zrezygnować z protekcjonalności?

– Ja? Protekcjonalny? Żartujesz? To on maluje swoje nagie autoportrety i wymaga, by postrzegać to jako sztukę, gdy tak naprawdę to jakieś hipsterskie gówno, które nie pasuje do tego muzeum.

– Jest utalentowany.

– Twoja definicja talentu jest żenująca.

– Wiem – odparłam ostro. – Wiem, mimo wszystko czytam twoje książki.

– O, to było dobre, Lucille. Aleś mi przygadała... – powiedział, przewracając oczami. – Mimo to w przeciwieństwie do tego twojego tak zwanego chłopaka, ja znam swoje wady, jeśli chodzi o moje dzieła. A on sądzi, że jest najlepszym z najlepszych.

– Co masz na myśli? Dlaczego mówisz „tak zwanego chłopaka”?

– Bo on cię nie zna – powiedział stanowczo, a ja uniosłam brwi.

– Jesteśmy razem od ponad pięciu lat, Grahamie.

– A mimo to on nie ma zielonego pojęcia, jaka jesteś, co mnie jednak nie dziwi, ponieważ zdaje się być tak mocno zapatrzony w siebie, że nie ma czasu, by spojrzeć na kogokolwiek innego.

– Wow – powiedziałam, całkowicie zdumiona jego słowami. – Nie znasz go.

– Znam ten typ ludzi. Posmakują odrobiny sukcesu i czują się gotowi porzucić wszystko i wszystkich, którzy towarzyszyli im w przeszłości. Nie wiem, jak niegdyś na ciebie patrzył, ale teraz patrzy na ciebie, jakbyś była nikim. Jakby się wywyższał. Daję waszemu związkowi dwa tygodnie. Założę się, że góra miesiąc i on zniknie.

– Jesteś podły.

– Mówię prawdę. Richard jest egoistycznym gnojkiem. Wiesz, jakie jest zdrobnienie od jego imienia? To Dick, oznaczające w mowie potocznej fiuta, co bardzo do niego pasuje. Naprawdę, Lucille, wiem, że stać cię na więcej.

Pałał złością, jego twarz była czerwona, gdy nieustannie bawił się mankietami. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak zirytowanego, co było bardzo niepodobne do jego zwyczajowej, pozbawionej wszelakich emocji postaci.

– Dlaczego cię to tak złości? Co się z tobą dzieje?

– Nieważne. Zapomnij o tym. Oddaj mi Talon.

– Nie, nie zrobisz mi tego. Nie wybuchniesz i nie znieważysz mojego chłopaka, mówiąc mi później, bym o wszystkim zapomniała.

– A jednak to zrobię.

– Nie. Grahamie, przestań. Chociaż raz w życiu powiedz, co naprawdę czujesz!

Rozchylił usta, ale nie padły z nich żadne słowa.

– Serio? Cisza? – zapytałam.

– Cisza – odparł ze spokojem.

– Więc chyba masz rację. Wydaje mi się, że pora, byś wyszedł.

– Zgadzam się. – Stał kilka centymetrów ode mnie. Jego ciepły oddech owiewał mi skórę. Serce biło mi w piersi jak oszalałe, gdy zastanawiałam się, co zamierzał zrobić, aż w końcu przysunął się jeszcze bliżej. Poprawił krawat, ściszył głos i powiedział stanowczo: – To, że się uśmiechasz i zachowujesz nieskrępowanie, nie oznacza, że klatka nie istnieje. Oznacza to, że obniżyłaś standardy w kwestii tego, jak daleko pozwolisz sobie wzlecieć.

Łzy napływały mi do oczu, gdy wziął ode mnie Talon i się odwrócił. Zanim jednak wyszedł z ciemnego kąta, zatrzymał się

i wziął kilka głębszych wdechów. Odwrócił się, spojrzał mi w oczy i rozchylił nieznacznie usta, jakby ponownie miał coś powiedzieć, ale wyciągnęłam rękę.

– Proszę, idź już – szepnęłam drżącym głosem. – Nie sędzę, bym dała radę znieść dziś więcej, panie Russell.

Wyprostował się, gdy z chłodem zwróciłam się do niego po nazwisku, a następnie zniknął. Z moich oczu zaś popłynęły łzy. Zamknęłam palce na zawieszce w kształcie serca i wzięłam kilka głębszych wdechów.

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie... – powtarzałam słowa, aż moje serce wróciło do swego normalnego rytmu. Powtarzałam je, aż przestało kręcić mi się w głowie. Powtarzałam je, aż wymazałam szok, jakim Graham napiętnował moją duszę. Następnie wróciłam na wystawę, uśmiechając się sztucznie i nie przestając w duchu recytować swojej mantry.



## ROZDZIAŁ 11

### LUCY

– Nadal do ciebie dzwoni? – zapytał Richard, myjąc pędzle w łazience. Opierałam się o ścianę w korytarzu, patrząc na wyświetlające się na telefonie imię pisarza.

– Tak. – Nie widziałam Grahama od jego wybuchu na wystawie Richarda pięć dni temu i od tego czasu nie przestawał do mnie wydzwaniać.

– I nie zostawia wiadomości?

– Nie.

– Zablokuj go. Jest słownikowym przykładem psychopaty.

– Nie mogę. Co, jeśli coś się stanie Talon?

Richard spojrział na mnie, unosząc brwi.

– Wiesz, że nie jesteś za nią odpowiedzialna, prawda? Przecież to nie jest twoje dziecko.

– Wiem, ale... – Przygryzłam dolną wargę, wciąż wpatrując się w telefon. – Trudno to wyjaśnić.

– Nie, rozumiem, Lulu. Jesteś otwartą osobą, ale musisz uważać, bo taki facet tylko wykorzystuje okazje. Weźmie od ciebie tyle, ile się da, po czym potraktuje cię podle.

Wróciłam myślami do wspólnej kolacji tydzień wcześniej, kiedy to okazał mi niewielką sympatię, której istnienia nawet nie podejrzewałam. Graham Russell był introwertykiem, niemal cały czas żyjącym we własnym umyśle. Nigdy nie zapraszał innego człowieka, by ten poznał jego myśli czy uczucia, więc w wieczór na

wystawie, gdy wybuchnął, zachowanie pisarza było całkowicie sprzeczne z jego naturą i zupełnie do niego niepodobne.

Zamiast angażować się jednak w rozmowę o Grahamie, zmieniłam temat.

– Naprawdę musisz wyjechać na cały tydzień?

Richard przeszedł obok mnie i wszedł do salonu, gdzie stały otwarte walizki.

– No, teoretycznie nie muszę, ale szkoda, żebym nie wykorzystał nadarzającej się okazji, aby moje prace znalazły się w muzeum, więc teraz, gdy dostałem zaproszenie do Nowego Jorku, po prostu powinienem tam być.

Podeszłam i objęłam go od tyłu.

– Na pewno nie możesz zabrać swojej dziewczyny? – dociekałam.

Obrócił się z uśmiechem i pocałował mnie w nos.

– Chciałbym. Będę tęsknił.

– Ja też będę tęskniła. – Uśmiechnęłam się i pocałowałam go lekko. – A jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak bardzo będę tęsknić.

Richard skrzywił się i spojrzał na zegarek.

– Choć to bardzo kuszące, za dwadzieścia minut muszę wyruszyć na lotnisko, a nie skończyłem się pakować. – Odsunął się ode mnie i poszedł wrzucić pędzle do bagażu.

– Okej. A na pewno nie chcesz, bym cię odwiozła?

– Nie, nie trzeba, poważnie. Zadzwoń po taksówkę. Szkolisz dzisiaj w pracy nową florystkę, prawda? – Ponownie popatrzył na zegarek, nim spojrzał na mnie. – Chyba jesteś już spóźniona.

– Tak, masz rację. W takim razie dobrze. Napisz do mnie przed startem i zadzwoń po wylądowaniu. – Przysunęłam się i pocałowałam go w usta.

– Okej, w porządku. Kochanie? – zawołał, gdy wzięłam klucze i zamierzałam wyjść.

– Tak?

– Zablokuj go.

\*\*\*

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziałam, wpadając tylnymi drzwiami do Ogrodów Moneta.

Mari przerabiała z naszą nową florystką Chrissy tygodniowe zamówienia. Chrissy była piękną siedemdziesięciolatką, która niegdyś miała własną kwiaciarnię. Przekazanie tajników naszej pracy nie stanowiło problemu – jeśli chodziło o kwiaty, wiedziała więcej niż my obie.

Kiedy wspominałyśmy, że miała za dobre kwalifikacje, nie zgodziła się, mówiąc, że rzeczywiście posiadała swoją kwiaciarnię, ale nie potrafiła nad wszystkim zapanować. Stwierdziła, że koleżanki doradziły jej emeryturę, jednak głęboko w sercu była przekonana, że musi pozostać nieco dłużej w otoczeniu kwiatów, więc stanowisko pracy w naszej kwiaciarni idealnie jej odpowiadało.

– Spokojnie. – Chrissy się uśmiechnęła. – Zająłam się już dzisiejszymi zamówieniami.

– Tak, jak również nauczyła mnie kilku sztuczek w porządkowaniu systemu komputerowego, innymi słowy, zatrudniłyśmy czarodziejkę – zażartowała Mari. – Richard poleciał do Nowego Jorku?

– Tak, niestety, ale niedługo wróci.

Mari zmrużyła oczy.

– To pierwszy raz, gdy spędzacie aż tydzień oddzielnie. Jesteś pewna, że poradysz sobie z tą separacją?

– Planuję pocieszać się jedzeniem: placuszkami z jarmużu i guacamole.

– Kochana, bez obrazy, ale placuszki z jarmużem nie są jedzeniem na pocieszenie – zadrwiła Chrissy.

– Powtarzam jej to już przeszło milion lat! – powiedziała Mari, wzdychając. Podeszła do drzwi frontowych i przekreśliła zamek, by otworzyć kwiaciarnię. – Ale okej, zabiorę dziś Chrissy, by przygotować wszystko na ślub w Wauwatosie. Potrzebujesz czegoś od nas?

Pokręciłam głową.

– Nie. Bawcie się dobrze! Zastaniecie mnie tu po powrocie.

Gdy wyszły tylnymi drzwiami, frontowymi wszedł starszy mężczyzna i pospiesznie zdjął kapelusz.

Serce mi się ścisnęło, gdy spojrzał mi w twarz i uśmiechnął się szeroko.

– Lucy – powiedział promiennie, wskazując na mnie kapeluszem.

– Cześć, Ollie. Co tu robisz?

Przeszedł się po kwiaciarni, rozglądając się przy tym.

– Miałem nadzieję kupić kwiaty dla bardzo wyjątkowej damy. – Posłał mi czarujący uśmiech i spacerując po sklepie, zaczął gwizdać. – Chociaż nie jestem pewien, jakie lubi. Możesz mi pomóc?

– Oczywiście. Opowiedz mi o niej.

– Jest piękna. Ma pociągające oczy, a kiedy na ciebie patrzy, sprawia, że czujesz się najważniejszą osobą w pokoju.

Serce urosło mi nieco, gdy słuchałam, z jaką tęsknotą opowiadał o tej kobiecie. Przeszliśmy razem pośród roślin, wyciągając kwiat przy każdej charakterystycznej cesze jej osobowości.

– Jest łagodna i troskliwa. Jej uśmiech rozświetla każde pomieszczenie. Jest też bystra, bardzo bystra. Nie boi się pomagać, nawet jeśli to trudne. I ostatnie słowo na opisanie jej... – powiedział, sięgając po karminową różę. – Jest czysta. Jest czysta, nieskalana okrucieństwem świata. Po prostu jest przyjemnie, pięknie czysta.

Z uśmiechem wzięłam od niego różę.

– To chyba wspaniała kobieta.

Przytaknął.

– W rzeczy samej.

Wróciłam do lady i zaczęłam przycinać kwiaty dla Olliego. Starszy mężczyzna wybrał czerwony flakon. Kwiaty były różnych kolorów i gatunków – po prostu wspaniały bukiet. Była to moja ulubiona część tej pracy: kiedy przychodzili do nas ludzie niemający pojęcia o tym, czego chcą. Róże są piękne, tulipany też ładne, ale tworzenie na własną rękę wymagało kreatywności. Florysta mógł stworzyć dzieło, poprzez które wyrażał swą artystyczną osobowość, a klient przekazywał je bliskiej osobie.

Gdy wiązałam kokardę wokół wazonu, Ollie zmrużył oczy.

– Nie odbierasz od niego telefonu.

Skrzywiłam się na moment, walcząc ze wstążką.

– To skomplikowane.

– Oczywiście – zgodził się. – Przecież mówimy tu o Grahamie. – Ściszył głos i przycisnął kapelusz do piersi. – Skarbie, cokolwiek ci zrobił, jest mu przykro.

– Był okrutny – szepnęłam. Kokarda nie wyszła idealnie, więc rozwiązałam ją i zaczęłam od nowa.

– Oczywiście, że był – zgodził się. – Przecież mówimy tu o Grahamie. – Parsknął cicho. – Ale to Graham, co oznacza, że nie mówił poważnie.

Nie pociągnęłam rozmowy.

– Za kwiaty wyszło czterdzieści cztery dolary i trzydzieści dwa centy, ale dam ci rabat za pierwszą wizytę, więc poproszę trzydzieści cztery, trzydzieści dwa.

– Miło z twojej strony, Lucy. Dziękuję. – Wyjął pieniądze z portfela i mi je wręczył. Założył kapelusz i odwrócił się do drzwi.

– Ollie, a kwiaty?! – zawołałam za nim.

Ponownie się odwrócił i pokręcił głową.

– Nie, panienko. Przyjaciel prosił, bym je wybrał. Poprosiłem o opis, dla kogo mają być, i taką dostałem odpowiedź.

– Graham powiedział o mnie wszystkie te rzeczy? – zapytałam, a serce nieco mi się ścisnęło, gdy patrzyłam na bukiet.

– Cóż, podał tylko jedno ze słów, a resztę na podstawie tych nielicznych chwil spędzonych w twoim towarzystwie dobrałem sam. – Odchrząknął i przechylił głowę. – Słuchaj, nie mówię, że masz mu się odplacić, ale jeśli będziesz chciała to zrobić, udowodnij, że się mylił.

– Mam udowodnić, że się mylił?

– Graham sądzi, że wszyscy odchodzą. Wie to z doświadczenia. Po części prawdopodobnie czuje ulgę, że odeszłaś. Mimo wszystko był pewien, że znikniesz w ten czy w inny sposób. Dlatego się mnie nie pozbędzie. Bez względu na okoliczności pojawiam się u niego i doprowadzam do szału. Zatem jeśli w jakiejkolwiek formie będziesz chciała mu się odplacić za to, że cię zranił, najlepiej zemścisz się, udowodniając, że się mylił, i pokazując, że nie wszyscy odchodzą. Zapewniam cię, że będzie się zachowywał, jakby cię za to

nienawidził, ale prawda zawsze widoczna jest w jego oczach. Jego oczy niezmiernie ci podziękują.

– Ollie?

– Tak?

– Jakie to było słowo? Jakim słowem mnie opisał?

– Czysta, skarbie. – Po raz ostatni uchylił kapelusza i otworzył drzwi. – Nazwał cię czystą.

\*\*\*

Zmarszczył brwi i skrzyżował ręce na piersi, gdy do niego podeszłam.

– Wróciłaś – stwierdził z zaskoczeniem, stojąc na ganku. – Szczerze mówiąc, sądziłem, że zrobisz to znacznie wcześniej.

– Dlaczego tak myślałeś? – zapytałam.

– Profesor Oliver powiedział, że dostałaś kwiaty.

– Tak.

Uniósł brwi.

– Cztery dni temu.

– Aha.

– Trochę długo zajęło ci, by przyjechać i podziękować. – Jego stanowcze, oschłe słowa nie były szokujące, ale z jakiegoś powodu mnie zdziwiły.

– Dlaczego miałabym podziękować ci za kwiaty? Nawet ich nie wybrałaś.

– A jakie to ma znaczenie? – zapytał, pocierając kark. – Dostałaś je przecież. Jesteś niewdzięczna.

– Masz rację, Grahamie. To ja tu jestem niegrzeczna. W każdym razie przyjechałam tylko dlatego, że zostawiłaś wiadomość mówiącą o chorobie Talon. – Weszłam do jego domu bez zaproszenia i położyłam kurtkę na fotelu w salonie.

– Miała niewielką gorączkę i nie byłam pewien... – urwał. – Przyjechałaś, bo była chora?

– Oczywiście, że przyjechałam – prychnęłam. – Nie jestem potworem. Jeśli Talon mnie potrzebuje, jestem. Dopiero wczoraj zostawiłaś mi tę wiadomość.

– Tak, oczywiście – przytaknął. – Słuchaj...

- Nie przepraszaaj, to słabe.
- Nie miałem zamiaru przepraszać. Zamierzałem powiedzieć, że ci wybaczam.
- Wybaczasz?! A co takiego?
- Podszedł, wziął moją kurtkę z fotela i powiesił w szafie w przedpokoju.
- Dziecinne zachowanie i zniknięcie na wiele dni.
- Żartujesz, prawda?
- Nie ja tu żartuję.
- Grahamie... – zaczęłam, ale zamknęłam oczy i wzięłam kilka głębszych wdechów, by powstrzymać się przed powiedzeniem czegoś, czego bym żałowała. – Czy przynajmniej przez chwilę jesteś w stanie okazać wyrzuty sumienia za to, jak zachowałeś się w muzeum?
- Wyrzuty sumienia? Wierzę w każde słowo, jakie wtedy powiedziałem.
- W każde słowo? – prychnęłam zszokowana. – Więc nie jest ci przykro?
- Wyprostował się i włożył ręce do kieszeni jeansów.
- Oczywiście, że nie. Powiedziałem prawdę, a to trochę żalodne, że jesteś zbyt emocjonalna, by ją zaakceptować.
- Twoja definicja prawdy i moja definicja prawdy to dwie różne rzeczy. Nic, co powiedziałeś, nie było prawdziwe. Wyraziłeś tylko swoje myśli, choć nie byłeś nawet o to proszony.
- Traktował cię jak...
- Przestań. Nikt nie pytał cię o to, jak mnie traktował. Nikt nie prosił cię o wyrażenie osądu. Zaprosiłam cię na wystawę, bo pomyślałam, że byłoby miło, gdybyście opuścili z Talon te cztery ściany. Mój błąd.
- Nie prosiłem o twoją litość.
- Masz rację, Grahamie. Byłam głupia, że wyciągnęłam do ciebie rękę, że spróbowałam zbudować przyzwoitą relację z ojcem mojej siostrzenicy.
- To twoja wina. Twoja potrzeba znajdowania życia we wszystkim i wszystkich jest niedorzeczna i ujawnia twoje infantylne myślenie.

Pozwalasz, by kierowały tobą emocje, przez co stajesz się słaba.

Rozchyliłam usta w niedowierzaniu i pokręciłam lekko głową.

– Tylko dlatego, że nie jestem do ciebie podobna, nie oznacza, że jestem słaba.

– Nie rób tego – powiedział cicho.

– Czego?

– Nie próbuj sprawić, bym pożałował swojego komentarza.

– Nie tego chciałam.

– Więc czego?

– Nie wiem, może uderzyć w twoje sumienie?

Zmrużył ciemne oczy. Talon zaczęła płakać, więc spojrzałam w jej stronę.

– Nie – powiedział. – Możesz odejść, Lucille. Twoje usługi nie będą już dłużej potrzebne.

– Jesteś śmieszny – powiedziałam. – Mogę do niej iść.

– Nie. Odejdź. Oczywiście jest, że chcesz odejść, więc odejdź.

Graham był potworem zrodzonym z najbrzydszych cech. Był boleśnie piękny w mroczny, tragiczny sposób. Jego słowa prowokowały, bym wyszła, jednak oczy błagały, bym została.

Wyminęłam go, ocierając się o niego ramieniem. Przystanąłam, wyprostowałam się i spojrzałam w jego ciemne oczy.

– Nigdzie się nie wybieram, Grahamie, więc możesz przestać strzępić język.

Gdy szłam do pokoju Talon, spodziewałam się po części, że mnie zatrzyma, ale nie zrobił tego.

– Cześć, kochana – powiedziałam, biorąc małą na rękę. Wiedziałam, że minął dopiero tydzień, od kiedy widziałam ją po raz ostatni, ale mogłabym przysiąc, że była znacznie większa. Urosły jej też blond włoski. Wielkie oczy zaś uśmiechały się do mnie.

Również usta się śmiały, nawet jeśli pokasływała i miała ciepłe czoło. Położyłam ją na podłodze, by zmienić pieluchę i cicho nuciłam pod nosem, gdy uśmiechała się promiennie.

Zastanawiałam się, czy uśmiech jej taty wyglądałby tak samo, gdyby mężczyzna kiedykolwiek zdecydował się na taki wyraz twarzy. Myślałam nad tym, jak wyglądałyby jego pełne usta, gdyby



się rozciągnęły w uśmiechu.

Przez następne pół godziny Talon siedziała w bujaczku, z kolei ja czytałam książki znajdujące się w jej niewielkiej biblioteczce. W końcu zasnęła, a ja nie miałam odwagi przenieść ją do łóżeczka. Wyglądała, jakby było jej wygodnie, gdy bujak kołysał się tam i z powrotem.

– Za godzinę będę musiał podać jej lekarstwo – powiedział Graham, a ja oderwałam wzrok od śpiącego dziecka. Spojrzałam na wejście, gdzie stał mężczyzna, trzymając talerz. – Ja, eee... – Przystąpił z nogi na nogę, unikając kontaktu wzrokowego. – Mary przygotowała pieczeń z ziemniakami. Pomyślałem, że możesz być głodna i że zapewne nie będziesz chciała ze mną zjeść, więc... – Położył talerz na komodzie i wskazał na niego ruchem głowy. – Proszę.

Musiałam się wysilić, by przekształcić swoją opinię na temat Grahama i nie oceniać człowieka, na jakiego pozował, ale tego, którym był naprawdę. Trudno było za tym nadążyć.

– Dziękuję.

– Proszę. – Wciąż unikał patrzenia mi w oczy. Widziałam, że gwałtownie zaciskał i rozluźniał palce. – Zapytałaś tamtego wieczoru, co czuję. Pamiętasz?

– Tak.

– Mogę to teraz wyznać?

– Oczywiście.

Kiedy uniósł głowę, a nasze spojrzenia się skrzyżowały, mogłabym przysiąc, że w jakiś sposób zdołał wzrokiem ścisnąć moje serce. Gdy jego usta zaczęły się poruszać, spijałam każde słowo.

– Czulem gniew. Czulem w stosunku do niego wściekłość. Patrzył na ciebie, jakbyś nie była warta jego uwagi. Przez cały wieczór dyskredytował twój strój, przedstawiając cię swoim gościom. Mówił o tobie, jakbyś nie była wystarczająco dobra i, na miłość boską, gapił się na inne kobiety, kiedy tylko się odwracałaś. Był bezczelny, chamski i całkowicie głupi. – Zwiesił na chwilę głowę, nim ponownie na mnie popatrzył. Jego chłodne dotąd spojrzenie złagodniało. – Był kretynem, nie uważając cię za najpiękniejszą

kobietę na sali. Tak, rozumiem, Lucille, jesteś świrniętą hipiską, z natury jesteś głośna i ekspresyjna, ale kim on jest, by wymagać, żebyś się zmieniła? Jesteś wspaniałą kobietą, razem z płatkami róż we włosach i w ogóle, a on traktował cię, jakbyś nie była niczym więcej jak niegodną niewolnicą.

– Grahamie... – zaczęłam, ale wyciągnął rękę.

– Przepraszam, że cię zraniłem i że obraziłem twojego chłopaka. Tamten wieczór przypomniał mi o mojej przeszłości i wstydę się, że tak to na mnie wpłynęło.

– Przyjmuję i doceniam przeprosiny.

Uśmiechnął się półgębkiem, następnie odwrócił się i odszedł, pozostawiając mnie w zadumie nad tym, co mu się stało i co go tak zdenerwowało.

## ROZDZIAŁ 12

### SYLWESTER

*– Książka akurat dzisiaj trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”. Wiesz, co to oznacza, Grahamie? – zapytała Rebecca, rozkładając nowy obrus na stole w jadalni.*

*– Oznacza to kolejny powód, by tata się upił i otworzył swój dom dla ludzi – mruknął na tyle głośno, by go usłyszała.*

*Parsknęła śmiechem, chwytając elegancki obrus i podając mu drugi koniec.*

*– Tego roku nie będzie tak źle. Ostatnio nie pił aż tyle.*

*Biedna, słodka, naiwna Rebecca, pomyślał Graham. Musi być ślepa, nie zauważając butelek po whisky stojących w szufladzie w biurku ojca.*

*Pomógł nakryć do stołu dla szesnastu osób, które miały zjawić się w ich domu za dwie godziny, a następnie spojrzał na kobietę. Mieszkała z nim i z jego ojcem od dwóch lat. Wcześniej nie sądził, by mógł być aż tak szczęśliwy. Kiedy ojciec był zły, Graham trzymał się uśmiechu Rebekki. Była promieniem światła podczas ciemnej burzy. Ponadto każdego roku miał tort urodzinowy.*

*W sylwestrową noc w eleganckiej sukience kobieta wyglądała pięknie. Kiedy się poruszała, złoty materiał falował lekko, ciągnąc się odrobinę po podłodze. Miała na sobie szpilki, co wydłużyło jej niewielką sylwetkę, choć Rebecca nadal była niska.*

*– Ładnie wyglądasz – powiedział chłopiec, a ona uniosła głowę i się uśmiechnęła.*

– Dziękuję, Grahamie. Sam jesteś przystojny.  
Odpowiedział uśmiechem, ponieważ zawsze go do tego prowokowała.

– Wiesz może, czy przyjdą dziś do nas jakieś dzieci? – zapytał. Nie znosił, gdy na tych prywatkach zawsze byli tylko dorośli, nigdy żadnego rówieśnika.

– Chyba nie – odparła. – Ale może pójdziemy jutro do YMCA, gdzie spotkasz się z przyjaciółmi.

Graham był zadowolony. Ojcu zawsze brakowało wolnej chwili, by go gdziekolwiek zabrać, ale Rebecca ciągle miała na to czas.

Kobieta spojrzała na elegancki zegarek, który miała na ręce – jego ojciec podarował jej go po jednej z wielu kłótni.

– Myślisz, że nadal pracuje? – zapytała, unosząc brew.

Przytaknął.

– Mhm.

Przygryzła dolną wargę.

– Powinnam przeszkodzić?

Pokręcił głową.

– Nie.

Rebecca przemierzyła pokój, nadal spoglądając na zegarek.

– Zezłości się, gdy się spóźni. Sprawdzę, co u niego. – Przeszła do gabinetu, a chwilę później Graham usłyszał krzyki.

– Pracuję! Ta książka sama się nie napisze, Rebecco! – wydierał się Kent. Wyraźnie roztrzęsiona kobieta wróciła do salonu, zaciskając usta w grymasie.

Uśmiechnęła się jednak do Grahama i wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jaki jest, gdy goni go termin – powiedziała, szukając wymówek.

Graham przytaknął, mimo że wiedział lepiej.

Ojciec był potworem, zwłaszcza kiedy zbliżał się termin oddania książki do redakcji.

Nieco później, zanim jednak przyszli pierwsi goście, Kent wszedł do salonu ubrany w jeden ze swoich garniturów od projektanta.

– Dlaczego nie zawołałaś mnie wcześniej?! – krzyknął na Rebecce, która rozkładała na stole przekąski. – Spóźniłbym się, gdybym nie

*spojrzał na zegarek, bo musiałem się przecież wykąpać.*

*Graham odwrócił się plecami do ojca i przewrócił oczami. Zawsze się odwracał, by wyśmiać rodzica, w przeciwnym razie to ojciec biciem wyśmiałby jego.*

*– Przepraszam – odparła Rebecca, nie chcąc pogłębiać zdenerwowania Kenta. Był sylwester, jeden z jej ulubionych dni, więc nie chciała się kłócić.*

*Mężczyzna prychnął i poprawił krawat.*

*– Powinnaś się przebrać – powiedział jej. – Strój jest zbyt wyzywający, nie chcę, by przyjaciele pomyśleli, że żona mi się puszcza – powiedział surowo, nie patrząc nawet na kobietę, gdy wypluwał te słowa.*

*Jak może nie widzieć? – pomyślał Graham. Jak może nie zauważać piękna Rebekki?*

*– Ja uważam, że wyglądasz wspaniale – powiedział chłopak.*

*Kent uniósł brew i spojrzał na syna.*

*– Nikt cię nie pytał o zdanie.*

*Rebecca przebrała się, choć Graham uważał, że nadal wyglądała pięknie.*

*Była wspaniała, ale uśmiechała się coraz rzadziej, co łamało mu serce.*

*Podczas kolacji Graham miał siedzieć i się nie odzywać. Ojciec wolał, by nie narzucał nikomu swojej obecności, niemal jakby nie było go w pokoju. Kiedy dorośli zasypywali Kenta pochwałami, chłopak przewracał w duchu oczami.*

*–Rebecco, przepyszna kolacja – skomentował któryś z gości.*

*Kobieta rozchyliła usta, by odpowiedzieć, lecz odezwał się Kent:*

*– Kurczak był trochę wyschnięty, a sałata niedoprawiona, ale reszta okazała się nawet jadalna – powiedział, śmiejąc się. – Żona nie za bardzo potrafi gotować, choć przynajmniej się stara.*

*– Jest lepsza ode mnie – powiedziała kobieta, puszczając oko do Rebekki, by złagodzić niekulturalny komentarz jej męża. – Mnie nie wychodzi nawet makaron z serem z pudełka.*

*Posiłek przebiegał pod hasłem kolejnych docinek Kenta, który obrażał żonę z uśmiechem na ustach, więc większość gości nie brała*

*tego na poważnie.*

*Graham wiedział jednak lepiej, choć żałował, że tak było.*

*Kiedy kobieta wyciągnęła rękę po wino, Kent złapał ją za dłoń i położył sobie na kolanie.*

*– Wiesz, jak wpływa na ciebie wino, kochana.*

*– Tak, masz rację – odparła Rebecca, zabierając rękę i kładąc ją na swojej nodze. Kiedy siedząca obok kobieta zapytała o to, Rebecca się uśmiechnęła. – Kręci mi się w głowie, to wszystko. Kent się o mnie martwi.*

*W miarę trwania przyjęcia, jej uśmiech był coraz bardziej fałszywy.*

*Po kolacji Graham został odesłany do swojego pokoju, gdzie grał na konsoli i oglądał noworoczne odliczanie na ABC. Widział, jak opada wielka kula w Nowym Jorku, następnie odtwarzano nagranie, świętując Nowy Rok w Milwaukee. Słuchał wesołych głosów dorosłych dobiegających z salonu, doszły do niego również słabe odgłosy sztucznych ogni wystrzelonych nad jeziorem Michigan.*

*Gdyby stanął na palcach, wyglądając przez okno na lewo i do góry, mógłby zobaczyć niektóre z kolorowych świateł malujących się na niebie. Nieustannie oglądał je z mamą, ale to było tak dawno temu, że czasami zastanawiał się, czy było to prawdziwe wspomnienie, czy tylko wymysł.*

*Kiedy goście wyszli, Graham wskoczył do łóżka i zakrył rękami uszy. Próbował odciąć się od krzyków ojca, który wytykał żonie wszystkie dzisiejsze potknięcia.*

*Niesamowite, że mężczyzna potrafił powściągnąć gniew do wyjścia ostatniego gościa.*

*Dopiero wtedy złość emanowała z każdej części jego ciała.*

*Wylewała się toksyczna furia.*

*– Przepraszam – kajała się jak zawsze Rebecca, nawet jeśli tak naprawdę nie miała za co przeproszać.*

*Jak ojciec mógł nie widzieć, że był szczęściarzem, mając taką kobietę? Serce ścisnęło się Grahamowi na myśl o cierpieniu Rebekki.*

Gdy chwilę później otworzyły się drzwi jego pokoju, chłopiec udawał, że śpi, niepewny, czy wszedł jego ojciec.

– Śpisz, Grahamie? – szepnęła stojąca w drzwiach Rebecca.

– Nie – odparł również szeptem.

Kobieta weszła do środka, otarła oczy, usuwając wszelkie dowody wywołanego przez Kenta bólu. Podeszła do łóżka i odgarnęła mu kręcone włosy z twarzy.

– Chciałam tylko życzyć ci szczęśliwego Nowego Roku. Przyszłabym wcześniej, ale musiałam posprzątać.

Grahamowi zrobiło się przykro, gdy patrzył w zmęczone oczy Rebekki. Kobieta niegdyś uśmiechała się częściej.

– Co jest, skarbie? Co się stało?

– Proszę, nie... – szepnął. Gdy łzy spłynęły mu po policzkach, a jego ciało zaczęło się trząść, próbował być mężczyzną, ale mu nie wyszło. Jego serce wciąż było młode, należało do przerażonego dziecka, które bało się, co będzie, jeśli ojciec nie pogodzi się z żoną.

– Co „nie”, kochanie?

– Proszę, nie odchodź – powiedział ze strachem. Usiadł na łóżku i wziął Rebecę za rękę. – Proszę, nie odchodź. Wiem, że jest zły i czasami przez niego płaczesz, ale przyrzekam, że jesteś dobra. Jesteś dobra, a on jest zły. Sprawia, że ludzie odchodzą i widzę, że przez niego jesteś smutna. Wiem, że mówi, że nie jesteś wystarczająco dobra, ale jesteś. Jesteś dobra i ładna. Twoja sukienka była ładna i kolacja była smaczna, i proszę, proszę, nie zostawiaj nas. Proszę, nie zostawiaj mnie. – Szlochał mocno, drżąc na myśl, że Rebecę niewiele dzieliło od opuszczenia go na zawsze. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby odeszła. Nie wyobrażał sobie, jak mroczny byłby jego los, gdyby kobieta go porzuciła.

Kiedy mieszkał tylko z ojcem, był bardzo, bardzo samotny.

Jednak po pojawieniu się Rebekki, pamiętał, że znów czuł się kochany.

Nie mógł tego stracić.

Nie mógł stracić światła.

– Grahamie. – Rebecca uśmiechnęła się, choć z jej oczu również

*płynęły łzy, które starała się otrzeć. – Będzie dobrze, proszę, będzie okej. Uspokój się.*

*– Zostawisz mnie, wiem o tym – łkał, zakrywając dłońmi twarz. Wszyscy odchodzili. – Jest taki niedobry. Jest zły, więc mnie zostawisz.*

*– Grahamie Michaelu Russell, natychmiast przestań – poleciła, trzymając go mocno za ręce. Położyła sobie jego dłonie na policzkach i skinęła głową. – Jestem tu, tak? Jestem i nigdzie się nie wybieram.*

*– Nie odejdziesz? – zapytał, czekając, gdy próbowała złapać oddech.*

*Pokręciła głową.*

*– Nie, nie odejdę. Przeinaczasz wszystko. Jest późno, musisz odpocząć, dobrze?*

*– Dobrze.*

*Położyła go, nakryła kołdrą i pocałowała w czoło. Gdy wstała, zawołał do niej:*

*– Będziesz tu jutro?*

*– Oczywiście, skarbie.*

*– Obiecujesz? – szepnął nieco drżącym głosem, ale Rebecca pozostała silna i pewna swego.*

*– Obiecuję.*



## ROZDZIAŁ 13

### GRAHAM

Popadliśmy z Lucy we wcześniejszą rutynę. Rano kobieta zjawiała się z matą do jogi i medytowała w salonie, a kiedy nie pracowała nad niestandardowymi zleceniami w kwiaciarni, przyjeżdżała do mnie wieczorem, by pomóc mi zająć się Talon, gdy pisałem książkę. Niemal codziennie jedliśmy razem obiad w jadalni, choć nie rozmawialiśmy za wiele, prócz chwil, w których mówiliśmy o przeziębieniu Talon czy moim.

– Wypij – poleciła Lucy, podając mi kubek.

– Nie piję herbaty. – Odkaszlnąłem w dłonie. Moje biurko usłane było chusteczkami i butelkami z syropem na kaszel.

– Będziesz pił to dwa razy dziennie przez trzy dni, dzięki czemu z pewnością ci się poprawi. Nie mam pojęcia, jak w ogóle funkcjonujesz z tym wstrętnym kaszlem. Pij – zaordynowała. Powąchałem napój i się skrzywiłem. Parsknęła śmiechem. – Cynamon, imbir, cytryna, chili, cukier, pieprz i mięta. Dodatkowo sekretny składnik, którego nazwy nie mogę zdradzić.

– Diabelnie śmierdzi.

Przytaknęła, uśmiechając się lekko.

– Więc to odpowiedni napój dla diabła.

Piłem jej herbatę przez kolejne trzy dni. Zmuszałem się do tego, ale czwartego dnia kaszel zniknął.

Byłem niemal pewny, że Lucy była czarownicą, jednak przynajmniej jej herbata oczyściła moje myśli.

W następną sobotę postawiłem na stole obiad, a kiedy poszedłem po Lucy, zobaczyłem, że rozmawia w salonie przez telefon. Zamiast jej przeszkodzić, czekałem cierpliwie. W końcu pieczony kurczak całkiem wystygł.

Czas mijał szybko. Lucy rozmawiała godzinami. Wpatrywała się w krople deszczu za oknem, dyskutując z kimś, kto był po drugiej stronie linii.

Wchodziłem co jakiś czas do pokoju i zauważałem, że żywo gestykulowała i płakała. Ciężkie słone krople ciekły po jej twarzy niczym deszcz po szybie. W końcu rozłączyła się, usiadła na podłodze po turecku i nadal wpatrywała się w okno.

Położyłem Talon spać i wróciłem do salonu, by sprawdzić co z Lucy.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, martwiąc się, że ktoś tak promienny jak Lucy może być dziś tak przybity. Wydawało się, że kobieta przekształciła się w szarą chmurę.

– Ile jestem ci winna? – zapytała, nie patrząc na mnie.

– Winna?

Obróciła się, pociągając nosem i nie powstrzymując łez.

– Chciałeś się założyć, że mój związek przetrwa góra miesiąc i miałeś rację. Ile ci więc jestem winna? Wygrałeś zakład.

– Lucille... – zacząłem, ale pokręciła głową.

– On, eee, powiedział, że Nowy Jork jest miejscem dla artysty. Powiedział, że to miejsce, gdzie się rozwinie, gdzie będzie miał możliwości, jakich nie doświadczy na Środkowym Zachodzie. – Pociągnęła nosem, który zaraz otarła rękawem. – Powiedział, że przyjaciel pozwolił mu spać na kanapie, więc zamierza u niego zostać. Stwierdził później, że nie interesuje go związek na odległość, więc moje głupie serce urosło na myśl, że zaprasza mnie, bym do niego dołączyła. Wiem, co myślisz. – Zachichotała nerwowo, a następnie wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – Głupia, niedojrzała, naiwna Lucille, wierząca, że miłość wystarczy, myśląca, że warto być czyimś na zawsze.

– Nie... o tym myślałem.

– Ile więc? – zapytała, wstając. – Ile jestem ci winna? Mam trochę

pieniędzy w torebce. Poczekaj, przyniosę.

– Przestań.

Podeszła do mnie, uśmiechając się sztucznie.

– Nie, w porządku. Zakład to zakład, a ty wygrałeś, więc pozwól, że przyniosę pieniądze.

– Nic mi nie jesteś winna.

– Jesteś dobry w odczytywaniu ludzi, wiesz? Zapewne dlatego jesteś takim fenomenalnym pisarzem. Popatrzysz na kogoś tylko raz i znasz już całą jego historię. To prawdziwy dar. Widziałeś Richarda tylko przez chwilę, mimo to wiedziałeś, że ze mną zerwie. Jaka jest więc moja historia, co? Nie znoszę spoilerów, ale chciałabym wiedzieć. Co się ze mną stanie? – zapytała, drżąc, a łzy nadal płynęły jej po policzkach. – Zawsze będę dziewczyną, która zbyt wiele czuje i skończy samotnie? Bo ja... ja... – jąkała się, gdy przytłoczyły ją emocje. Zakryła twarz dłońmi i zaczęła głośno szlochać pośrodku salonu.

Nie wiedziałem, co zrobić.

Nie byłem przygotowany na takie chwile.

Nie potrafiłem pocieszać.

To była prawda, ale gdy kolana zaczęły jej się trząść, a nogi wyglądały, jakby miały się poddać, zrobiłem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

Objąłem ją, dając jej coś, czego mogła się przytrzymać, nim grawitacja zmusiłaby ją do opadnięcia na twardą podłogę. Zacisnęła palce na mojej koszuli i szlochała, mocząc materiał. Położyłem ręce na jej plecach.

Nie odsunęła się, więc pomyślałem, że nie powinienem radzić, by wzięła się w garść.

To normalne, że byliśmy od siebie różni. Lucy miała serce na dłoni, moje natomiast skrepowane łańcuchami spoczywało na dnie duszy.

Bez namysłu przytuliłem ją mocniej, gdy zaczęła drżeć. Kobieta, która zawsze wszystko czuła, przywarła do mężczyzny, który w ogóle nic nie czuł.

Przez ułamek sekundy odczuwałem jej ból, podczas gdy ona czuła

mój chłód, ale żadnemu z nas to nie przeszkadzało.

\*\*\*

– Nie możesz wrócić do domu – powiedziałem, kiedy spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, że była niemal północ. – Pada deszcz, a ty przyjechałaś na rowerze.

– Nie szkodzi. Nic mi nie będzie – odparła, próbując wyjąć kurtkę z szafy w przedpokoju.

– To niebezpieczne. Odwiozę cię.

– Nie ma mowy – spierała się. – Talon jest przeziębiona. Nie może opuszczać domu, zwłaszcza w ulewnym deszczu. Do tego sam byłeś chory – przypomniała.

– Poradzę sobie z przeziębieniem – zacząłem.

– Tak, ale twoja córka nie bardzo. Nic mi się nie stanie. No i w domu mam whisky – zażartowała z nadal napuchniętymi oczami po emocjonalnym załamaniu z powodu Dicka.

Pokręciłem głową, nie zgadzając się z nią.

– Zostań jeszcze chwilę. – Pospieszyłem do gabinetu, wziąłem trzy z pięciu stojących na moim biurku butelek i zaniósłem je do foyer, w którym stała Lucy. – Możesz sobie wybrać. Możesz mieć tyle whisky, ile zapragniesz, możesz też zostać w którymś z pokoi gościnnych.

Zmrużyła oczy.

– Nie pozwolisz mi wrócić na rowerze do siebie, co?

– Nie, zdecydowanie nie.

Przygryzła wargę i ponownie zmrużyła oczy.

– Dobra, ale nie możesz mnie oceniać za intensywny romans z Johnniem, jaki zamierzam rozpocząć – powiedziała, wyjmując butelkę Johnniego Walkera z mojej ręki.

– Dobra. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zapukaj do drzwi mojego gabinetu. Dotrzymam ci towarzystwa.

– Dziękuję, Grahamie.

– Za co?

– Za złapanie mnie, nim uderzyłam o ziemię.

\*\*\*

*Puk, puk, puk.*

Spojrzałem na zamknięte drzwi gabinetu i uniosłem brwi, wpisując ostatnie słowa w dwudziestym rozdziale rękopisu. Moje biurko nadal pokryte było chusteczkami, a obok stała do połowy opróżniona buteleczka syropu. Oczy piekły mnie nieco z wyczerpania, ale wiedziałem, że wciąż muszę dopisać pięć tysięcy słów, nim będę mógł pójść spać. W dodatku Talon miała za kilka godzin obudzić się na jedzenie, więc pójście do łóżka zdawało się być bezsensowne.

*Puk, puk, puk.*

Wstałem, przeciągnąłem się i poszedłem otworzyć. Na progu stała Lucy ze szklanką whisky w ręce i niezwykle szerokim uśmiechem na twarzy.

– Cześć, Herbatniku Grahamku – powiedziała, bełkocząc nieco i kołysząc się na piętach.

– Potrzeba ci czegoś? – zapytałem zaniepokojony. – Dobrze się czujesz?

– Jesteś medium? – zapytała, unosząc szklankę i upijając łyk. – Albo czarownikiem?

Uniosłem brew.

– Słucham?

– Musisz mieć jakieś zdolności – powiedziała, tańcząc na korytarzu, kołysząc się, obracając, podskakując i nucąc. – No bo skąd mogłeś wiedzieć, że Richard, eee, Dick ze mną zerwie? Rozmyślałam dziś nad tym z Johnniem i wymyśliłam, że byłoby to możliwe tylko, gdybyś był medium. – Zbliżyła się, postukała mnie palcem po nosie i dodała: – Albo czarodziejem.

– Jesteś pijana.

– Jestem szczęśliwa.

– Nie, jesteś pijana. Maskujesz smutek alkoholem.

– *Que sera, sera.* – Zachichotała i spróbowała zajrzeć do mojego gabinetu. – To tutaj powstaje magia? – Ponownie zachichotała, po czym zakryła usta na chwilę, przysunęła się do mnie i szepnęła: – Chodzi mi o magię w twoich historiach, nie w twoim życiu seksualnym.

– Tak, domyśliłem się, Lucille. – Zamknąłem drzwi, stając na

korytarzu. – Napijesz się wody?

– Tak, poproszę tej smakującej jak wino.

Przeszliśmy do salonu i poprosiłem, by poczekała na kanapie, aż przyniosę szklanke.

– Hej, Herbatniku Grahamku – zawołała. – Jaka jest twoja największa nadzieja?

– Już ci mówiłem – odkrzyknąłem. – Nie mam nadziei.

Kiedy wróciłem, siedziała wyprostowana na kanapie i się uśmiechała.

– Proszę – powiedziałem, podając jej naczynie z wodą.

Upiła łyk i oszołomiona wytrzeszczyła oczy.

– O rety, wiem, kim jesteś. Nie jesteś ani medium, ani czarodziejem. Jesteś odwrotnym Jezusem! – wykrzyknęła, a jej wielkie oczy błyszczały ekscytacją.

– Odwrotnym Jezusem?

Przytaknęła pośpiesznie.

– Zmieniłeś wino w wodę.

Nawet mnie nie udało się powstrzymać uśmiechu, co też natychmiast zauważyła.

– Zrobiłeś to, Herbatniku Grahamku. Uśmiechnąłeś się.

– Przypadkowo.

Przechyliła głowę na bok, przyglądając mi się.

– Jak do tej pory to mój ulubiony przypadek. Mogę zdradzić ci sekret?

– Jasne.

– Być może nie jesteś medium, ale niekiedy zdaje mi się, że ja jestem i mam nadnaturalne przeczucie, że pewnego dnia cię polubię.

– Jakoś w to wątpię. Jestem dość irytujący – zażartowałem, przez co się roześmiała.

– Tak, ale i tak mi się uda. Jestem jak wrastający paznokieć. Kiedy już się wbiję, nie odpuszczę.

– Co za ohydne porównanie. – Skrzywiłem się. – To najgorsze zestawienie, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Szturchnęła mnie w pierś.

- Jeśli użyjesz go w którejś ze swoich książek, chcę tantiem.
  - Mój prawnik porozmawia z twoim prawnikiem – rzuciłem z uśmiechem.
  - O, znowu to zrobiłeś – stwierdziła, przysuwając się oszołomiona. – Uśmiech całkiem dobrze się na tobie prezentuje. Nie mam pojęcia, dlaczego go unikasz.
  - Wydaje ci się, że dobrze się na mnie prezentuje, bo jesteś pijana.
  - Nie jestem pijana – nalegała, bełkocząc przy tym nieco. – Jestem całkowicie trzeźwa.
  - Nie przeszlabyś prosto, nawet gdyby zależało od tego twoje życie – odparłem.
- Potraktowała to jako wyzwanie i wstała z kanapy. Gdy zaczęła iść, rozłożyła ręce na boki, jakby szła po niewidzialnej linii.
- Widzisz?! – zapytała, po czym się zatoczyła, a ja musiałem się rzucić, by ją złapać. Wylądowała w moich ramionach, patrząc mi w oczy i uśmiechając się. – Panowałam nad sytuacją.
  - Wiem – powiedziałem.
  - Już drugi raz łapiesz mnie tego samego dnia.
  - Do trzech razy sztuka.
- Położyła dłoń na moim policzku i spojrzała mi w oczy, co spowodowało, że moje serce na chwilę się zatrzymało.
- Czasami mnie przerażasz – wyznała. – Ale przeważnie twoje oczy sprawiają, że mi smutno.
  - Przepraszam za wszystko, czym cię przeraziłem. Nie chcę tego.
  - W porządku. Za każdym razem, gdy bawisz się z Talon w a kuku!, widzę twoją prawdziwą aurę.
  - Moja aurę?
- Przytaknęła krótko.
- Dla reszty świata zdajesz się mroczny i ponury, ale gdy patrzysz na córkę, wszystko się zmienia. Zmienia się cała twoja energia. Stajesz się lżejszy.
  - Jesteś pijana – orzekłem.
  - Mogę przejść po linii! – ponownie się wyklócała, próbując stanąć, ale poległa. – O, czekaj, nie mogę, co?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie możesz.

Nadal dotykała mojej twarzy, wodząc palcami po zaroście.

– Talon jest szczęściarą, że ma takiego ojca. Naprawdę jesteś kiepskim człowiekiem, ale wspaniałym tatą. – Jej głos przepełniony był życzliwością i zaufaniem, przez co moje serce zabiło tak, iż byłem pewny, że umrę.

– Dziękuję – powiedziałem, akceptując w pełni obydwie jej komplementy.

– Proszę. – Zachichotała i zakryła usta. – Herbatniku Grahamku?

– Tak, Lucille?

– Niedobrze mi.

Wziąłem ją na rękę i popędziłem do łazienki. W chwili, w której postawiłem ją na podłodze, objęła toaletę, a ja złapałem jej dzikie włosy, przytrzymując, gdy Lucy opróżniła całą zawartość żołądka.

– Lepiej? – zapytałem, gdy skończyła.

Usiadła i pokręciła głową.

– Nie. Johnnie Walker miał sprawić, że poczuję się lepiej, ale skłamał. Sprawił, że czuję się gorzej. Nie znoszę chłopaków, którzy tak kłamią i łamią serca.

– Położymy cię spać.

Przytaknęła i spróbowała wstać, ale niemal znów upadła.

– Trzymam cię – powiedziałem, więc ponownie skinęła głową, pozwalając wziąć się na rękę.

– Do trzech razy sztuka – szepnęła. Zamknęła oczy, położyła głowę na mojej piersi i nie uniosła powiek nawet wtedy, gdy położyłem ją do łóżka, nakryłem kołdrą i na całość naciągnąłem koc.

– Dziękuję – szepnęła, gdy gasiłem światło.

Wątpiłem, by miała pamiętać rano cokolwiek z nocnych wydarzeń, choć tak prawdopodobnie będzie lepiej.

– Proszę.

– Przykro mi, że moja siostra cię zostawiła – powiedziała, ziewając z wciąż zamkniętymi oczami. – Bo chociaż jesteś zimny, wciąż jesteś bardzo ciepły.



– Przykro mi, że Dick cię zostawił – odparłem. – Bo nawet jeśli jesteś zła, wciąż jesteś bardzo miła.

– To boli – szepnęła, otaczając rękami poduszkę i przyciągając ją sobie do piersi. Nadal miała zamknięte oczy, ale widziałem, że spod jej powiek wymknęło się kilka łez. – Porzucenie boli.

*Tak.*

*Boli.*

Stałem jeszcze przez chwilę, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Jako ktoś, kto już wcześniej doświadczył porzucenia, nie chciałem, by zasypiała samotnie. Być może rano miała nie pamiętać, że przy niej stałem i może nawet by jej na tym nie zależało, ale wiedziałem, jak to jest samotnie leżeć w łóżku. Znałem chłód, który panował w ciemnym pokoju, więc nie chciałem, by cierpiała z powodu tego samego uczucia. Właśnie dlatego zostałem.

Nie trzeba było wiele czasu, by zasnęła. Jej oddech stał się łagodny, łyzy ustały, więc zamknąłem drzwi. Nie mogłem pojąć, jak ktokolwiek mógł zostawić tak delikatną i wrażliwą osobę – nawet z jej dziwacznymi rytuałami palenia szaławii i z kryształami.

## ROZDZIAŁ 14

### LUCY

*Au, au, au...*

Usiadłam powoli na łóżku, uświadamiając sobie, że nie należało ono do mnie. Rozejrzałam się po pokoju, obracając nieznacznie w pościeli. Złapałam się za skronie.

*Aua!*

W głowie mi się kręciło, gdy próbowałam sobie przypomnieć co się wczoraj wydarzyło, ale wszystko było jakby rozmyte. W końcu jednak dotarła do mnie najważniejsza informacja – Richard zamienił mnie na Nowy Jork.

Obróciłam się w lewo i na stoliku nocnym znalazłam niewielką tacę ze szklanką soku pomarańczowego, dwoma grzankami, miseczką jagód, buteleczką ibuprofenu i kartką.

*Przepraszam za wczorajsze wprowadzenie w błąd.*

*Jestem palantem. W ramach zadośćuczynienia za dzisiejszego kaca, masz tu środki przeciwbólowe i śniadanie.*

*– Johnnie Walker*

Uśmiechnęłam się i wrzuciłam do ust kilka jagód, po czym wzięłam pastylkę i popiłam ją sokiem. Wstałam, poczłapałam do łazienki i umyłam twarz – tusz do rzęs rozmazał mi się, przez co wyglądałam jak szop pracz. Z górnej półki wzięłam pastę do zębów,

nałożyłam ją na palec i spróbowałam pozbyć się porannego skacowanego oddechu.

Kiedy skończyłam się myć, usłyszałam płacz Talon, więc pospieszyłam do niej. Weszłam do jej pokoju, ale zamarłam, widząc nad łóżeczkiem pochyloną starszą panią, zmieniającą jej pieluchę.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Kobieta obróciła się, ale po chwili wróciła do przerwanej czynności.

– O, witam, ty musisz być Lucy – powiedziała, biorąc Talon na rękę i kołysząc ją. Spojrzała na mnie, szeroko się uśmiechając. – Mary, żona Olliego.

– O, witam! Miło mi cię poznać.

– Wzajemnie, skarbie. Ollie wiele o tobie opowiadał. Graham niewiele, ale... znasz Grahama. – Puściła do mnie oko. – Jak głowa?

– Ciągle na miejscu – zażartowałam. – Noc była okropna.

– Dzieciaki i te wasze sposoby na radzenie sobie z problemami. Mam nadzieję, że niedługo poczujesz się lepiej.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Gdzie jest Graham?

– W ogrodzie. Zadzwoił wcześniej rano i poprosił, bym przypilnowała małej, bo sam musiał się czymś zająć. Jak wiesz, prośenie o pomoc jest dla niego dość trudne, więc zgodziłam się przyjechać, by mógł zająć się swoimi sprawami.

– To ty zostawiłaś mi śniadanie? – zapytałam. – Z liścikiem?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale pokręciła głową.

– Nie, panienko. To Graham. Wiem, jestem równie zaskoczona. Nie miałam pojęcia, że jest do tego zdolny.

– Co robi w ogrodzie? – dociekałam, idąc w tamtym kierunku.

Mary poszła za mną, cały czas kołysząc Talon. Przeszliśmy do salonu, by wyrzeć przez wielkie okna. Na zewnątrz Graham kosił trawę. Obok niewielkiej szopy leżały worki z ziemią i łopaty.

– Wygląda na to, że tworzy ogród.

Serce mi się ścisnęło, a słowa utknęły w gardle.

Mary skinęła głową.

– Mówiłam, by poczekał z koszeniem, aż ziemia wyschnie, bo

wczoraj padało, ale spieszyło mu się.

– Niesłychane.

Przytaknęła.

– Też tak sędzę.

– Mogę zająć się Talon, jeśli musisz iść – zaproponowałam.

– Tylko jeśli czujesz się na siłach. Tak, powinnam się zbierać, bo po południu mam pomagać w kościele. Proszę. – Podała mi małą, uprzednio całując ją w główkę. – Jest wspaniała, prawda? – zapytała. – Jeszcze kilka miesięcy temu nie byliśmy pewni, czy przeżyje, a teraz wszystko jest dobrze.

– Tak, jest wspaniała.

Mary dotknęła delikatnie mojego czoła i obdarowała czułym uśmiechem, zupełnie jak jej mąż.

– Cieszę się, że w końcu się poznałyśmy.

– Ja też, Mary. Ja też.

Wyszła chwilę później. Zostałyśmy z Talon w salonie, przyglądając się pracującemu na zewnątrz Grahamowi, który co jakiś czas odwracał głowę i kaszlał. Po deszczu musiało być chłodno na zewnątrz, więc mógł się od nowa rozchorować.

Podeszłam do tylnych drzwi i otworzyłam je. Owiał mnie zimny wiatr.

– Co robisz?

– Sprzątam ogród.

– Jest zimno, znów się przeziębisz. Wróc do domu.

– Prawie skończyłem, Lucille. Daj mi jeszcze kilka minut.

Uniosłam brew, nie rozumiejąc jego wielkiej determinacji.

– Ale dlaczego? Co robisz?

– Mówiłaś, że mógłbym mieć ogród – powiedział, ocierając czoło grzbietem dłoni. – Więc go tworzę.

Moje serce właśnie eksplodowało.

– Tworzysz ogród? Dla mnie?

– Ty dla mnie zrobiłaś wystarczająco wiele – odparł. – I bardzo dużo zrobiłaś dla Talon. Ja mogę przynajmniej stworzyć ci ogród, byś miała kolejne miejsce do medytacji. Kupiłem mnóstwo nawozu organicznego, bo powiedziano mi w sklepie, że jest najlepszy.

Pomyślałem też, że taka świrnięta hipiska jak ty to doceni. – Nie mylił się. – A teraz zamknij drzwi, żeby mi córka nie zmarzła.

Spełniłam polecenie, ale nawet na sekundę nie oderwałam od niego wzroku. Kiedy skończył, pokryty był ziemią i potem. Trawa w ogrodzie została idealnie przystrzyżona, brakowało jedynie roślin.

– Pomyślałem, że sama mogłabyś wybrać sadzonki, nasiona czy co tam hoduje ogrodnik – powiedział, ocierając czoło. – Nie mam o tych sprawach bladego pojęcia.

– Tak, oczywiście. Wow, to... – Uśmiechnęłam się, patrząc na ogród. – Wow.

– Zatrudnię kogoś, by posadził to, co wybierzesz – poinformował mnie.

– O nie, sama się tym zajmę. To moje ulubione zajęcie na wiosnę, bo mogę włożyć palce w ziemię i ponownie połączyć się ze światem. To bardzo naturalne.

– Znow wychodzą na wierzch twoje dziwactwa – stwierdził, puszczając do mnie oko, jakby się... droczył? – Jeśli pozwolisz, wezmę prysznic, a później popilnuję Talon, byś mogła zająć się swoimi sprawami.

– Tak, jasne. Nie spiesz się.

– Dziękuję.

Ruszył z miejsca, ale zawołałam za nim.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałam. – Dlaczego zająłeś się ogrodem?

Zwiesił głowę i wzruszył ramionami, po czym ponownie spojrział mi w oczy.

– Mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że jestem kiepskim człowiekiem, więc robię, co mogę, by być mniej kiepski.

– O nie. – Pociągnęłam za kołnierzyk koszulki, by zakryć sobie twarz i zmarszczyłam nos. – Powiedziałam to wczoraj, prawda?

– Mniej więcej, ale nie martw się. Czasami prawda musi ujrzeć światło dzienne. Znacznie łatwiej było usłyszeć ją od kogoś tak pijanego i wesołego jak ty.

\*\*\*

– Przepraszam, możesz powtórzyć? – poprosiła Mari, gdy po południu prowadziłyśmy rowery po szlaku. Wiosna była cudowna, bo mogłyśmy częściej jeździć na rowerze i podziwiać naturę. Jasne, mnie się to bardziej podobało, jednak wiedziałam, że w głębi duszy siostra była mi wdzięczna za troskę o jej zdrowie.

– Wiem. – Przytaknęłam. – To dziwne.

– To więcej niż dziwne. Nie wierzę, że Richard mógłby zerwać z tobą przez telefon – sapnęła i się skrzywiła. – Jednak po zastanowieniu muszę przyznać, że jestem zdziwiona, że wasz związek przetrwał aż tak długo.

– Co?!

– Tak tylko mówię. Na początku byliście tacy do siebie podobni, Lucy. To irytujące, jak bardzo do siebie pasowaliście, aczkolwiek z biegiem czasu wszystko zdawało się... zmieniać.

– Co masz na myśli?

Wzruszyła ramionami.

– Nieustannie śmiałaś się przy Richardzie, ale ostatnio... Nie potrafię nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszałam twój chichot. W dodatku powiedz mi, kiedy po raz ostatni zapytał, jak się czujesz. Za każdym razem, gdy go widziałam, mówił o sobie.

Usłyszenie o tym z ust Mari nie złagodziło faktu, że Richard ze mną zerwał, choć wiedziałam, że siostra miała rację. Prawda była jednak taka, że Richard różnił się teraz od chłopaka, który zakochał się we mnie wiele lat temu, a ja nie byłam już dziewczyną, która zakochała się w nim.

– *Maktub* – szepnęłam, patrząc na nadgarstek.

Mari uśmiechnęła się i wsiadła na rower.

– W rzeczy samej, *maktub*. Możesz się do mnie przeprowadzić, byś nie musiała tkwić w tamtym mieszkaniu. Będzie idealnie. Przyda mi się więcej czasu z siostrą. Popatrz na to w ten sposób, przynajmniej nie musisz teraz znosić jego wąsów między udami.

Roześmiałam się.

– Richard od lat nie pokusił się o zejście między moje nogi.

Z niedowierzania opadła jej szczeka.

– Więc już dawno temu powinnaś z nim zerwać, siostrzyczko.

Chłopak, który tego nie robi, nie powinien oczekiwać niczego w zamian. – Moja siostra była pełna niezrozumiałych przekonań. – Chociaż nie wydajesz się zasmucona całą tą sytuacją – napomknęła. – Jestem nieco zdziwiona.

– Tak, cóż, wczoraj się upiłam, dzisiaj pomedytowałam, więc czuję się dobrze. Do tego rano Graham przygotował dla mnie ogród.

– Ogród? – zapytała zdziwiona. – Czy to jego forma przeprosin?

– Chyba tak. Kupił też masę organicznego nawozu.

– No to ma plusa. Przecież wszyscy wiedzą, że droga do serca Lucy wiedzie przez ziemię i nawóz.

*Amen, siostró.*

– Nadal planujemy w Wielkanoc odwiedzić drzewo mamy? – zapytałam, gdy ponownie zaczęłyśmy jechać szlakiem. W każde święta starałyśmy się z siostrą odwiedzić to miejsce. Jedna z przyjaciółek mamy miała na północy domek, z którego nieczęsto korzystała, niedaleko niego zasadziłyśmy więc nasze drzewo, by ludzie z całego kraju, którzy tworzyli rodzinę zmarłej, mogli ją odwiedzać.

Podróżując z mamą, nauczyłam się, że rodziny nie tworzyły więzy krwi, a miłość.

– Znienawidzisz mnie, ale w weekend wybieram się do koleżanki – powiedziała Mari.

– Tak? Do kogo?

– Pojadę pociągiem do Chicago spotkać się z Sarah, która przyjechała do Stanów w odwiedziny do rodziców. Pomyślałam, że się z nią spotkam, bo nie widziałyśmy się, odkąd wyzdrowiałam. A to już lata.

Sarah była zarówno jedną z bliskich koleżanek Mari, jak i podróżniczką. Nie dało się przewidzieć, gdzie kobieta będzie w danym miesiącu, więc całkowicie rozumiałam decyzję siostry. Chociaż trochę źle się czułam, bo po odejściu Richarda miały to być moje pierwsze samotne święta.

Niestety, *maktub*.

## ROZDZIAŁ 15

### GRAHAM

Profesor Oliver siedział naprzeciw mojego biurka, czytając pierwszy szkic siedemnastu z dwudziestu rozdziałów mojej nowej książki. Czekałem niecierpliwie, aż przeczyta każdą stronę, mrużąc przy tym oczy i zastanawiając się nad użytymi słowami.

Co jakiś czas spoglądał na mnie znad tekstu, nucił pod nosem i wracał do czytania. Kiedy skończył, położył kartki na moim biurku, jednak się nie odezwał.

Czekałem, unosząc brew, ale nadal nie wydał żadnego dźwięku.

– No i? – zapytałem.

Profesor Oliver zdjął okulary i założył nogę na nogę. W końcu odezwał się spokojnym głosem:

– To trochę jakby małpa złapała ogonem wielkie gówno i próbowała się nim podpisać. Choć jej imię to John, a napisała Maria.

– Nie jest aż tak źle – spierałem się.

– O nie. – Pokręcił głową. – Jest jeszcze gorzej.

– Co jest nie tak? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– To wodolejstwo. Sam tłuszcz, nie ma mięsa.

– To pierwszy szkic. Powinien być gównem.

– Tak, ale ludzkim, nie małpim. Grahamie, twoje książki są bestsellerami na listach „New York Timesa” i „Wall Street Journal”. Masz na koncie w banku miliony zarobione na tworzeniu



historii, na całym świecie rzesze fanów tatuują swoje ciała twoimi słowami, więc szkoda, że miałaś odwagę wręczyć mi te beznadziejne bzdury. – Wstał, wygładził aksamitny garnitur i pokręcił głową. – Talon by to lepiej napisała.

– Żartuje pan. A część o lwie? – zapytałem.

Przewrócił oczami tak mocno, iż byłem pewien, że gałki oczne zgubią mu się gdzieś w czaszce.

– Dlaczego, u licha, po Zatoce Tampa ma swobodnie biegać lew? Nie. Po prostu nie. Spróbuj się odprężyć, okej? Musisz odpocząć, zrobić sobie przerwę. Napisałeś te słowa, jakby ktoś wsadził ci kij w tyłek i w dodatku go nie dopasował.

Odchrząknąłem.

– To naprawdę dziwaczne porównanie.

– Tak, ale przynajmniej ja nie piszę małpim gównem.

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Jedynie pan nim mówi.

– Posłuchaj uważnie. Jako ojciec chrzestny Talon, jestem z ciebie dumny, Grahamie.

– A od kiedy to jest pan jej ojcem chrzestnym?

– To samozwańczy tytuł, ale nie przerywaj mi, synu. Jak mówiłem, jestem dumny z tego, jakim jesteś ojcem. Każdego dnia troszczysz się o córeczkę, co jest niesamowite, ale jako twój twórczy mentor wymagam, byś poświęcił nieco czasu również sobie. Zapal crack, przeleć nieznajomą, najedz się grzybków halucynków. Po prostu się zrelaksuj. Pomoże to twoim historiom.

– Nigdy wcześniej nie musiałem się relaksować – odparłem.

– Kiedy ostatni raz spałeś z kobietą? – zapytał, unosząc brew.

*Cholera.*

– Do widzenia, Grahamie, i proszę, nie dzwoń do mnie, póki się czegoś nie naćpasz lub nie będziesz uprawiał seksu.

– Zapewne nie zadzwonię do pana, kiedy będę uprawiał seks.

– W porządku – powiedział, zabierając kapelusz leżący na moim biurku, po czym założył go sobie na głowę. – Zapewne i tak sam akt nie trwałby na tyle długo, byś zdążył wybrać mój numer – zadrwił.

Boże, nie znosiłem go.

Szkoda, że był moim najlepszym przyjacielem.

\*\*\*

– Hej, położyłam Talon spać. Chciałam tylko wpaść i zapytać, czy nie zamówić pizz... – Lucy urwała, gdy weszła do mojego gabinetu. – Co robisz? – zapytała ostrożnie.

Odłożyłem telefon i odchrząknąłem.

– Nic.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Robiłeś *selfie*.

– Wcale nie – spierałem się. – Może być pizza. Na mojej połowie sam ser.

– Nie, nie, nie, nie zmienisz tematu. Dlaczego robiłeś sobie *selfie* w garniturze i w krawacie?

Przyglądziłem materiał i wróciłem za biurko.

– Jeśli już musisz wiedzieć, potrzebuję wrzucić swoje zdjęcie na stronę.

– Na jaką stronę? Stworzyłeś sobie konto na Facebooku?

– Nie.

– No to na jaką stronę? – Zachichotała. – Wszystko poza Tinderem będzie okej.

Zacisnąłem usta, a Lucy przestała się śmiać.

– O Boże, chcesz mieć konto na Tinderze?! – wykrzyknęła.

– Powiedz to jeszcze głośniej, Lucille. Nie jestem pewien, czy sąsiedzi cię słyszeli.

– Przepraszam, po prostu... – Podeszła i usiadła na skraju mojego biurka. – G.M. Russell dołączy do świata Tindera... Wiedziałam, że nieco za zimno w tym domu.

– Dlaczego?

– Kiedy cię poznałam, domyśliłam się, że jesteś diabłem, co oznaczało, że twój dom musiał być piekłem, co znowu oznacza, że skoro nieco tu zimno...

– To piekło w końcu zamarzło. Sprytne, Lucille.

Wzięła mój telefon i spróbowała go odblokować.

– Mogę zobaczyć twoje zdjęcia?

– Co? Nie.

– Dlaczego nie? Wiesz, że Tinder to serwis do...

niezobowiązujących randek?

– Jestem w pełni świadomy, czym jest Tinder.

Zaczerwieniła się i przygryzła dolną wargę.

– Próbujesz zaciągnąć jakąś kobietę do łóżka, co?

– Profesor Oliver jest przekonany, że moje pisanie cierpi z powodu spięcia wywołanego nieuprawianiem przez jakiś czas seksu. Sądzi, że muszę się rozluźnić.

– Co?! – sapnęła. – Ty?! Spięty?! Niemożliwe!

– Tak czy inaczej, zupełnie myli się co do mojego rękopisu, który jest dobry.

Zatarła ręce, śmiejąc się.

– Tak? Mogę przeczytać?

Zawahałem się, a ona przewróciła oczami.

– Jestem twoją największą fanką, pamiętasz? Jeśli mi się nie spodoba, będziesz wiedział, że Ollie ma rację. Jeśli mi się spodoba, będziesz wiedział, że ty masz rację.

Cóż, uwielbiałem mieć rację.

Podaliśmy jej rozdziały, więc usiadła, by je przeczytać. Co jakiś czas zerkała na mnie z niepokojem. Skończyła i odchrząknęła.

– Lew?

*Cholera.*

Przewróciłem oczami.

– Muszę znaleźć sobie kogoś do łóżka.

– Zdejmij krawat, Grahamie.

– Słucham?

– Musisz odblokować telefon, zdjąć krawat i marynarkę. Żadna dziewczyna, która szuka partnera do seksu, nie będzie zainteresowana facetem w krawacie i w marynarce. Do tego rozepnij górny guzik koszuli.

– To klasyczny strój.

– Wygląda jakby twoja szyja kończyła się babeczką.

– Śmieszna jesteś. To szykowny garnitur od projektanta.

– Bogacze i ich metki. Słyszę jedynie, że to nie penis, co eliminuje twoje szanse na znalezienie odpowiedniej kandydatki do łóżka. A teraz odblokuj telefon i zdejmij krawat.

Zirytowany wykonałem polecenie.

– Lepiej? – zapytałem, krzyżując ręce na piersi.

Skrzywiła się.

– Trochę. Rozepnij górne guziki koszuli.

Zrobiłem, co chciała, po czym zaczęła pstrykać zdjęcia.

– Tak! Włosy na klacie. Kobiety próbujące się umówić uwielbiają włosy na klacie. To jak z trzema świnkami, musi być odpowiednia ilość. Ani za mało, ani za dużo, po prostu w sam raz. – Szczerzyła zęby w uśmiechu.

– Znowu piłaś? – zapytałem.

Roześmiała się głośno.

– Nie. Tym razem to moja natura.

– Tego się właśnie obawiałem.

Po krótkiej sesji zdjęciowej przyglądała mi się, marszcząc brwi.

– Tak, nie. Musisz całkowicie zdjąć koszulę.

– Co? To niedorzeczne. Nie będę się przed tobą rozbierał.

– Grahamie – jęknęła Lucy i przewróciła oczami. – Kangurujesz z Talon bez koszuli. A teraz usta na kluczyk i ściągnij co nieco.

Po chwili kłótni w końcu się poddałem. Lucy kazała mi się nawet przebrać w czarne jeansy, bym wyglądał „bardziej męsko”. Robiła zdjęcia, nakazując mi obracać się w lewo, to znów w prawo, uśmiechać się oczami – cokolwiek miało to znaczyć – i być złowieszczym, ale seksownym.

– Dobrze, jeszcze jedno. Obróć się bokiem, zwieś głowę i włóż ręce do kieszeni. Patrz jakby bardzo ci się nie podobało to, że robię zdjęcia.

*To akurat było proste.*

– No i proszę – powiedziała, szczerząc zęby od ucha do ucha. – Fotki wrzucone. Pozostało uzupełnić dane na profilu.

– Nie trzeba – powiedziałem, wyciągając rękę po telefon. – Już to zrobiłem.

Uniosła brew z wahaniem, ale zaraz chciała to przeczytać.

– Autor książek z listy bestsellerów „New York Timesa”, który ma półroczną córkę. Żonaty, ale żona odeszła. Szuka pani do towarzystwa. Ma metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Wszyscy dodawali swój wzrost. Pomyślałem, że też to zrobię.  
– To okropne. Czekał, zaraz to naprawię.  
Podszedłem do niej i stanąłem za jej plecami, by zobaczyć, co pisze.  
*Szukam partnerki do seksu. Jestem wielkim fiutem.*  
– Chyba chodziło ci o „mam wielkiego fiuta” – wytknąłem.  
Odpowiedziała złośliwie:  
– Nie, chodziło mi dokładnie o to, co napisałam.  
Jęknąłem i spróbowałem odebrać jej telefon.  
– Dobra, dobra, napiszę jeszcze raz!  
*Szukam przygodnego, nieskrępowanego seksu.*  
*No chyba, że lubisz wiązanie.*  
*Patrzę na ciebie, Anastazjo.*  
– Kim jest Anastazja? – zapytałem.  
Roześmiana Lucy rzuciła mi telefon.  
– Liczy się tylko to, że kobiety zrozumieją. A teraz musisz jedynie przesuwać w prawo, gdy uznasz, że któraś jest atrakcyjna, a w lewo, jeśli ci się nie spodoba. Następnie musisz poczekać, aż zadziała magia.  
– Dziękuję za pomoc.  
– Dałeś mi ogród, więc przynajmniej mogę odwdzińczyć ci się seksem. Idę zamówić pizzę. Jestem wyczerpana.  
– Na mojej połówce tylko ser! Lucille?  
– Tak?  
– Co to jest Snapchat?  
Zmrużyła oczy i pokręciła dwukrotnie głową.  
– Nie. Tego nawet nie tykaj. Jedna przygoda z mediami społecznościowymi na dziś wystarczy. Snapy nauczymy się robić kiedy indziej.

## ROZDZIAŁ 16

### LUCY

Pierwsza randka Grahama z kobietą poznaną na Tinderze miała się odbyć w sobotę, ale zanim się na nią udał, zmusiłam go, by zamienił garnitur i krawat na biały podkoszulek i jeansy.

– To zbyt zwyczajne – narzekał.

– Przecież nie chodzi o to, byś pozostał ubrany. Idź. Zabaw się, rozłóż jakieś nogi, poruszaj miednicą, po czym wróć do domu i napisz straszne historie o potworach.

Wyszedł o wpół do dziewiątej.

Wrócił o dziewiątej.

Uniosłam brew.

– Nie chcę uwłaczać twojej męskości, ale to był najszybszy seks w całej historii.

– Nie poszedłem z nią do łóżka – odparł Graham, rzucając kluczyki na stolik we foyer.

– Co? Dlaczego?

– Była kłamczuchą.

– O nie! – Zmarszczyłam brwi, gdy serce mi się ścisnęło. – Mężatka? Z dziećmi? Sto trzydzieści kilo więcej niż na zdjęciu? Miała penisa? Miała na imię George?

– Nie – powiedział ostro, siadając na kanapie w salonie.

– Więc o co chodzi?

– O włosy.

– Hm?

– O włosy. Na zdjęciu w serwisie była brunetką, ale gdy ją zobaczyłem na miejscu miała blond włosy.

Zamrugałam gwałtownie, patrząc na niego pustym wzrokiem.

– Słucham?

– Mówię tylko, że jeśli skłamała na temat czegoś tak oczywistego, równie dobrze może kłamać na temat rzeżączki czy chlamydii – powiedział z taką powagą, że parsknęłam śmiechem.

– Tak, Grahamie, bo to dokładnie tak działa. – Śmiałam się, aż rozbolał mnie brzuch.

– To nie jest śmieszne, Lucille. Okazuje się, że nie jestem osobą, która potrafi przespać się z kimś przypadkowym. Goni mnie termin, a nie potrafię wymyślić, jak się rozluźnić przed odesłaniem książki do redakcji. Miała być gotowa do czasu narodzin Talon, a minęło już niemal pół roku.

Uśmiechnęłam się szeroko i przygryzłam dolną wargę.

– Wiesz co? Chyba mam pomysł, choć jestem w stu dziesięciu procentach pewna, że ci się nie spodoba.

– A co to takiego? – zapytał.

– Słyszałeś kiedykolwiek o *power jodze*?

\*\*\*

– Jestem tu jedynym facetem – szepnął Graham, gdy w niedzielny poranek weszliśmy do studia jogi. Miał na sobie białe podkoszulek na ramiączkach, szare dresowe spodnie i wyglądał na przerażonego.

– Nie wygłupiaj się, Herbatniku Grahamku. Instruktorem jest facet. Ma na imię Toby. Dopasujesz się.

Kłamałam.

Nie dopasował się, ale przynajmniej miałam ładny widok. Obraz umięśnionego faceta, próbującego wykonać sekwencję „powitanie słońca” był punktem kulminacyjnym mojego życia, a także życia każdej kobiety znajdującej się tego ranka na sali.

– A teraz, przy pomocy kontrolowanych ruchów, przejdźcie z „kobry” przez „psa z głową w dół” do „gołębia” – poinstruował Toby.

Graham jęknął, wykonując ćwiczenia, ale całkowicie nie w porę.

– Kobra, gołąb, wielbłąd, dlaczego każde ćwiczenie nazywa się jak pozycja seksualna? – zapytał.

Zachichotałam.

– Wiesz, większość ludzi powiedziałyby, że zostały nazwane po zwierzętach, Herbatniku Grahamku, a nie po pozycjach seksualnych.

Spojrzał na mnie i po chwili mnie oświeciło. Uśmiechnęłam się lekko.

– *Touché.*

– Jesteś mocno spięty – powiedział instruktor do Grahama, gdy podszedł, by mu pomóc.

– O nie, nie musisz – zaczął Graham, ale było już za późno. Toby pomagał mu właśnie ułożyć biodra.

– Rozluźnij się – powiedział kojącem głosem instruktor. – Zrelaksuj się.

– Ciężko się zrelaksować, gdy nieznajomy dotyka mojego... – Graham wytrzeszczył oczy. – Tak, to mój penis. Dotykasz teraz mojego penisa – mruknął, kiedy instruktor nadal pomagał mu z przyjęciem właściwej pozycji.

Mimowolnie chichotałam na widok niewygody Grahama. Miał napięty wyraz twarzy, a kiedy Toby polecił mu, by uniósł zadek, łyzy śmiechu spłynęły mi po policzkach.

– Dobrze, ostatni wdech. Wciągnijcie dobrą energię, a wypuście tę złą. *Namaste.* – Toby skłonił się przed wszystkimi, ale Graham się nie podniósł. Leżał na podłodze spocony, zawstydzony i odarty z męskości.

Nie przestawałam się śmiać.

– No dalej, wstawaj. – Wyciągnęłam rękę, którą chwycił, i go podciągnęłam. Kiedy się wyprostował, otrzepał swoje spocone włosy prosto na mnie. – Fuuuj! To obrzydliwe.

Uśmiechnął się chytrze i powiedział:

– Dzięki tobie obmacywano mnie publicznie, więc masz za to mój pot.

– Zaufaj mi, masz szczęście, że dotykał cię Toby, a nie kobiety, które gapią się teraz na ciebie z kąta.



Odwrócił się i zobaczył wpatrzone w niego dziewczyny, które mu pomachały.

– Kobiety i ich nakręcone seksem umysły – zażartował.

– Powiedział mężczyzna, który „wielbłąda” uważa za pozycję łózkową. Jak niby ma to wyglądać? Klęczysz na łóżku, siedząc na piętach i – wypchnęłam biodra – powtarzasz te ruchy? – Nie ustawałam w prezentacji, przez co Graham zaczerwienił się jeszcze bardziej niż podczas zajęć.

– Lucille?

– Tak?

– Przestań bzykać powietrze.

– Z chęcią, ale twoje zażenowanie jest w tej chwili zbyt satysfakcjonujące. – Roześmiałam się. Był do cna upokorzony. Wiedziałam, że przebywanie w moim towarzystwie pośród innych ludzi było dla niego czymś okropnym. Wykorzystywałam każdą okazję, by robić z siebie głupka.

– Okej, chyba nie muszę mówić, że *power joga* nie jest dla ciebie.

– Wcale. Jeśli już, jestem jeszcze bardziej zdenerwowany i czuję się molestowany – zażartował.

– Pozwól więc, że wypróbuję jeszcze kilka rzeczy, by sprawdzić, czy ci pomogą.

Uniósł brew, jakby potrafił czytać mi w myślach.

– Będziesz okopcać mi dom szałwią, prawda? Albo powiesz krysztaly w oknach?

– Tak – przytaknęłam. – Wykonam świrnięte hipisowskie czary-mary, a potem pomożesz mi w ogrodzie.

\*\*\*

Kolejne tygodnie spędziłam za domem, ucząc Grahama podstaw ogrodnictwa. Sadziliśmy warzywa, owoce i piękne kwiaty. Posiałam rzędkę słoneczników, które gdy urosną wysoko, będą się pięknie prezentowały. W rogu znalazłam kamienną ławkę idealnie nadającą się zarówno do porannych medytacji, jak i do popołudniowego czytania. Obsiałam ją kwiatami, które z pewnością rozjaśnią to miejsce – liliami peruwiańskimi, kocimiętką, nachyłkami, niezapominajkami i rudbekią dwubarwną. Odcienie

będą cudowne, gdy się wymieszają. Byłam pewna, że róże, błękity, żółcie i fiolety nadadzą kolor życiu Grahama.

Kiedy odezwała się elektroniczna niańka, Graham podniósł się z ziemi.

– Pójdę do Talon.

Minęła chwila, gdy usłyszałam:

– Lucille! – Aż usiadłam, zaalarmowana głosem Grahama. – Lucille, szybko!

Poderwałam się na nogi i z szybko bijącym sercem oraz brudem na twarzy pognałam do domu.

– Co się stało?! – wykrzyknęłam.

– W salonie! Szybko! – krzyknął ponownie.

Pobiegłam, przerażona na myśl, czego mogę być świadkiem, a kiedy dotarłam na miejsce, serce podeszło mi do gardła i zakryłam usta dłońmi.

– O rany – powiedziałam z oczami pełnymi łez, gdy spojrzałam na Talon.

– Super, prawda? – skwitował Graham, patrząc z uśmiechem na córkę. Przez dłuższy czas próbował walczyć z wesołością, ale mu to nie wychodziło. Im bardziej śmiała się Talon, tym bardziej otwierało się serce jej ojca.

Trzymał ją teraz na rękach, karmiąc.

Cóż, właściwie to nie on ją karmił – sama to robiła, po raz pierwszy trzymając oburącz butelkę.

Moje serce eksplodowało z radości.

– Karmiłem ją, ale złapała butelkę i zaczęła samodzielnie ją przytrzymywać – powiedział, patrząc na córkę z dumą. Gdy ją chwaliliśmy, Talon zaczęła chichotać i obryzgała mlekiem twarz Grahama, przez co oboje parsknęliśmy śmiechem. Wzięłam ręcznik i otarłam mu policzek.

– Każdego dnia mnie zadziwia – stwierdził, nadal wpatrzony w córkę. – Szkoda, że Jane... – umilkł. – Że Lyric tego nie widzi. Nie ma pojęcia, co porzuciła.

Przytaknęłam, zgadzając się z nim.

– Niczego nie jest świadoma. To smutne.

– Jak to było, gdy razem dorastałyście? – zapytał.

Zaskoczył mnie tym pytaniem – spędziliśmy razem wiele miesięcy, a on nigdy nie spytał mnie o siostrę.

Usiadłam obok niego na kanapie i wzruszyłam ramionami.

– Często się przeprowadzałyśmy. Nasza mama miała naturę włóczykija, a kiedy tata nie mógł już tego znieść, zostawił nas. Lyric była starsza, rozumiała więcej niż ja czy Mari. Każdy dzień z mamą był jak nowa przygoda. Brak stałego adresu nigdy mi nie przeszkadzał, bo miałyśmy siebie nawzajem, a kiedy czegoś pragnęłyśmy, zdarzały się cuda. Lyric postrzegała to jednak inaczej. Była bardzo podobna do ojca – twardo stąpała po ziemi. Nie znosiła nie wiedzieć, co będziemy jutro jadły. Nie znosiła, gdy mama oddawała resztki naszych pieniędzy, by pomóc przyjaciołom. Nie znosiła braku stabilizacji w naszym życiu, więc gdy miała dosyć, gdy nie mogła już znieść osoby, jaką była mama, zrobiła dokładnie to, co ojciec. Odeszła.

– Zawsze uciekała – skwitował Graham.

– Tak, i po części mam ochotę ją nienawidzić za to, że stała się wycofana i zimna, ale po części również ją rozumiem. Musiała szybko dorosnąć, a w pewnym sensie się nie myliła. Nasza matka zachowywała się jak dziecko, co oznaczało, że nie miałyśmy rodzica, który by nas wychowywał. Lyric czuła, że musi wcielić się w tę rolę i być opiekunem własnej matki.

– Dlatego zapewne nigdy nie chciała mieć dzieci – powiedział. – Miała już dość tej roli.

– Tak. To znaczy, to jej wcale nie usprawiedliwia, ale czyni jej zachowanie bardziej zrozumiałym.

– Wydaje mi się, że kiedy ją poznałem, już wiedziałem, że lubiła uciekać. Poza tym chyba wiedziała, że byłem zimny, bo ani razu nie poprosiłem ją, by została.

– Tęsknisz za nią? – zapytałam cicho.

– Nie – odparł pospiesznie, bez żadnego zawahania. – Nigdy się nie kochaliśmy. Mieliśmy tylko formalną umowę, że gdy kiedykolwiek któreś z nas poczuje potrzebę odejścia, będzie mogło to zrobić. Małżeństwo miało jedynie pomóc w jej karierze. Byliśmy

tylko współlokatorami, którzy czasami uprawiali seks. Przed urodzeniem Talon jej odejście w ogóle by mi nie przeszkadzało. Całkowicie bym je zaakceptował. Do diabła, byłem zdziwiony, że tak długo ze mną została. Nie przejałbym się jej zniknięciem, ale teraz... – Uśmiechnął się do Talon, gdy beknęła, po czym położył ją na kocu na podłodze. – Teraz dzwonię do niej co wieczór, prosząc, by wróciła, nie dla mnie, ale dla naszej córki. Wiem, jak to jest wychowywać się bez matki, i nie chcę tego dla Talon.

– Bardzo mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– To nie twoja wina. Tak czy inaczej, jak tam ogród?

– Idealnie. Jest świetny. Jeszcze raz dziękuję ci za ten prezent. Znaczy dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Przytaknął.

– Proszę. Zgaduję, że w weekend wyjedziesz na święta? – Przeniósł się z kanapy na podłogę i zaczął bawić się z córką w a kuku!, a mnie urosło serce.

– Miałam wyjechać, ale okazało się, że święta spędzę sama.

– Co? Dlaczego?

Wyjaśniłam, że Mari pojedzie do koleżanki, a ja nie chciałam wybrać się sama na północ, mimo że co roku tam podróżowałyśmy.

– Powinnaś pójść ze mną i Talon do profesora Olivera – zaproponował.

– Co? Nie. Nie, nie trzeba.

Wyciągnął komórkę i wybrał numer.

– Halo, profesorze, jak się pan miewa?

– Grahamie, nie! – szepnęłam ostro, próbując chwycić go za ramię, by go powstrzymać, ale wstał, zanim zdołałam złapać telefon.

– Dobrze, u mnie w porządku. – Chwila ciszy. – Nie, nie próbuję się wycofać. Dzwonię, by się dowiedzieć, czy znajdzie się dodatkowe miejsce przy stole. Okazało się, że Lucy zamierza spędzić Wielkanoc w swoim mieszkaniu, płacząc w poduszkę i jedząc lody z kubelka, a choć ja uważam to za całkiem normalną rzecz, pomyślałam, że sprawdzę, czy mógłby ją pan przygarnąć. – Kolejna

chwila ciszy. Graham się uśmiechnął. – Dobrze. Dziękuję, profesorze. Do zobaczenia w weekend. – Rozłączył się i popatrzył na mnie. – O pierwszej planują brunch. Będziemy my, profesor z żoną i ich córka Karla z narzeczoną Susie. Powinnaś przynieść coś do jedzenia.

– Nie wierzę, że to zrobiłeś! – wykrzyknęłam, chwytając poduszkę leżącą na kanapie i rzucając ją w niego. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

*Boże, ten uśmiech.*

Byłam pewna, że gdyby wcześniej tak często się uśmiechał, Lyric nie potrafiłaby go zostawić.

Podniósł poduszkę i rzucił ją we mnie, sprawiając, że opadłam na kanapę.

– Możemy jechać do nich razem. Przyjadę po ciebie.

– Super. – Ponownie rzuciłam w niego poduszką. – Jak mam się ubrać?

Znów mi ją odrzucił i przygryzł dolną wargę, a w jego prawym policzku pojawił się niewielki dołeczek.

– Cokolwiek na siebie włożysz, będzie dobre.

## ROZDZIAŁ 17

### GRAHAM

Przyjechałem po Lucy, by zabrać ją na wielkanocny brunch. Gdy wyszła z budynku, w którym znajdowało się jej mieszkanie, siedziałem w samochodzie. Talon gaworzyła, więc skinąłem głową i powiedziałem:

– Dokładnie.

Lucy wyglądała pięknie. Włożyła żółtą sukienkę z tiulem pod spódnicą, dzięki czemu materiał się unosił. Makijaż miała oszczędny, prócz czerwonej szminki na ustach pasującej swoim jabłkowym odcieniem do koloru szpilek. We włosy wplotła stokrotki, które tworzyły wianek.

Wysiadłem i pospieszyłem, by otworzyć jej drzwi. Uśmiechnęła się, idąc z bukietem kwiatów w jednej i garnkiem w drugiej ręce.

– Ależ elegancko wyglądasz. – Uśmiechnęła się szerzej.

– To tylko garnitur i krawat – powiedziałem, zabierając od niej garnek. Obszedłem samochód i włożyłem go na tylne siedzenie.

Kiedy wsiadłem za kierownicę, zamknąłem za sobą drzwi i ponownie spojrzałem na Lucy.

– Pięknie wyglądasz.

Zaśmiała się i przygładziła włosy, a następnie to samo zrobiła z sukienką.

– Nie myli się pan.

Po przyjeździe do domu profesora Olivera przedstawiłem Lucy jego córce i jej narzeczonej.

– Miło mi cię poznać, Lucy – przywitała się Karla, gdy weszliśmy do środka. – Powiedziałabym, że wiele o tobie słyszałam, ale wiesz, jaki jest Graham. Ten człowiek w ogóle się nie odzywa – żażartowała.

– Naprawdę? – zapytała z sarkazmem Lucy. – Nie potrafię sprawić, by gość umilkł.

Karla roześmiała się, wzięła ode mnie Talon i pocałowała małą w czoło.

– Tak, wielka gaduła z niego, co?

Karla była dla mnie jak siostra, kłóciliśmy się często niczym rodzeństwo. Pochodziła z domu dziecka, jako nastolatka miała problemy z alkoholem i narkotykami. Chociaż wtedy jej nie znałem. Kiedy ją poznałem, zdążyła poukładać sobie życie. Była piękną Afroamerykanką, która nieustannie walczyła o dobry los dla porzuconych dzieci.

Profesor Oliver i Mary nie poddali się, gdy była nastolatką, a Karla twierdziła, że dzięki temu coś się w niej zmieniło. Niewiele siedemnastolatków zostawało adoptowanych, mimo to Oliver i Mary nie odpuścili.

Para ta miała szczególny dar – dostrzegała ludzkie blizny i określała je mianem pięknych.

– To może ja wezmę garnek – zaoferowała Susie, biorąc naczynie od Lucy. Susie również była oszałamiająca. Piękna Azjatka walcząca o prawa kobiet. Jeśli jakiejś parze przeznaczona była prawdziwa miłość, z pewnością były to właśnie Karla i Susie.

Nigdy nie byłem towarzyski, ale w otoczeniu tych osób czułem się dobrze.

Podobnie jak w towarzystwie Lucy.

Byli to szczerzy i oddani ludzie, którzy nie prosili o nic, prócz miłości.

Kiedy weszliśmy do kuchni, Mary nadal gotowała. Podeszła do nas i pocałowała mnie w policzek, tak samo postąpiła w przypadku Talon i Lucy.

– Ollie prosił, żebyś poszedł do jego gabinetu, Grahamie. Miałeś ponoć przynieść nowe rozdziały swojej książki, więc czeka –

powiedziała pani domu. Spojrzałem na Lucy, a Mary się zaśmiała. – Nie martw się o nią, jest w dobrych rękach. Zaopiekujemy się nią.

Lucy uśmiechnęła się, a mnie urosło serce.

Poszedłem więc do gabinetu profesora.

\*\*\*

Siedział przy biurku, czytając rozdziały, które mu przyniosłem. Czekałem niecierpliwie, gdy przesuwał wzrokiem tam i z powrotem.

– Wyrzuciłem lwa – poinformowałem go.

– Sza! – poleciał i wrócił do czytania. Kiedy przerzucał strony, co jakiś czas zmieniał się wyraz jego twarzy, jednak głównie nie było widać u niego emocji. – Cóż – powiedział, kończąc i odkładając strony. – Nie uprawiałeś seksu.

– Nie.

– I nie brałeś kokainy?

– Nie.

– Cóż. – Z niedowierzaniem rozsiadł się w fotelu. – Szokujące, bo cokolwiek wpłynęło na twój umysł, było oszalamiające. To... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – To najlepsze, co do tej pory napisałeś.

– Poważnie? – zapytałem ze ściśniętym z nerwów żołądkiem.

– Tak. To najlepsze, co od lat przeczytałem. Co się stało?

Wzruszyłem ramionami i wstałem.

– Założyłem ogród.

– Aha. – Uśmiechnął się znacząco. – Lucy Palmer się stała.

\*\*\*

– Jestem ci winny pięćdziesiąt dolarów, Karla – zaczął profesor, wchodząc do jadalni, gdy opuściliśmy jego gabinet. Poprawił krawat i zajął miejsce u szczytu stołu. – Miałaś rację co do Grahama, wciąż potrafi pisać. Okazuje się, że nie jest cudownym dzieckiem dwudziestu siedmiu książek.

Lucy zachichotała. Był to cudowny dźwięk.

– Postawiłeś przeciwko Grahamowi?

Uniósł brew.



– Czytałaś wstępny szkic?!  
Skrzywiła się.  
– O co chodziło z tym lwem?  
– Prawda?! – wykrzyknął, przytakując. – Cholerny lew!  
– Dobra, dobra, rozumiemy, był kiepski. Możemy zmienić temat? – zapytałem.  
Lucy szturchnęła mnie w ramię.  
– Ale ten lew...  
– Był straszny – dokończył profesor Oliver.  
– Źle napisany.  
– Nie pasował.  
– Był dziwny.  
– Całkowicie do niczego – powiedzieli jednocześnie.  
Przewróciłem oczami.  
– Boże, Lucille, jesteś damską wersją profesora Olivera i moim największym koszmarem.  
– Albo uosobieniem twojego najlepszego snu – zadrwił profesor, poruszając brwiami. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym myślał. Wyciągnął rękę po boczek, ale Karla go skarciła.  
– Tato, nie.  
Jęknął i zmienił temat.  
– Kilka plasterków boczku mnie nie zabije, kochanie. W dodatku mamy święta.  
– Tak, cóż, twoje serce nie wie nic o świętach, więc weź indyka, którego specjalnie dla ciebie zrobiła mama.  
Skrzywił się.  
– Ale to nie jest boczek. – Uśmiechnął się do Lucy i wzruszył ramionami. – Masz miniatak serca, po czym trzy niewielkie kardiologiczne operacje i wszyscy przez resztę życia zbyt poważnie do wszystkiego podchodzą – zażartował.  
Mary uśmiechnęła się do męża i poklepała go po ręce.  
– Możesz mówić, że jesteśmy nadopiekuńcze, ale chcemy zatrzymać cię tu na zawsze. Jeśli masz nas przy tym nienawidzić za zmuszanie do jedzenia indyka – mówiła, kładąc na jego talerzu trzy plasterki – to niech tak będzie.

– *Touché, touché.* – Profesor przytaknął i zajął się jedzeniem boczku, który wcale boczkiem nie był. – Ale nie mogę was winić. Ja też chciałbym na zawsze pozostać w swoim towarzystwie.

Reszta posiłku upłynęła nam na żartach, opowiadaniu żenujących historii i dzieleniu się wspomnieniami. Lucy przysłuchiwała się z wdziękiem, zadawała pytania, pragnąc poznać szczegóły, w pełni angażowała się w rozmowę. Uwielbiałem w niej to, że była tak otwarta na ludzi. Gdziekolwiek wchodziła, wypełniała pomieszczenie swoim światłem.

– Lucy, bardzo się cieszymy, że dołączyłaś do nas dzisiaj. Twój uśmiech jest zaraźliwy – powiedziała Mary po zakończonym posiłku. Siedzieliśmy nadal przy stole, ciesząc się doborowym towarzystwem.

Lucy uśmiechnęła się szeroko i wygładziła sukienkę.

– Było u was naprawdę niesamowicie. Gdyby nie wasze zaproszenie, siedziałabym sama w domu. – Zaśmiała się.

– Wcześniej nie spędzałaś samotnie świąt, prawda? – zapytała Karla, ściągając brwi.

– O nie. Zawsze spędzałam je z siostrą, ale w tej chwili jej przyjaciółka powróciła do Stanów, więc Mari pojechała ją odwiedzić. Normalnie w każde święta jechałyśmy razem do chaty znajomej, by odwiedzić drzewo mamy.

– Drzewo mamy? – zapytała Susie.

– Tak. Po śmierci mamy, w celu uczczenia jej pamięci, posadziłyśmy drzewo, aby żyło i rosło nawet wtedy, gdy jej już nie będzie. W każde święta jeździłyśmy w odwiedziny, siadałyśmy pod tym drzewem, jadłyśmy lukrecję, którą uwielbiała, słuchałyśmy muzyki i oddychałyśmy naturą.

– Piękne – westchnęła Karla. Obróciła się do Susie i klepnęła ją w ramię. – Kiedy umrę, posadzisz drzewo na moją cześć?

– Posadzę piwo, będzie bardziej pasowało – odparła Susie.

Karla spojrzała szeroko otwartymi oczami na swoją dziewczynę, po czym przysunęła się do niej, by ją pocałować.

– Za trzy miesiące się z tobą ożenię, kobieto.

Lucy patrzyła na nie z radością.

– Kiedy dokładnie planujecie ślub?  
– Czwartego lipca, w dzień, w którym się poznałyśmy – powiedziała Karla, chichocząc. – Miałyśmy poczekać do następnego roku, ale teraz nie możemy tego odwlekać. – Spojrzała na profesora Olivera z szerokim uśmiechem. – Tata musi zaprowadzić mnie do ołtarza i oddać mnie mojej ukochanej.

– To będzie piękny dzień – odparł profesor, biorąc córkę za rękę, by pocałować jej dłoń. – Najlepszy zaraz po tym, gdy zostałam moją córką.

Serce mi urosło na dźwięk tych słów.

– Gdybyście potrzebowały florystki, jestem do usług – zaoferowała się Lucy.

Susie wytrzeszczyła oczy.

– Poważnie? Byłoby cudownie. Fantastycznie.

Gdyby nie miłość pomiędzy profesorem Oliverem a Mary, jak i pomiędzy Karłą a Susie, dałbym sobie uciąć rękę, że uczucie to było jedynie miejską legendą, czymś, co istniało tylko w bajkach. Jednak sposób, w jaki ci ludzie na siebie patrzyli, jak kochali się ostentacyjnie i bez skrępowania...

Wiedziałem, że prawdziwa, romantyczna miłość była możliwa.

Nawet jeśli sam nigdy jej nie zaznałem.

– Wiesz, Grahamie nadal nie ma osoby towarzyszącej na naszą uroczystość. Może cię zaprosi. – Susie uśmiechnęła się nikczemnie.

Przewróciłem oczami, czując, jak kurczy mi się żołądek. Postanowiłem natychmiast zmienić temat.

– Susie i Karla mają niesamowite zdolności wokalne – powiedziałem Lucy, przysuwając się do niej. – Właśnie w ten sposób się poznały na obchodach święta niepodległości, czwartego lipca. Powinnaś poprosić, by coś zaśpiewały.

– Graham ściemnia jak zwykle – odparła Karla, rzucając we mnie kawałkiem chleba.

– Nie, wcale nie. – Mary uśmiechnęła się. – Być może nie jestem obiektywna, ale ich głosy naprawdę są wspaniałe. No dalej, dziewczęta, zaśpiewajcie coś. – W tej samej chwili odezwała się elektroniczna niańka, dając znać, że Talon się obudziła. – Pójdę po

nią, a wy wybierzcie piosenkę – poleciała Mary.

– Rany, mam, bez presji, co? – Karla przewróciła oczami, ale jej twarz rozpromieniła się, co podpowiedziało wszystkim, jak bardzo lubiła śpiewać. – Dobra. Co myślisz, Susie? Coś Andry Day?

– Idealnie – zgodziła się dziewczyna, wstając. – Ale nie śpiewam przy stole. Artysta potrzebuje sceny.

Przeszliśmy do salonu i usiadłem obok Lucy na kanapie. Pojawiła się również Mary z moją córką na rękach i przez chwilę zastanawiałem się, czy tak właśnie powinna wyglądać babcia. Szczęśliwa. Zdrowa. Pełna miłości.

Talon nie podejrzewała nawet, jak wielkie miała szczęście, mając przy sobie Mary.

Ja również nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkim byłem szczęściarzem, znając tę kobietę.

Karla usiadła przy fortepianie stojącym w rogu, rozciągnęła palce i zaczęła grać *Rise Up* Andry Day. Melodia płynąca z instrumentu sama w sobie była wspaniała, ale kiedy Susie zaczęła śpiewać, pomyślałem, że wszyscy w pomieszczeniu dostaną gęsiej skórki. Lucy wpatrywała się uważnie w dziewczyny, a ja wpatrywałem się w nią. Cała drżała, nawet nogi jej się trzęsły podczas słuchania występu. Wyglądało, jakby muzyka całkowicie ją pochłonęła, do tego stopnia, że łzy zaczęły płynąć po jej policzkach.

Kiedy słowa dotarły do jej serca, strumień łez przyspieszył. Zaczerwieniła się mocno i próbowała otrzeć oczy, jednak słone krople nie chciały przestać płynąć.

Gdy ponownie uniosła dłoń, by je wytrzeć, chwyciłem ją za rękę. Popatrzyła na mnie z dezorientacją, a ja ścisnąłem jej palce.

– W porządku – szepnąłem.

Rozchyliła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale skinęła tylko głową. Wróciła do słuchania muzyki i zamknęła oczy. Łzy nadal płynęły, gdy wsłuchiwała się w piękny wokal, wciąż drżała, co wyczuwałem, ściskając jej dłoń.

Po raz pierwszy zacząłem ją w pełni rozumieć.

*Piękną dziewczynę, która wszystko odczuwała.*

Emocje nie sprawiały, że była słaba.

Były jej siłą.

Kiedy Karla i Susie zakończyły występ, Lucy zaczęła klaskać, nadal płacząc.

– To było niesamowite.

– Na pewno nie płaczesz, bo byłyśmy kiepskie? – zażartowała Karla.

– Nie, to było wspaniałe. Moja mama byłaby... – zamilkła na chwilę i wzięła głęboki wdech. – Bardzo by jej się podobało.

Spojrzałem na nasze złączone ręce, a następnie puściłem jej dłoń, czując ucisk w piersi.

Gdy nastał wieczór, spakowaliśmy się i podziękowaliśmy za gościnę.

– Było cudownie – powiedziała Lucy Mary i Oliverowi, gdy mocno ich przytuliła. – Dziękuję, że mnie przygarnęliście, dzięki czemu nie musiałam siedzieć samotnie na kanapie i zajadać się lodami z kubelka.

– Zawsze jesteś u nas mile widziana, Lucy – powiedziała Mary, po czym pocałowała dziewczynę w policzek.

– Włożę Talon do fotelika – stwierdziła Lucy, biorąc ode mnie dziecko po ponownych podziękowaniach za gościnę.

Mary uśmiechnęła się i porwała mnie w ramiona.

– Podoba mi się – szepnęła, klepiąc mnie po plecach. – Ma dobre serce.

Nie myliła się.

Gdy weszła do domu, na ganku pozostał profesor Oliver szczerząc zęby od ucha do ucha.

– No co? – zapytałem, marszcząc brwi.

– O, panie Russell – zanucił, wkładając ręce do kieszeni i kołysząc się na piętach.

– Co?!

Gwizdnął cicho i pokręcił głową.

– Zabawne, że spotkało to akurat ciebie, choć wydajesz się to w stu procentach ignorować.

– O czym pan mówi?

– Najwyraźniej trudno dostrzec przebieg fabuły, gdy żyje się

historią.

– Ktoś tu znów zapomniał wziąć leków? – zapytałem.

– W każdej opowieści następuje punkt zwrotny, gdy bohater się zmienia i ze starego świata trafia do nowego. Wiesz o tym.

– Tak... ale co to ma ze mną wspólnego?

Profesor Oliver wskazał ruchem głowy na Lucy.

– Wszystko.

Dotarło do mnie, o czym mówił, więc odchrząknąłem i się wyprostowałem.

– Nie, to niedorzeczne. Lucy pomaga mi jedynie z Talon.

– Mhm – mruknął niemal drwiąco.

– Nie, serio. Niezależnie od pokrętnych ścieżek pana umysłu, jest również siostrą Jane.

– Mhm – odparł, doprowadzając mnie do szału. – Chodzi jednak o to, że serce nigdy nie słucha rozumu, panie Russell. – Szturchnął mnie i dodał znacząco: – Po prostu czuje.

– Naprawdę zaczyna mnie pan irytować.

Roześmiał się i skinął głową.

– Zabawne, nieprawdaż? Jak główny bohater nigdy nie potrafi przewidzieć przygód, jakie go spotkają.

Najbardziej przeszkadzała mi prawda zawarta w jego słowach. Wiedziałem, że zaczynam coś czuć do Lucy, zdawałem sobie również sprawę z tego, jak niebezpiecznie było pozwolić sobie na rozwój jakichkolwiek uczuć do niej.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem czułem się jak wtedy, gdy trzymałem ją za rękę czy gdy obserwowałem, jak zajmowała się Talon, albo kiedy dostrzegłem jej istnienie.

– Co o niej myślisz, Grahamie? – zapytał profesor.

– Co myślę o Lucille?

– Tak. Może jeśli nie możesz z nią być, znajdzie się choć miejsce na przyjaźń.

– Jest moim całkowitym przeciwieństwem – odparłem. – Jest niestandardowa, jakby była wybrykiem natury. Jest roztrzepana i zawsze mówi, co jej ślina na język przyniesie. Nie potrafi ujarzmić włosów, jej śmiech niekiedy jest zbyt głośny i denerwujący.

Wszystko w niej jest niepokładane. Jest totalnym bałaganem.

– A mimo to? – naciskał.

A mimo to chciałem być taki jak ona. Chciałem być niestandardowym wybrykiem natury. Chciałem być nierozważny i głośno się śmiać. Chciałem wejść w tę piękną katastrofę i mieszać ją ze swoim własnym bałaganem. Chciałem zakosztować jej nieskrępowania i odważyć się żyć chwilą.

Chciałem się dowiedzieć, co oznacza bycie częścią jej świata.

Jak to jest być mężczyzną, który wszystko odczuwa.

Chciałem ją tulić, a jednocześnie dać swobodę ruchów w moich ramionach. Pragnąłem posmakować jej ust i oddychać jej duszą, jednocześnie ofiarowując swoją w zamian.

Nie chciałem być jej przyjacielem – o nie.

Pragnąłem o wiele więcej.

Mimo to wiedziałem, że to niemożliwe. Była jedyną, której pragnąłem, a której nie mogłem mieć. Rozwój mojej historii nie był dla mnie łaskawy, jednak nie dziwiłem się temu. Nigdy nie napisałem szczęśliwego zakończenia, więc wiedziałem, że nie dane mi będzie, by Lucy znalazła się w moim ostatnim rozdziale.

– Rozważasz coś w tej chwili, Grahamie, chcę wierzyć, że coś dobrego – powiedział profesor. – Jane nie ma już prawie rok i, powiedzmy sobie szczerze, gdy była, nigdy nie patrzyłeś na nią tak, jak patrzysz na Lucy. Twoje oczy nie rozpały się w taki sposób, w który błyszczą, ilekroć widzą Lucy. Całe życie spędziłeś, unikając szczęścia, synu. Kiedy twoim zdaniem świat pozwoli ci zrzucić okowy, jakie sam na siebie założyłeś? Życie jest krótkie, nigdy nie wiadomo, ile jeszcze zostało rozdziałów w twojej księdze, Grahamie. Przeżywaj każdy dzień, jakby miał być twoją ostatnią stroną. Chwytaj chwilę, jakby miała być twoim ostatnim słowem. Bądź dzielny, synu. Bądź dzielny.

Przewróciłem oczami i zszedłem ze schodów.

– Profesorze?

– Tak.

– Niech pan zamilknie.

## ROZDZIAŁ 18

### LUCY

– Muszę zatrzymać się w sklepie, by kupić pieluchy. Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać – powiedział Graham, zatrzymując się na parkingu całodobowego marketu.

– Nie, w porządku.

Pospieszył do środka, a kiedy wyszedł, wrzucił siatkę do bagażnika i wskoczył za kierownicę.

– Dobra – powiedział, ruszając. – W którą stronę do tej chaty?

– Co?

– Pytałem, w którą stronę mam jechać, aby odwiedzić drzewo twojej matki.

Serce mi się ścisnęło i pokręciłam głową. Jego słowa odbijały się echem w mojej głowie, gdy patrzyłam na niego pustym wzrokiem.

– Co? Nie ma mowy, Grahamie. Zwlekasz z oddaniem książki do redakcji, do tego nie wyobrażam sobie, byś jechał tak daleko tylko po to...

– Lucille Hope Palmer.

– Tak, Grahamie Michaelu Russell?

– W każde święta odwiedzałaś matkę, prawda?

Przygryzłam dolną wargę i skinęłam głową.

– Tak.

– No i dobrze. W która stronę mam jechać?

Zamknęłam oczy, a serce galopowało mi coraz szybciej, gdy zdałam sobie sprawę, że Graham nie ustąpi. Nie wspominałam



nawet, jak bardzo bolało mnie to, że nie mogłam odwiedzić mamy w te święta. Nie poskarżyłam się, że ciężko mi było patrzeć, jak Karla i Susie kochają Mary. Łza wymknęła się z mojego oka, ale jednocześnie uśmiech rozciągnął usta.

– Drogą numer czterdzieści trzy na północ przez dwie godziny.

– Super – powiedział, wyjeżdżając z parkingu. Gdy otworzyłam oczy, spojrzałam do tyłu na śpiącą Talon i zamknęłam palce na wisiorku w kształcie serca.

Kiedy przyjechaliśmy, było zupełnie ciemno, dopóki nie podłączyłam wtyczki do gniazdka znajdującego się na ścianie chaty. Gdy to zrobiłam, cały teren rozświetlił się lampkami, jakie powiesiliśmy wokół z Mari na Boże Narodzenie. Drzewo mamy również zostało podświetlone. Podeszłam do niego i stojąc nieruchomo, przyglądałam się migoczącym diodom. Widok pięknych gałęzi był słodko-gorzki. Każdy dzień, gdy drzewo rosło, oznaczał, że mamy nie było z nami, jednak wiosenne odwiedziny były moimi ulubionymi, ponieważ wtedy pojawiały się liście.

– Piękna – powiedział Graham, podchodząc do mnie z Talon na rękach.

– Prawda?

Przytaknął.

– Jak jej córka.

Uśmiechnęłam się.

– I wnuczka.

Graham wyciągnął z kieszeni paczkę lukrecji, przez co moje serce zgubiło rytm.

– Kupiłeś wcześniej w sklepie? – zapytałam.

– Chciałem, by ten dzień był dla ciebie wyjątkowy.

– Taki właśnie jest – odparłam, przytłoczona jego życzliwością. – To bardzo dobry dzień.

Kiedy siedzieliśmy, patrząc, oddychając, będąc, Graham wyciągnął komórkę i puścił *Rise Up* Andry Day.

– Mówiłaś, że by się jej spodobało – powiedział.

Ponownie się rozplakałam.

Wszystko było takie piękne.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Lucille? – zapytał Graham.

Spojrzałam na niego, a serce nieco ścisnęło mi się w piersi.

– Tak.

– Mogę ci w takim razie zdradzić tajemnicę?

– Tak, oczywiście. Wszystko możesz mi powiedzieć.

– Ale gdy to powiem, musisz udawać, że słowa te nigdy nie padły z moich ust, dobrze? Jeśli nie powiem tego teraz, myślę, że odczucie się tylko nasili i będzie mącić mi w głowie jeszcze bardziej. Zatem kiedy już to powiem, musisz udawać, że nic nie mówiłem. Musisz znów być moją przyjaciółką, ponieważ przyjaźń z tobą czyni mnie lepszym człowiekiem. Sprawiasz, że jestem lepszy.

– Grahamie...

Obrócił się i włożył Talon do nosidełka.

– Poczekaj, powiedz najpierw... Czujesz coś? Cokolwiek więcej niż przyjaźń, gdy to robimy? – Wziął mnie za rękę.

*Byłam zdenerwowana.*

Przysunął się, a nasze ciała znalazły się tak blisko, jak nigdy wcześniej.

– Czujesz coś, gdy tak robię? – szepnął, powoli przesuwając grzbietem palców po moim policzku.

Zamknęłam oczy.

*Miałam dreszcze.*

Przysunął się jeszcze bliżej. Poczułam na wargach jego oddech. Oddychałam wydychanym przez niego powietrzem. Nie mogłam otworzyć oczu, bo zobaczyłabym jego usta. Nie mogłam unieść powiek, bo zapragnęłabym znaleźć się jeszcze bliżej. Nie mogłam spojrzeć, bo ledwie mogłam oddychać.

– Czujesz coś, gdy jesteśmy tak blisko? – zapytał cicho.

*Byłam podniecona.*

Otworzyłam oczy i zamrugałam.

– Tak.

Widziałam, jak mu ulżyło. Z tylnej kieszeni wyciągnął kartkę.

– Wczoraj stworzyłem dwie listy – powiedział. – Cały dzień, gdy siedziałem przy biurku, zapisywałem powody, dla których nie powinienem czuć do ciebie tego, co czuję, i ta lista wyszła dość

długa. Wypunktowałem wszystkie powody, dla których rodzące się między nami uczucie jest złym pomysłem.

– Rozumiem, Grahamie. Nie musisz się tłumaczyć. Wiem, że nie możemy...

– Nie, czekaj. Mam też drugą listę. Krótszą, znacznie krótszą, ale pisząc ją, starałem się porzucić logikę. Próbowałem być jak ty.

– Jak ja? To znaczy?

– Próbowałem czuć. Wyobrażałem sobie, jak to byłoby być szczęśliwym, a według mnie definicją szczęścia jesteś ty. – Spojrzał mi w oczy i dwukrotnie odchrząknął. – Próbowałem wypisać wszystko, co uważam za dobre, pomijając oczywiście Talon. Ta lista jest naprawdę krótka, jak do tej pory znalazły się na niej tylko dwa punkty, a, co dziwne, zaczyna i kończy się na tobie.

Serce galopowało mi w piersi, a myśli z każdą upływającą sekundą wirowały coraz szybciej.

– Jestem na niej ja i ja? – zapytałam, gdy ciepło rozeszło się po moim ciele. Jego słowa prześlizgnęły się po mojej skórze i zapadły głęboko w duszę.

Graham powiódł powoli palcami po mojej szyi.

– Ty i ty.

– Ale... – *Lyric*. – Nie możemy.

Przytaknął.

– Wiem. Dlatego gdy skończę mówić, musisz udawać, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Musisz zapomnieć o wszystkim, co dziś powiedziałem, ale najpierw muszę coś wyjawić.

– Co takiego, Grahamie?

Powoli obrócił się ku mnie i spojrzał na mrugające na drzewie lampki. Przyglądałam się, jak powoli poruszają się jego usta.

– Twoje towarzystwo dziwnie na mnie wpływa, sprawia, że dzieje się coś, co od bardzo dawna nie miało miejsca.

– Co się dzieje?

Wziął mnie za rękę, położył ją sobie na piersi i szepnął:

– Znów bije moje serce.

## ROZDZIAŁ 19

### LUCY

– Dobrze się czujesz? – zapytał Graham kilka dni później, gdy odwoziłam go na lotnisko. Wydawnictwo zażądało, by zjawił się w Nowym Jorku, aby udzielić kilku wywiadów i spotkać się z czytelnikami, podpisując książki. Od urodzenia Talon starał się odkładać wszelkie podróże, jednak do tej został zmuszony. Miał to być pierwszy raz, gdy zostanie rozdzielony z córką na weekend, wiedziałam więc, że był z tego powodu bardzo zdenerwowany. – Po tamtej rozmowie?

Uśmiechnęłam się lekko i przytaknęłam.

– Jest dobrze, naprawdę.

Skłamałam.

Odkąd wspomniał, że żywione do mnie uczucia goszczą w jego piersi, nie byłam w stanie przestać o tym myśleć. Jednak ponieważ postawił na odwagę i postanowił być bardziej taki jak ja i czuć, zdecydowałam, że powinnam być bardziej jak on i czuć mniej.

Zastanawiałam się, czy całe jego życie polegało na odczuwaniu jedynie cienia emocji.

– Dobrze.

Kiedy zaparkowaliśmy, wysiadłam, by pomóc mu z walizką. Wzięłam Talon z fotelika i podałam Grahamowi, który mocno ją przytulił. Oczy mu się zaszkliły, gdy spojrzał na córkę.

– To tylko trzy dni – powiedziałam.

Skinął krótko głową.

– Tak, wiem, tylko... – urwał i pocałował małą w czoło. – Jest całym moim światem.

*Och, Herbatniku Grahamku.*

Tak ciężko było się w nim nie zakochać.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń bez względu na porę dnia czy nocy. Ja będę dzwonił na każdej przerwie, którą uda mi się dostać – umilkł i przygryzł dolną wargę. – Myślisz, że powinienem odwołać wyjazd i zostać w domu? Talon miała rano podniesioną temperaturę.

Zaśmiałam się.

– Grahamie, nie możesz niczego odwołać. Leć i pracuj, a później wróc do nas – urwałam, gdy mój dobór słów wywołał na jego twarzy niewielki uśmiech. – Wróc do córki.

Przytaknął i ponownie pocałował małą.

– Dziękuję, Lucille. Za wszystko. Nie ufam wielu ludziom, ale tobie ufam bezgranicznie. – Dotknął lekko mojego ramienia, po czym oddał mi Talon.

W chwili, w której posadziłam dziewczynkę w foteliku w samochodzie, Talon zaczęła płakać, więc spróbowałam ją uciszyć.

– Wiem, panienko. – Zapięłam ją i pocałowałam w główkę. – Ja też będę za nim tęsknić.

\*\*\*

Następnego dnia Mari poprosiła, bym pojeździła z nią na rowerze, ale ponieważ pilnowałam Talon, mogłam jedynie pchać wózek.

– Jest piękna – powiedziała siostra, uśmiechając się do dziecka. – Ma oczy naszej mamy, zupełnie jak Lyric, prawda?

– Tak, jest też równie pyskata. – Zaśmiałam się, gdy szłyśmy w kierunku szlaku. – Cieszę się, że w końcu spędzimy razem trochę czasu, Mari. Wydaje mi się, że pomimo tego, iż mieszkamy w tym samym mieszkaniu, w ogóle się nie widzimy. Nie miałam nawet okazji zapytać, co tam u Sarah.

– Nie spotkałam się z nią – wypaliła, a ja aż się zatrzymałam.

– Co?

– Nie było jej nawet w Stanach – przyznała, rozglądając się nerwowo.

– O czym ty mówisz, Mari? Wyjechałaś na cały weekend. Gdzie się podziewałaś?

– Byłam z Parkerem – odparła nonszalancko, jakby te słowa nie ociekały toksycznością.

Zmrużyłam oczy.

– Przepraszam, chyba się przesłyszałam.

– Jakiś czas temu, kiedy cię nie było, wpadł do kwiaciarni i zapytał, czybym się z nim nie spotkała. Od kilku miesięcy rozmawiamy ze sobą.

*Miesiące?!*

– Oszalałaś – powiedziałam, a ona się skrzywiła. – I okłamałaś mnie. Od kiedy to okłamujemy siebie nawzajem?

– Wiedziałam, że nie zaakceptujesz moich spotkań z nim, ale chciał porozmawiać ze mną o paru rzeczach.

– Porozmawiać o paru rzeczach? – powtórzyłam wściekła. – A niby o czym tu, u licha, rozmawiać?

Mari zwiesiła głowę i zaczęła kopać butem jakiś kamień.

– O rany, chciał do ciebie wrócić, prawda?

– To skomplikowane – odparła.

– Tak? Porzucił cię w najgorszym okresie twojego życia, a teraz chce wrócić w najlepszym?

– Jest moim mężem.

– Był twoim mężem.

Ponownie spuściła wzrok.

– Nie podpisałam dokumentów.

Serce prawie mi nie stanęło.

– Powiedziałaś...

– Wiem! – załkała, przeczesując palcami włosy i chodząc tam i z powrotem. – Wiem, że ci powiedziałam, że to zakończyłam, i tak było. Mentalnie uznałam to małżeństwo za stracone, ale fizycznie... nie podpisałam dokumentów rozwodowych.

– No chyba sobie żartujesz, Mari. On cię porzucił, kiedy chorowałaś na raka.

– Mimo to...

– Nie. Żadnych „mimo to”. Nie dostanie mojej akceptacji, a ty

skłamałaś w sprawie rozvodu! Okłamałaś mnie! Powinnaś trzymać moją stronę, Jeżynko. Powinnyśmy mówić sobie o wszystkim, a ty przez cały czas mnie okłamywałaś. Wiesz co mama o tym mówiła? Jeśli uważasz, że musisz w jakiejś sprawie kłamać, prawdopodobnie nie powinnaś w ogóle się za nią zabierać.

– Proszę, nie cytuj mi tu teraz mamy, Lucy.

– Musisz od niego odejść, Mari. Fizycznie, emocjonalnie i mentalnie. On jest dla ciebie toksyczny. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nie masz pojęcia, jak to jest być mężatką!

Mari podniosła głos. Nigdy tego nie robiła.

– Ale mam pojęcie, jak to jest być szanowaną! Jezu, nie wierzę, że przez cały ten czas mnie okłamywałaś.

– Przepraszam, że cię oszukałam, ale jeśli mam być szczerą, sama ostatnio nie jesteś zbyt prawdomówna.

– Co?

– To – powiedziała, wskazując Talon. – Ta cała sprawa z Grahamem jest dziwna. Dlaczego opiekujesz się jego dzieckiem? Jest już na tyle duże, że powinien sam umieć się nim zająć, a jeśli nie, powinien zatrudnić nianię. Powiedz prawdę, dlaczego wciąż mu pomagasz?

Skurczył mi się żołądek.

– Mari, to nie jest taka sama sytuacja...

– To dokładnie taka sama sytuacja! Mówisz, że pozostałam w małżeństwie bez miłości, bo jestem słaba i wkurzasz się, że cię okłamałam, ale sama okłamujesz nie tylko mnie, ale i siebie. Nadal mu pomagasz, bo się zakochałaś.

– Przestań.

– Sama przestań.

Opadła mi szczęka.

– Mari... w tej chwili nie chodzi o mnie, Grahama czy cokolwiek innego, a o ciebie. Rozmawiając z Parkerem, popełniasz gigantyczny błąd. To niezdrowe i...

– Przeprowadzam się z powrotem do domu.

– Co?! – wykrzyknęłam zszokowana i aż się wyprostowałam. – To

nie jest twój dom. Ja jestem twoim domem. Jesteśmy domem dla siebie nawzajem.

– Parker uważa, że będzie lepiej, jeśli popracujemy nad naszym małżeństwem.

*Jakim małżeństwem?!*

– Mari, zadzwonił po dwóch latach od remisji. Czekał, by sprawdzić, czy nowotwór wróci. To padalec!

– Przestań! – krzyknęła zirytowana, gestykując. – Po prostu przestań. Jest moim mężem, Lucy, więc z nim zamieszkam. – Zwiesiła głowę i powiedziała drżącym głosem: – Nie chcę skończyć jak ona.

– Jak kto?

– Jak mama. Umarła samotnie, bo nie pozwoliła, by jakikolwiek mężczyzna ją pokochał. Nie chcę umrzeć, nie będąc kochaną.

– Ale Parker cię nie kocha, Jeżynko...

– Ale może pokochać. Może jeśli się trochę zmienię, jeśli stanę się dobrą żoną...

– Byłaś najlepszą żoną, Mari. Byłaś dla niego wszystkim.

Z jej oczu popłynęły łzy.

– Więc dlaczego mu wtedy nie wystarczyłam? Daje mi drugą szansę, więc tym razem lepiej się postaram.

To szalone, że tak szybko moja złość zmieniła się w czysty smutek.

– Mari – powiedziałam łagodnie.

– *Maktub* – odparła, patrząc na tatuaż na swoim nadgarstku.

– Nie rób tego. – Pokręciłam głową. Cierpiałam bardziej, niż mogłaby się domyślać. – Nie nadawaj naszemu słowu wypaczonego sensu.

– Oznacza „jest napisane”, Lucy. Oznacza, że wszystko, co mnie spotkało, miało mnie spotkać, nie tylko to, na co miałam nadzieję. Nie można przyjmować jedynie pozytywów. Życie trzeba akceptować w całości.

– Nie. To nieprawda. Jeśli w twoją stronę zmierza kula, a ty masz wystarczająco dużo czasu, by się uchylić, nie będziesz stać i czekać, aż w ciebie trafi. Odsuniesz się, Mari. Unikniesz postrzału.



– Moje małżeństwo nie jest kulą. Nie jest śmiercią. Jest życiem.  
– Popelniasz ogromny błąd – szepnęłam, a łzy zmoczyły mi policzki.

Skinęła głową.

– Może, ale to mój błąd, tak jak twoim jest Graham. – Skrzyżowała ręce na piersi i zadrżała, jakby było jej zimno. – Nie chciałam ci mówić w taki sposób, ale lepiej, żebyś wiedziała. Umowa najmu mieszkania niedługo się kończy, więc będziesz musiała czegoś sobie poszukać. Słuchaj, jeśli chcesz, możemy iść teraz dalej szlakiem, by poukładać myśli.

– Wiesz co, Mari? – Skrzywiłam się i pokręciłam głową. – Wolałabym nie.

Najtrudniej w życiu patrzeć na wejście ukochanej osoby wprost do ognia, kiedy ty możesz jedynie siedzieć i obserwować, jak płonie.

\*\*\*

– Zostaniesz z nami – powiedział Graham, kontaktując się ze mną za pomocą wideokonferencji ze swojego hotelowego pokoju.

– Nie, nie wygłupiaj się. Coś sobie znajdę. Zacznę szukać, gdy tylko wrócisz.

– Dopóki czegoś nie znajdziesz, zostaniesz z nami. Żadnego marudzenia. Mój dom jest na tyle duży, że się pomieścimy. Chociaż przykro mi z powodu Mari.

Zadrżałam na myśl o całej sprawie, na myśl, że siostra wróci do Parkera.

– Nie rozumiem tego. Jak mogła mu tak po prostu wybaczyć?

– Samotność jest złym doradcą – odparł Graham, siedząc na skraju łóżka. – Jest toksyczna, przeważnie zabójcza. Zmusza ludzi do wiary, że lepiej by im było z samym diabłem niż samotnie, ponieważ bycie samemu oznacza porażkę. W jakiś sposób samotność znaczy bycie niewystarczająco dobrym, często więc trucizna samotności wnika w życie i sprawia, że osoba bierze jakąkolwiek uwagę za miłość. Fałszywa miłość zbudowana na podwalinach samotności nie przetrwa, powinienem był o tym wiedzieć. Przez całe życie byłem samotny.

– Nie podoba mi się to, co właśnie zrobiłeś. – Westchnęłam. – Nie

podoba mi się, że przekształciłeś moją irytację w żal, co sprawia, że mam ochotę ją przytulić.

Zaśmiał się.

– Przepraszam. Mogę ją powyzywać od głupich, jeśli chcesz... – Zmrużył oczy, patrząc w telefon. Zauważyłam strach w jego spojrzeniu. – Lucille, oddzwonię później.

– Wszystko w porządku?

Rozłączył się, nie odpowiadając na pytanie.

## ROZDZIAŁ 20

### GRAHAM

Byłem mistrzem fabuły.

Wiedziałem, czego potrzeba dobrej książce.

Świetna opowieść nie potrzebowała słów, które nie współgrały. W świetnej opowieści każde słowo miało znaczenie, było ważne i liczyło się podczas przebiegu akcji. Były również znaki zapowiadające zwrot akcji, po którym historia mogła rozwinąć się w różnorakie strony. Jeśli czytelnik był wystarczająco uważny, mógł je zaobserwować. Mógł smakować sedno każdego słowa przelanego na stronę, by pod koniec zostać usatysfakcjonowanym.

Dobra książka zawsze miała przemyślaną strukturę.

Ale życie nie było dobrą książką.

Życie było bałaganem słów, które tylko czasem ze sobą współgrały. Prawdziwe życie było ciągiem emocji ledwie mających jakikolwiek sens. Było rękopisem z niedoróbkami, powykreślanymi zdaniami, a wszystko zapisane kredką.

Nie było piękne. Nie dawało żadnych znaków ostrzegawczych. Nie było łatwe.

A kiedy cię dopadało, bezlitośnie ścinało cię z nóg, by zostawić twoje krwawiące serce wilkom na pożarcie.

\*\*\*

Wiadomość przyszła od Karli.

Dziewczyna próbowała się do mnie dodzwonić, ale przerzuciłem ją na pocztę głosową.

Patrzyłem na Talon.  
Karła nagrała mi wiadomość, ale nawet jej nie odsłuchiłem.  
Byłem wpatrzony w oczy Lucille.  
Karła wysłała mi więc SMS-a, a przez jej słowa coś we mnie  
umarło.

TATA JEST W SZPITALU.  
MIAŁ KOLEJNY ZAWAŁ SERCA.  
PROSZE, WRÓĆ.

\*\*\*

Poleciałem następnym samolotem i przez całą drogę zaciskałem  
dłonie w pięści, zbyt zdenerwowany, by wziąć pełen wdech. Kiedy  
samolot wylądował, wsiadłem do pierwszej taksówki, jaką  
napotkałem, i pognąłem do szpitala. Wpadłem do środka, płuca  
paliły mnie żywym ogniem. Trząsałem się, gdy przedzierały się  
przeze mnie emocje.

*Musi być dobrze...*

*Wszystko musi być z nim dobrze...*

Jeśli profesor Oliver z tego nie wyjdzie, to nie wiem, czy sam  
przetrwam. Nie wiedziałem, czy przeżyję, jeśli go przy mnie nie  
będzie. Kiedy dotarłem do poczekalni, najpierw zobaczyłem Mary  
i Karłę, a następnie Lucy siedzącą w kącie z Talon na kolanach.  
Jak długo tu była? Skąd w ogóle wiedziała? Nie mówiłem, że  
wracam. Za każdym razem, gdy próbowałem napisać do niej,  
kasowałem wszystko, co stworzyłem. Gdybym wysłał wiadomość, że  
profesor miał zawał serca, stałoby się to prawdziwe. Gdybym  
sądził, że działo się to naprawdę, umarłbym w samolocie.

To nie mogło się stać.

On nie mógł odejść.

Talon nawet by go nie pamiętała.

A musiała przecież pamiętać najwspanialszego człowieka na  
świecie.

Musiała znać mojego ojca.

– Skąd wiedziałaś? – zapytałem Lucy, podchodząc do niej i całując

Talon w czoło.

Lucy ruchem głowy wskazała Karłę.

– Zadzwoiła do mnie. Natychmiast przyjechałam.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Dobrze. – Lucy skrzywiła się, wzięła moje dłonie w swoje i lekko ścisnęła. – A ty?

Zmrużyłem oczy, przełknąłem z trudem ślinę i odezwałem się tak cicho, że nie byłem pewien, czy słowo to w ogóle opuściło moje usta.

– Nie.

Spojrzałem na Mary i powiedziałem Lucy, że zaraz wrócę. Odparła, żebym się nie spieszył. Byłem jej za to wdzięczny, jak również za opiekę nad Talon i za to, że była przy mnie i mojej córce, gdy ja musiałem być przy innych.

– Mary – powiedziałem, podchodząc do kobiety. Uniosła głowę, a moje serce pękło na ten widok. Pełen bólu wyraz twarzy Karli złamał je po raz drugi.

– Grahamie – załkała Mary, podbiegając do mnie.

Objąłem ją i przytuliłem. Rozchyliła usta, by coś dodać, ale nie padły żadne słowa. Szłochała niekontrolowanie jak jej córka, która również podeszła, by mocno mnie objąć. Tuliłem je obie, starając się przekonać ich drżące ciała, że wszystko będzie w porządku.

Stałem niezachwianie niczym duże drzewo, ponieważ wiedziałem, że potrzebowały solidnego wsparcia. Potrzebowały siły, więc musiałem im ją dać.

Właśnie tego profesor by ode mnie oczekiwał.

*Żebym był dzielny.*

– Co się stało? – zapytałam Mary, gdy się nieco uspokoiła. Zaprowadziłem ją do rzędu krzeseł, gdzie usiedliśmy.

Zajęła miejsce zgarbiona i splotła palce, nadal lekko się trzęsąc.

– Czytał w gabinecie, a kiedy poszłam do niego... – Jej dolna warga zaczęła drżeć. – Nie mam pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Gdybym przyszła szybciej... Gdybym...

– Nie gdybaj – powiedziałem. – Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. To nie twoja wina, Mary.

Przytaknęła.

– Wiem, wiem. Przygotowywałam się na nadejście tego dnia, ale nie wiedziałam, że nastąpi tak szybko. Sądziłam, że mamy więcej czasu.

– Przygotowywałaś się? – zapytałam zdezorientowany.

Skrzywiła się, próbując otrzeć łzy, ale nie przestawały płynąć.

– Nie chciał ci mówić.

– O czym?

– Od jakiegoś czasu był chory, Grahamie. Jakiś czas temu lekarze poinformowali go, że jeśli nie przejdzie operacji, jego serce podda się za kilka miesięcy. Sama operacja również była ryzykowna, więc odmówił jej przeprowadzenia. Nie chciał kolejnej, skoro tak dużo ich miał za sobą. Klóciłam się z nim o to, ale bał się, że pójdzie do szpitala i już z niego nie wyjdzie, zamiast spędzać czas, który mu jeszcze pozostał, w otoczeniu bliskich.

Wiedział?

– Dlaczego mi nie powiedział? – zapytałam, gdy zakłuł mnie gniew.

Mary chwyciła mnie za rękę i ściszyła głos.

– Nie chciał, byś się od niego odsunął. Sądził, że gdybyś dowiedział się o jego chorobie, zamknąłbyś się w sobie, by chronić się przed bólem. Wiedział, że wycofałbyś się w głąb swojego umysłu, co łamało mu serce, Grahamie. Bał się ciebie stracić, ponieważ byłeś jego synem. Jesteś naszym synem, a gdybyś odszedł w tych ostatnich dniach... Oliver odszedłby z tego świata załamany.

Pierś mi się ścisnęła, gdy z całych sił próbowałam zapanować nad płaczem. Zwiesiłem głowę i pokręciłem nią słabo.

– Jest moim najlepszym przyjacielem – wyznałem.

– A ty jego – odparła kobieta.

W nieskończoność czekaliśmy, by lekarze poinformowali nas o stanie profesora. Kiedy jeden z nich w końcu się pojawił, odchrząknął i zapytał:

– Pani Evans?

Wszyscy poderwali się z miejsc.

– Tak, to ja – odparła Mary.

Nie puściłem jej drżącej dłoni.

*Bądź dzielna.*

– Pani mąż cierpi na niewydolność serca. Znajduje się na intensywnej terapii, gdzie sztucznie wspomagamy oddychanie, jednak, prawdę mówiąc, stan pacjenta nie jest stabilny, mąż ma niewielkie szanse. Bardzo mi przykro. Wiem, że to trudne. Mogę poprosić o spotkanie ze specjalistą, który pomoże pani zdecydować, jaki krok będzie dla państwa najlepszy.

– Mówi pan, że mamy zdecydować, czy odpiąć go od maszyn, czy pozostawić w obecnym stanie? – zapytała Mary.

– Tak, ale proszę zrozumieć, że pani mąż umiera. Niewiele możemy zrobić. Bardzo mi przykro.

– O Boże – załkała Karla, przytulając się do Susie.

– Możemy go zobaczyć? – zapytała drżącym głosem Mary.

– Tak, ale tylko rodzina – odparł lekarz. – I może po kolei.

– Idź pierwszy – powiedziała do mnie kobieta, jakby nie dopuszczała do siebie myśli, że nie byłem z nimi spokrewniony.

Pokręciłem głową.

– Nie. Ty powinnaś iść. Poczekam.

– Nie mogę – płakała. – Nie mogę iść jako pierwsza. Proszę, Grahamie. Proszę, idź i powiedz mi, co z nim. Błagam.

– Dobrze – odparłem, wciąż martwiąc się, że nie będę mógł być przy niej, by ją pocieszyć. Nim zdołałem coś jednak dodać, Lucy stanęła przy Mary i przytuliła ją mocno, obiecując łagodnymi oczami, że jej nie opuści.

– Zaprowadzę pana do sali – powiedział do mnie lekarz.

Kiedy przemierzaliśmy korytarz, robiłem, co w mojej mocy, by jakoś się trzymać. Usilnie próbowałem nie okazywać bólu, choć w chwili, w której zostałem sam przy profesorze Oliverze, załamałem się.

Wyglądał bardzo źle.

Wokół niego piszcząco tak wiele maszyn, tak wiele kroplówek było przypiętych do jego rąk.

Wziąłem głęboki wdech, przyciągnąłem krzesło do jego łóżka i odchrząknąłem.

– Jest pan egoistycznym dupkiem – zacząłem ze złością. – Jest pan egoistą, robiąc Mary coś takiego. Jest pan egoistą, robiąc coś takiego Karli niedługo przed ślubem. Jest pan egoistą, robiąc coś takiego mnie. Nienawidzę pana za myślenie, że uciekłbym, gdybym się dowiedział. Nienawidzę pana również dlatego, że byłaby to prawda. Jednak proszę, profesorze Oliverze... – Głos mi się załamał, a oczy wypełniły wilgocią. Łzy paliły tak samo, jak ból palił serce. – Nie może pan odejść. Nie może pan być takim egoistycznym dupkiem, okej? Nie może pan zostawić Mary, Karli i absolutnie nie może pan zostawić mnie.

Załamałem się, biorąc go za rękę. Zacząłem się modlić do Boga, w którego nie wierzyłem. Moje niedawno obudzone serce zaczęło pękać i kruszyć się na kawałeczki.

– Proszę, Ollie, proszę, nie odchodź. Błagam. Zrobię wszystko, tylko... tylko...

*Proszę, zostań.*



## ROZDZIAŁ 21

### BOŻE NARODZENIE

*Nie podobał mu się prezent od niej, więc zaczął pić. Jednak Kent nigdy nie poprzestawał na jednej szklance. Później była druga, trzecia i kolejna prowadząca do uwolnienia jego cieni. Gdy Kent żył pośród swoich cieni, nic nie było go w stanie z nich wyciągnąć.*

*Nawet piękno Rebekki.*

*Nawet jej dobro.*

*Nawet gdy codziennie starała się mu wystarczać.*

*Była bardziej niż wystarczająca, pomyślał Graham.*

*Podczas pięciu następujących kolejno urodzin obserwowała, jak zdmuchiwał świece.*

*Była jego przyjaciółką, dowodem na istnienie dobra, jednak nie miało to trwać długo, ponieważ Kent wypijał szklankę mocnego alkoholu – albo dziesięć.*

*– Nic nie jesteś warta! – wydierał się na nią, rzucając szklanką w ścianę, która rozbijała się na miliony okruchów. Był potworem, był mrokiem, najgorszym z ludzi, jacy stąpali po ziemi. Kent nie wiedział nawet, dlaczego był tak zły, ale za każdym razem wyładowywał tę wściekłość na Rebecce.*

*– Proszę – szepnęła roztrzęsiona, siedząc na kanapie. – Odpocznij. Odkąd zaczęłaś pisać, nie zrobiłaś sobie ani jednej przerwy.*

*– Nie mów mi, co mam robić. Zniszczyłaś święta – bełkotał, zataczając się w jej kierunku. – Wszystko zniszczyłaś, bo jesteś niczym. – Podniósł rękę i wziął zamach, ale nim zdołał uderzyć ją*

w twarz, jego dłoń wylądowała na czole Grahama, który stanął w jej obronie. – *Spieprzaj!* – warknął Kent, chwytając syna i odrzucając go na bok.

*Oczy Grahama wypełniły się łzami, gdy obserwował, jak ojciec bije żonę.*

*Jak on może?*

*Jak może uderzyć kogoś tak dobrego?*

– *Przestań!* – *załkał chłopiec, podbiegając do ojca. Za każdym razem, gdy Kent go odpychał, syn wracał. Podnosił się z podłogi i podbiegał, nie bojąc się gniewu mężczyzny. Wiedział jedynie, że Rebecca cierpiała, dlatego musiał ją bronić.*

*Kilka minut zdawało się ciągnąć godzinami. Pokój zaczął wirować, gdy Graham dostał cios. Rebecca nie przestała cierpieć. Wszystko trwało tak długo, dopóki chłopak nie leżał nieruchomo na podłodze, nie próbując już walczyć. Oboje przyjmowali ciosy od mężczyzny. Umilkli i przestali się ruszać, czekając, aż mu się znudzi. W końcu Kent wybiegł z gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami, zapewne w poszukiwaniu kolejnej butelki whisky.*

*Rebecca objęła Grahama w chwili, gdy Kent zniknął im z oczu i pozwoliła chłopcu płakać.*

– *Już dobrze – powiedziała.*

*Ale wiedział tyle, że w to nie uwierzył.*

*Wieczorem Rebecca przyszła do jego pokoju. Nie spał, leżąc w ciemności i gapiąc się w sufit.*

*Kiedy na nią spojrział, zauważył, że miała na sobie płaszcz i buty.*

*Za nią stała walizka.*

– *Nie – powiedział, siadając. Pokręcił głową. – Nie.*

*Łzy płynęły po jej policzkach, posiniaczonych pięściami mroku.*

– *Przykro mi, Grahamie.*

– *Proszę – łkał. Podbiegł do niej i objął ją w talii. – Proszę, nie odchodź.*

– *Nie mogę zostać – odparła drżącym głosem. – Moja siostra czeka na zewnątrz, chciałam tylko pożegnać się z tobą osobiście.*

– *Zabierz mnie ze sobą!* –  *błagał, a łzy strachu, że zostawia go w mroku, płynęły coraz szybciej. – Będę grzeczny, przysięgam. Będę*

wystarczająco grzeczny.

– *Grahamie* – powiedziała i westchnęła. – *Nie mogę cię zabrać... Nie jesteś mój.*

*Te słowa.*

*Słowa, które całkowicie złamały mu serce.*

– *Proszę, Rebecca. Proszę...* – płakał w jej bluzkę.

*Odsunęła się i pochyliła, by byli na tym samym poziomie.*

– *Powiedział, że jeśli cię zabiorę, zaangażuje prawników. Powiedział, że będzie walczył. Nie mam niczego, Grahamie. Wiele lat temu kazał mi zrezygnować z pracy. Podpisałam intercyzę. Nie mam nic.*

– *Masz mnie* – odparł.

*Sposób, w jaki się wyprostowała i zamrugła, powiedział mu, że nie był wystarczający.*

*W tej chwili serce chłopca zaczęło zamarzać.*

*Rebecca odeszła tego wieczoru i nigdy nie obejrzała się za siebie. Graham pozostał w oknie, przyglądając się, jak odjeżdżała. Było mu niedobrze, gdy próbował zrozumieć, jak ktokolwiek mógł być przy nim od tak dawna, po czym po prostu sobie odejść.*

*Wpatrywał się w pokrytą śniegiem drogę. Nie spuszczał z oka wciąż widniejących na ulicy śladów opon.*

*W jego głowie powtarzały się echem trzy słowa.*

*Proszę, nie odchodź.*

## ROZDZIAŁ 22

### LUCY

Gdy wrócił do poczekalni, miał napuchnięte oczy. Karla i Susie poszły po kawę. Graham uśmiechnął się słabo do Mary i przytulił ją pospiesznie, nim żona poszła do męża.

– Hej. – Wstałam i pospieszyłam do niego. – Dobrze się czujesz?

Skrzywił się, stojąc niezachwianie, choć jego oczy zdradzały cierpienie.

– Jeśli coś mu się stanie... – Przełknął z trudem ślinę i zwiesił głowę. – Jeśli go stracę...

Nie dałam mu szansy, by dokończył. Objęłam go mocno, gdy zaczął się trząść. Po raz pierwszy pozwolił sobie odczuwać, pozwolił sobie cierpieć, a ja trwałam przy nim.

– Co mogę zrobić? – zapytałam, ściskając go jeszcze mocniej. – Powiedz, co mam zrobić.

Oparł czoło o moje i zamknął oczy.

– Nie puszczaj. Jeśli mnie puścisz, ucieknę. Pozwolę, by mnie to przytłoczyło. Proszę, Lucille, nie puszczaj.

Tuliłam go przez kilka minut, które zdawały się ciągnąć godzinami. Mówiłam mu cicho do ucha:

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie, napełnij mnie duchu... – powtarzałam te słowa, czując, że przytłaczają go emocje. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że upadnie, mocniej mnie ścisnął. Ja również nie wypuszczałam go z objęć.

Chwilę później śpiąca w nosidełku Talon obudziła się i zaczęła marudzić. Graham puścił mnie bardzo powoli i podszedł do córki. Kiedy mała spojrzała mu w oczy, przestała popłakiwać, a jej twarzyczka rozpogodziła się, jakby dziewczynka zobaczyła najwspanialszego człowieka na świecie. Jej spojrzenie przepełniała miłość i wtedy to zobaczyłam – ulgę, jaką podarowała swojemu tacie. Graham wziął córkę na ręce i przytulił ją mocno. Mała złapała go za policzki i zaczęła gaworzyć, wydając dziwne dźwięki w połączeniu z olśniewającym uśmiechem, na który mężczyzna odpowiedział w ten sam sposób.

W tej właśnie chwili, w tym ułamku sekundy, Graham przestał cierpieć.

Talon napełniła jego serce miłością, tą samą, w którą niegdyś nie wierzył.

W tym momencie zdawało się, że wszystko było w porządku.

\*\*\*

Mary postanowiła poczekać i zobaczyć, czy stan jej męża się zmieni. Przez kilka tygodni żyła w strachu, a Graham jej nie opuszczał. Przynosił jedzenie, zmuszał, by jadła i kładł ją spać, podczas gdy pragnęła jedynie siedzieć w szpitalnej poczekalni.

Czekając na zmianę stanu Olliego.

Czekając na cud.

Czekając, aż mąż do niej wróci.

Karla zadzwoniła do mnie, gdy nadeszła pora, by podjąć najtrudniejszą decyzję w życiu jej rodziny. Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, światło na korytarzu migalo jak oszalałe, jakby żarówka w każdej chwili miała wyzionąć ducha.

Do sali wszedł ksiądz, gdy wszyscy zgromadziliśmy się przy łóżku Olliego, trzymając się za ręce i przygotowując do pożegnania. Nie byłam pewna, jak ktokolwiek mógłby się pozbierać po takiej stracie. Znałam Olliego przez bardzo krótki czas, mimo to mężczyzna zmienił moje życie na lepsze. Jego serce niezmiennie wypełnione było miłością. Już zawsze miało mi go brakować.

Ksiądz odmówił modlitwę, a następnie zapytał, czy ktoś chciałby coś powiedzieć. Mary nie była w stanie się odezwać. Łzy płynęły

strumieniami po jej policzkach. Karla wtulała się w ramię Susie, a moje usta nie chciały ani drgnąć.

Trzymaliśmy się dzięki Grahamowi. To on stał się naszą siłą. Kiedy słowa popłynęły wprost z jego duszy, serce mocniej mi się ścisnęło.

– Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie, napełnij mnie duchu.

W tej chwili wszystkich nas otoczyła nicość.

W tej chwili wraz z duszą Olliego odeszła cząstka każdego z nas.

## ROZDZIAŁ 23

### GRAHAM

Wszyscy wyszli. Mary, Karla i Susie poszły, by uporać się z przygotowaniami do pogrzebu. Wiedziałem, że powinienem pójść z nimi, ale nie mogłem się ruszyć. Stałem nieruchomo na szpitalnym korytarzu, w którym migało światło. Sala została posprzątana, nastał koniec. Oliver nie żył. Mój profesor. Mój bohater. Mój przyjaciel. Mój ojciec.

Odszedł.

Nie płakałem. W ogóle to do mnie nie docierało.

Jakim cudem mogła to być prawda? Jak mógł zniknąć tak szybko? Jak mógł odejść?

Słyszałem kroki pielęgniarek, które spieszyły się do kolejnych pacjentów, lekarzy badających tych, którzy wciąż jeszcze oddychali, jakby świat właśnie nie przestał się obracać.

– Grahamie.

Jej głos był cichy, przepełniony smutkiem i bólem. Nie spojrzałem na nią, ponieważ moja głowa automatycznie obróciłaby się w stronę pomieszczenia, w którym właśnie wypowiedziałem ostateczne pożegnanie.

– Miał rację – szepnąłem drżącym głosem. – Gdybym wiedział o jego problemach z sercem, gdybym wiedział, że w każdej chwili może umrzeć, uciekłbym. Wykazałbym się egoizmem i porzucił go, bo zamknąłbym się w sobie i się wycofał. Nie poradziłbym sobie z jego umieraniem. Okazałbym się tchórzem.

– Byłeś przy nim – powiedziała. – Zawsze przy nim byłeś. Nie było w tobie tchórzostwa, Grahamie.

– Ale mógłbym nakłonić go do operacji – spierałem się. – Mógłbym go przekonać do walki – urwałem. Przez chwilę czułem się, jakbym się unosił, jakbym przestał być częścią świata. Popadałem w niedowierzanie, zaprzeczenie i poczucie winy.

Lucy rozchyliła usta, jakby zamierzała mnie pocieszyć, ale milczała. Byłem pewien, że żadne słowa nie sprawią, że sytuacja stanie się znośniejsza.

Staliśmy nieruchomo, patrząc w głąb pustej sali, a świat kręcił się wokół nas.

Zacząłem drżeć. Ręce trzęsły mi się niekontrolowanie, serce galopowało w piersi. *Odszedł. On naprawdę odszedł.*

Lucy szepnęła:

– Jeśli musisz upaść, upadnij na mnie.

Sekundę później pokonała mnie grawitacja. Odczucie unoszenia się przeminęło, a wraz z nim odeszła moja siła. Zacząłem spadać, coraz szybciej szybując w dół, spodziewając się uderzenia. Ale czekała na mnie Lucy.

Stała tuż obok.

Złapała mnie, nim rozbiłem się o ziemię.

Lucy stała się moją siłą, kiedy już nie umiałem być dzielny.

\*\*\*

– Talon w końcu zasnęła, choć nie poddała się bez walki. – Powieki Lucy opadały. Kobieta musiała opierać się niesamowitemu wyczerpaniu. – Jak się czujesz? – zapytała, podpierając futrynę w moim gabinecie.

Od ponad godziny siedziałem za biurkiem, gapiąc się w migający kursor na ekranie. Chciałem pisać, chciałem uciec, ale po raz pierwszy w życiu nie mogłem znaleźć słów. Lucy zbliżyła się i położyła ręce na moich ramionach. Zaczęła masować moje łopatki, a mi spodobał się jej dotyk.

– To był długi dzień – szepnąłem.

– To był bardzo długi dzień.

Spojrzałem za okno, obserwując padający deszcz. Nieprzerwana



struga wody lała się po moim domu. Profesor Oliver przewróciłby oczami na zbieżność deszczu z dniem jego śmierci. Co za banał.

Wyłączyłem komputer.

I tak żadne słowa nie miały się pojawić w mojej głowie.

– Musisz się przespać – powiedziała Lucy. Nie chciałem się spierać. Kiedy wyciągnęła do mnie ręce, podałem jej swoje. Pomogła mi wstać i zaprowadziła do sypialni, żebym zamknął oczy i odpoczął.

– Przynieść ci wodę? Jedzenie? Cokolwiek? – zapytała z troską.

– Miałbym prośbę.

– Tak? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zostań ze mną. Dziś po prostu... – urwałem i przygryzłem wewnątrz policzka, by powstrzymać napływające emocje. – Nie sądzę, bym poradził dziś sobie sam. Wiem, że to dziwaczna prośba i oczywiście możesz odmówić, ale... – Wziąłem głęboki wdech i włożyłem ręce do kieszeni eleganckich spodni. – Chyba nie poradzę sobie dziś sam.

Nie odpowiedziała. Podeszła po prostu do łóżka, odsunęła koc i się położyła. Poklepała miejsce obok siebie, więc podszedłem i również się położyłem. Nasze dłonie przesunęły się powoli ku sobie. Zamknąłem oczy, a łzy spłynęły mi po policzkach. Kiedy nasze place się splotły, ciepło Lucy powoli wypełniło moje zimne serce. Po chwili kobieta przysunęła się bliżej. Objąłem ją, przytuliłem i pozwoliłem, by ogarnął mnie sen.

Och, jakże mocno potrzebowałem, by ktoś został ze mną tej nocy.

Byłem wdzięczny, że miałem Lucy.

## ROZDZIAŁ 24

### LUCY

Na pogrzebie Olliego nie było tylu ludzi, ilu przyszło na ostatni pogrzeb, w którym brałam udział. Uroczystość nie była podobna do tej Kenta. Staliśmy na otwartym polu, otoczeni naturą, w miejscu, gdzie wiele lat temu Ollie oświadczył się Mary. Kobieta powiedziała, że tego dnia rozpoczęło się jej życie, więc wydawało jej się słuszne, by wrócić do tego miejsca i poczuć miłość, jaką wtedy odczuwała.

Cóż to była za miłość. Tak wielu studentów, kolegów i przyjaciół przyszło, żeby ją okazać. Mimo że nie przybyli reporterzy, fotografowie czy fani, miejsce to przepełniała najistotniejsza rzecz na świecie: miłość.

Wszyscy starali się pocieszać Mary i Karłę, więc obie kobiety nie były same. W miarę przebiegu uroczystości pożegnalnej pojawiły się łzy, śmiech i wspomnienia wypełnione światłem i miłością. Piękny hołd złożony idealnemu człowiekowi.

Kiedy kapłan zapytał, czy ktoś zechciałby coś powiedzieć, Graham natychmiast poderwał się z krzesła. Spojrzał mi w oczy, podając Talon.

– Mowa pożegnalna? – zapytałam szeptem. Serce biło mi jak oszalałe, bo wiedziałam, że było to trudne dla Grahama.

– Tak. – Skinął głową. – Choć może nie być zbyt dobra.

Powoli pokręciłam głową, chwyciłam go za rękę i ścisnęłam lekko.

– Będzie perfekcyjna.

Każdy jego krok w stronę mównicy był powolny i kontrolowany. Graham zawsze wszystko miał pod kontrolą. Za każdym razem stał wyprostowany i nigdy się nie wahał. Wpatrywałam się w niego ze ściśniętym żołądkiem, gdy zauważyłam, że lekko się potknął. Stanął jednak na podwyższeniu i skupił się na swoim zadaniu.

Wszyscy milczeli, wpatrując się w niego. Wiatr niósł za sobą woń bzu i jaśminu. Ziemia wciąż była mokra od nieustannie padającego przez kilka dni deszczu, więc kiedy wiał lekki wietrzyk, czuć było wilgoć.

Nie spuszczałam Grahama z oczu. Przyglądałam się ukochanemu mężczyźnie, gdy ten przygotowywał się, by pożegnać człowieka, który jako pierwszy nauczył go, jak powinna wyglądać miłość.

Graham odchrząknął i poluzował czarny krawat. Rozchylił usta, spojrzał na kartkę, która zapisana została mnóstwem słów. Ponownie odchrząknął, a następnie zaczął mówić:

– Profesor Oliver był... – Głos mu się załamał, więc spuścił głowę. – Profesor Oliver... – Zaciśnął dłonie na mównicy. – To nie w porządku. Widzicie, napisałem tę długą mowę o Oliverze. Spędziłem wiele godzin na poprawianiu jej, ale szczerze mówiąc, gdybym mu ją pokazał, stwierdziłby, że to gówno.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Jestem przekonany, że wielu z was było jego studentami, więc wszyscy wiecie, że profesor surowo oceniał prace. To właśnie od niego dostałem pierwszą pałę, a kiedy poszedłem do profesora, by się o to wyklócać, spojrzał na mnie, ściszył głos i powiedział: „Serce”. Nie miałem zielonego pojęcia, co miał na myśli, jednak uśmiechnął się lekko i powtórzył: „Serce”. Dopiero później uświadomiłem sobie, że tego właśnie brakowało w moim tekście. Zanim zaczął mnie uczyć, nie miałem pojęcia, jak włożyć serce w historię, ale profesor poświęcił swój czas, by mi pokazać, jak powinno to wyglądać. Pokazał mi, co to serce, pasja, miłość. Był w tym najwspanialszym nauczycielem. – Mężczyzna wziął swoją kartkę i ją podarł. – I gdyby miał oceniać tę mowę, z pewnością bym oblał. Miałem mówić o jego osiągnięciach, o jego karierze. O tym, że był wspaniałym wykładowcą, że jego talentu dowodziła

niezliczona ilość nagród, ale to wszystko wodolejstwo.

Graham zaśmiał się, podobnie jak studenci, którzy znali profesora.

– Wszyscy wiemy, że Oliver nie znosił wodolejstwa. „Dodawajcie do historii mięśni, nie tłuszczu”, mawiał. Zatem skorzystam z tej rady i skupię się na najsilniejszych mięśniach i dodam serce. Opowiem wam, kim tak naprawdę był profesor Oliver. Człowiek ten kochał całym sobą. Kochał żonę i córkę, kochał pracę, swoich studentów i ich umysły. Oliver kochał świat. Kochał jego wady, pomyłki i blizny. Wierzył w piękno bólu i chwałę lepszego jutra. Sam był definicją miłości i przez całe życie starał się przekazać tę miłość tylu osobom, ilu tylko zdołał. Pamiętam, że na drugim roku znów byłem na niego zły. Dał mi kolejną pałę, co bardzo mnie zdenerwowało. Pomaszerowałem do niego, wpadłem do jego gabinetu nieproszony, ale gdy miałem zacząć się wydzierać, zamarłem. Zobaczyłem, jak siedział za biurkiem z twarzą ukrytą w dłoniach i płakał.

Żołądek kurczył mi się coraz bardziej, gdy słuchałam opowieści Grahama. Mężczyzna przygarbił się, próbując trzymać się mównicy.

– Nie radzę sobie w takich sytuacjach. Nie potrafię pocieszać. Nie umiem mówić właściwych rzeczy. To zadanie należało do niego. Usiadłem wtedy. Siedziałem naprzeciw niego, gdy szlochał. Siedziałem i czekałem, pozwalając mu rozpaczać nad rozpadającym się światem, aż w końcu był w stanie opowiedzieć, co tak bardzo go dotknęło. Był to dzień, w którym jeden z jego byłych uczniów popełnił samobójstwo. Nie widział tego człowieka od lat, ale doskonale go pamiętał: jego wesołość, jego smutek, jego siłę. A kiedy dowiedział się, że ów człowiek nie żyje, pękło mu serce. Spojrzał na mnie i powiedział: „Świat jest dziś nieco mroczniejszy, Grahamie”. Następnie otarł oczy i dodał: „Ale mimo wszystko muszę wierzyć, że jutro zaświeci słońce”.

Po policzkach Grahama popłynęły łzy. Mężczyzna wziął głęboki wdech, żeby móc mówić dalej. Następnie zwrócił się bezpośrednio do rodziny Olliego:

– Mary, Karlo, Susie, zarabiam na życie, opowiadając historie, ale nie jestem dobry w słowach – wyznał cicho. – Nie wiem, co powiedzieć, aby ta sytuacja nabrała sensu. Nie mam pojęcia, jakie znaczenie ma życie ani dlaczego przerywa je śmierć. Nie wiem, dlaczego Ollie został nam odebrany i nie wiem, jak was okłamać i powiedzieć, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Wiem jedynie, że go kochałem, a on kochał was z całego serca. Może kiedyś wiedza ta wystarczy wam, by przetrwać każdy dzień. Może kiedyś ta wiedza da wam spokój. To normalne, jeśli nie nastąpi to dzisiaj, tak jak ja dziś tego nie czuję. Nie ma we mnie spokoju. Czuję się oszukany, skrzywdzony i samotny. Nikt nigdy nie był dla mnie przykładem, nikt nie nauczył mnie, jak być mężczyzną do chwili, w której nie poznałem profesora Olivera. Był najlepszym ze znanych mi ludzi, najlepszym przyjacielem, jakiego miałem, a ponieważ odszedł, świat jest dziś o wiele mroczniejszym miejscem. Ollie był moim ojcem – powiedział Graham, nie powstrzymując łez. Odetchnął głęboko i dokończył: – A ja na zawsze pozostanę jego synem.

\*\*\*

Przez kilka ostatnich nocy dzieliłam łóżko z Grahamem, który był o wiele spokojniejszy, gdy nie był sam, a ja pragnęłam, by odnalazł choć namiastkę spokoju. Maj był mokry, ciągle padało, a dudnienie kropel stało się muzyką kołyszącą nas do snu.

W nocy z soboty na niedzielę obudziłam się nagle, ponieważ zaczęło grzmieć. Gdy obróciłam się w łóżku, zobaczyłam, że było puste. Wstałam i poszłam sprawdzić, czy Graham był z Talon, ale gdy dotarłam do jej pokoju, zobaczyłam, że mała spała spokojnie.

Obeszłam dom, lecz dopiero kiedy weszłam do salonu, zobaczyłam go w ogrodzie. Natychmiast założyłam kalosze, wzięłam parasol i wyszłam na zewnątrz. Mężczyzna był przemoknięty do suchej nitki, a w rękach trzymał łopatę.

– Grahamie! – zawołałam, zastanawiając się, co robił. Zobaczyłam drzewo oparte o szopkę. Wyraźnie czekało na zasadzenie.

*Drzewo Olliego.*

Graham nie spojrzał na mnie. Nie byłam pewna, czy w ogóle

usłyszał mój głos. Pogłębiał dziurę w ziemi, by móc zasadzić drzewo. Zabolał mnie jego widok – takiego przemokniętego, kapiącego coraz głębiej i głębiej. Podeszłam do niego z parasolem i ostrożnie dotknęłam jego ramienia.

Obrócił się do mnie zaskoczony, a ja spojrzałam mu w oczy.

*Prawda zawsze widoczna jest w oczach*, powiedział mi kiedyś Ollie.

Tej nocy ją dostrzegłam – zobaczyłam, jak bardzo Graham był załamany. Jego serce pękało nieustannie, z minuty na minutę, z sekundy na sekundę, więc zrobiłam pierwszą rzecz, która przysłała mi do głowy.

Odłożyłam parasol, wzięłam drugą łopatę i zaczęłam kopać obok.

Nie padły żadne słowa – nie były konieczne. Z każdą łopatą odrzucanej na bok ziemi, braliśmy wdech, by uczcić życie Olliego. Kiedy dziura była już wystarczająco duża, pomogłam Grahamowi przenieść drzewo, umiejscowić je odpowiednio i zasypać.

Graham usiadł na błocie, choć deszcz nie przestawał na nas padać. Usiadłam więc obok, a on ugiął kolana i położył na nich dłonie, łącząc palce. Siedziałam po turecku z rękami na udach.

– Lucille? – szepnął.

– Tak?

– Dziękuję.

– Proszę.

## ROZDZIAŁ 25

### GRAHAM

– Lucille? – zawołałem z gabinetu późnym popołudniem. Przez ostatnie tygodnie zmuszałem się do siedzenia za biurkiem i pisania. Wiedziałem, że tego chciałby ode mnie profesor Oliver. Pragnąłby, żebym nie ustawał w wysiłkach.

– Tak? – zapytała, stając w drzwiach.

Moje serce zgubiło rytm. Lucy wyglądała na wyczerpaną – była nieumalowana, miała zmierzwiłone włosy i stanowiła absolutnie wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem.

– Muszę wysłać kilka rozdziałów do redakcji, a w normalnej sytuacji profesor Oliver wcześniej je czytał, ale... – Skrzywiłem się. – Może ty mogłabyś rzucić na nie okiem?

Spojrzała z entuzjazmem i uśmiechnęła się szeroko.

– Żartujesz? Oczywiście. Daj, spojrzę na nie.

Przekazałem jej kartki, a ona usiadła naprzeciw mnie. Skrzyżowała nogi i zaczęła czytać, wchłaniając moje słowa. Kiedy jej spojrzenie skupiało się na papierze, moje spoczywało na niej. Czasami w nocy zastanawiałem się, co bym bez niej począł. Zastanawiałem się, jak przetrwałbym bez tej świrniętej hipiski.

Nie wiedziałem, w jaki sposób przeżyłem tak długo, nie mówiąc jej, że jest jedną z moich ulubionych osób na całym świecie.

Lucy Palmer ocaliła mnie, wyciągnęła z mroku, za co nigdy nie będę w stanie wystarczająco jej podziękować.

Po jakimś czasie jej oczy wypełniły się łzami i przygryzła dolną

wargę.

– Wow – szepnęła do siebie, przerzucając strony. Bardzo się koncentrowała, niespiesznie czytając moje słowa. – Wow – mruknęła ponownie. Kiedy skończyła, położyła kartki na kolanach i pokręciła nieznacznie głową. Spojrzała na mnie i powiedziała: – Wow.

– Nie podoba ci się? – zapytałem, krzyżując ręce na piersi.

– Historia jest idealna. Absolutnie perfekcyjna.

– Coś byś zmieniła?

– Ani słowa. Ollie byłby dumny.

Westchnąłem lekko.

– Dobrze. Dziękuję. – Wstała i podeszła do drzwi, ale zawołałem za nią: – Może chciałabyś towarzyszyć mi na ślubie Karli i Susie?

Uśmiechnęła się delikatnie i wzruszyła lewym ramieniem.

– Czekałam, aż mnie zaprosisz.

– Nie byłem pewien, czybyś chciała. To znaczy... to chyba dziwne zabierać na ślub przyjaciółkę.

Ściszyła głos, a w jej czekoladowych oczach pojawił się niewielki smutek.

– Och, Herbatniku Grahamku – powiedziała miękko. Jej głos był tak cichy, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wymyśliłem sobie tych słów. – Co bym dała, by być kimś więcej.

\*\*\*

W dzień ślubu czekałem w salonie, aż Lucy przyszykuje się w swoim pokoju. Niecierpliwiłem się nieco, a kiedy w końcu się pojawiła, wyglądała lepiej, niż mógłbym przypuszczać. Była cudowna. Włożyła jasnoniebieską długą suknię, we włosy natomiast wplotła drobny biały łyszczec.

Usta pomalowała na różowo, podkreślając swoje piękno.

Z każdą sekundą, gdy na nią patrzyłem, coraz bardziej się w niej zakochiwałem.

Trzymała Talon, a ponieważ moja córka – moje serce – uwielbiała tę kobietę, zakochałem się jeszcze bardziej.

Nie powinniśmy się zbliżać.

Nie powinniśmy się kochać.



Mimo to grawitacja znalazła sposób, by nas do siebie przyciągnąć.  
– Pięknie wyglądasz – powiedziałem, wstając z kanapy i poprawiając garnitur.

– Sam nie wyglądasz źle. – Uśmiechnęła się, podchodząc do mnie.

– Tiatia – powiedziała Talon, wyciągając do mnie rączki. Za każdym razem, gdy się odzywała, moje serce rosło. – Tiatiatia...

Nie podejrzewałem nawet, że miłość może być tak prawdziwa.

Wziąłem małą na ręce i pocałowałem w czołko. Odpowiedziała całusem. Lucy zbliżyła się i poprawiła mi muchę, którą wcześniej wybrała. Skompletowała cały mój strój. Stwierdziła, że moja garderoba zawiera zbyt wiele czarnych rzeczy, więc zmusiła mnie, bym wyszedł ze swojej strefy komfortu i kupił jasnoszary garnitur w komplecie z jasnoniebieską muchą w kropki.

W drodze na ceremonię pojechaliśmy do domu pracownicy Lucy, Chrissy. Kobieta zaoferowała, że popilnuje Talon, choć nieco mnie to martwiło. Córka nie spędzała czasu z nikim prócz mnie czy Lucy. Lucy jednak zapewniła, że ufa kobiecie, więc w zamian ja zaufałem jej.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, masz nasze numery – powiedziałem Chrissy, podając jej córkę, która początkowo wyglądała na onieśmioną.

– Nie przejmujcie się, będziemy się świetnie bawić. Martwcie się tylko o własny, mile spędzony wieczór. Wykorzystajcie każdą chwilę.

Uśmiechnąłem się sztywno i po raz ostatni pocałowałem dziecko w czoło.

– O, Grahamie? Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca. Profesor Oliver był wspaniałym człowiekiem – powiedziała kobieta.

Podziękowałem jej za dobre słowo, a Lucy wzięła mnie za rękę i ścisnęła lekko.

Kiedy szliśmy do samochodu, zwróciłem się do niej:

– Powiedziałaś jej, że był moim ojcem? – zapytałem.

– Oczywiście. Przecież był twoim tatą, a ty jego synem.

Przełknąłem z trudem ślinę, otworzyłem drzwi i pomogłem jej wsiąść do auta. Kiedy zajęła miejsce, przez chwilę nie zamykałem

drzwi.

– Lucille?

– Tak?

– Sprawiasz, że świat jest mniej mroczny.

\*\*\*

Przyjechaliśmy dziesięć minut przed rozpoczęciem ceremonii. Usiedliśmy w środkowym rzędzie ławek, na skraju przejścia. Pomieszczenie udekorowane zostało pięknymi kwiatami, które Lucy przygotowała samodzielnie, po czym dostarczyła je tego ranka na uroczystość. Była najlepsza w tworzeniu cudownych chwil. Wszyscy wstali, gdy jako pierwsza weszła Susie, prowadzona przez ojca. Uśmiechała się szeroko. Ubrana była w cudowną białą suknię. Następnie melodia się zmieniła i w drzwiach pojawiła się Karla. Wyglądała jak anioł, trzymała w rękach bukiet z różowych i białych róż. Jej suknia była bez skazy, ale dziewczyna nie szła płynnie. Z każdym stawianym przez nią krokiem widziałem kamień ciężący na jej sercu – brakowało jej ojca, mężczyzny, który w najszczęśliwszy dzień jej życia miał prowadzić ją do ślubu.

W połowie przejścia zatrzymała się, zakryła dłonią usta i zaczęła szlochać, ponieważ przytłoczył ją ból. Natychmiast stanąłem przy niej. Objąłem ją, pochyliłem się i szepnąłem jej do ucha:

– Jestem przy tobie, Karla. Nie jesteś sama.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach widać było okruchy rozbitej duszy. Przez chwilę szlochała, więc ją tuliłem. Kiedy się pozbierała, wziąłem ją pod rękę i poprowadziłem.

Dotarliśmy na miejsce, więc uśmiechnęła się szeroko. Susie spojrzała mi w oczy i podziękowała bezgłośnie. Skinąłem jej krótko głową.

– Kto oddaje tę piękną pannę młodą? – zapytał urzędnik.

Wyprostowałem się i patrząc na Karłę, odparłem:

– Ja. – Otarłem jej łzy i uśmiechnąłem się. – Całym sercem, ja.

Karla uściskała mnie mocno, na co odpowiedziałem w ten sam sposób. Szepnęła:

– Dziękuję, bracie.

– Proszę, siostro.

Wróciłem na miejsce i usiadłem obok Lucy. Po jej policzkach ciekły łzy. Spojrzała na mnie i obdarowała najwspanialszym uśmiechem, jaki w życiu widziałem. Rozchyliła usta i powiedziała cicho:

– Kocham cię. – I obróciła się, by być świadkiem ceremonii.

W tej właśnie chwili moje serce napełniło się ogromem miłości, choć nie sądziłem, że to w ogóle możliwe.

*Ponieważ serca mają tę cudowną moc, że kiedy myślisz, że są pełne, w jakiś magiczny sposób robi się w nich miejsce i udaje ci się tam zmieścić jeszcze więcej miłości.*

Kochanie Lucy Hope Palmer nie było moją decyzją. Było moim przeznaczeniem.

\*\*\*

Dalsza część ceremonii przebiegła sprawnie. Wieczór wypełniony był miłością, śmiechem, światłem oraz tańcem. Było wiele tańca.

Kiedy rozbrzmiała wolna melodia, podeszła do mnie Mary i wyciągnęła rękę, prosząc, bym z nią zatańczył. Wstałem i zaprowadziłem ją na parkiet. Gdy położyła dłoń na moim ramieniu, zaczęliśmy się kołysać.

– To, co zrobiłeś dla Karli... Nigdy nie będę w stanie się odwdziżyć – powiedziała kobieta, a łza spłynęła po jej policzku.

Pochyliłem się i scałowałem ją, nim skapnęła na podłogę.

– Dla was wszystko, moje panie. Jestem dla was, Mary. I zawsze będę.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Zawsze chciałam mieć syna.

– A ja zawsze chciałem mieć mamę.

Gdy tańczyliśmy, położyła mi głowę na ramieniu, pozwalając się prowadzić.

– To, jak na nią patrzysz – stwierdziła, mając na myśli Lucy. – I to, jak ona patrzy na ciebie...

– Wiem.

– Otwórz się przed nią, mój drogi. Tak jak Ollie mnie, tak ona tobie pokazuje, jak być kompletnym, więc nie powinieneś odsuwać się od tej miłości. Zapewne myślisz o milionie powodów, dlaczego to

nie może być możliwe, ale potrzebujesz tylko jednego, dla którego może się to udać. Tym powodem jest miłość.

Wiedziałem, że jeśli chodziło o Lucy i o miłość, miała rację.

Gdyby miłość dało się spersonifikować, powstałaby Lucy.

Po zakończonej piosence Mary pocałowała mnie w policzek i rzekła:

– Powiedz jej. Opowiedz o wszystkim, co cię przeraża, co cię ekscytuje, co cię wzrusza. Opowiedz o tym wszystkim, otwórz się przed nią. Przyrzekam, że będzie warto.

Podziękowałem jej z westchnieniem, a kiedy się obróciłem, zauważyłem, że Lucy kończy tańczyć z jakimś starszym jegomościem. Usłyszałem w myślach głos profesora Olivera, a w sercu poczułem ciepło.

*Bądź dzielny, Grahamie.*

Spotkaliśmy się przy stole, gdy Lucy zajęła miejsce, tryskając wesołością. Wydawało się, że ta dziewczyna nie potrafi być nieszczęśliwa.

– Dziękuję za zaproszenie mnie tutaj, Grahamie. To było...

Przerwałem jej. Nie było mowy, bym poczekał choćby chwilę. Nie mogłem zmarnować kolejnej sekundy, gdy moje wargi nie były na jej ustach. Zaatakowałem ją swoimi ustami, a gdy oddała pocałunek, zakręciło mi się w głowie. Poczułem, jak cała jej istota otula moją duszę, pochłaniając mnie i zmieniając w lepszego człowieka, choć nie sądziłem, że to w ogóle możliwe. Umarłem wielokrotnie, zanim dałem życiu szansę, a pierwszego tchu nowego istnienia zaczerpnąłem z jej ust.

Kiedy się nieco odsunąłem, pozostawiłem ręce na jej szyi, delikatnie głaszcząc palcami jej skórę.

– To ty – szepnąłem, a nasze usta nadal lekko się muskały. – Moją największą nadzieją jesteś ty i zawsze nią będziesz.

Odpowiedziała pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ 26

### LUCY

Nie wiedzieliśmy, jak się zachowywać po tym pocałunku. Nasza sytuacja nie była normalna, jeśli chodziło o budowanie związku. Wszystko robiliśmy na opak. Zakochałam się w chłopcu, jeszcze zanim mnie pocałował, a on zakochał się w dziewczynie, której nie mógł mieć. Dzięki temu połączeniu nasze serca pasowały do siebie w naszym bajkowym świecie, ale w rzeczywistości społeczeństwo uważało naszą relację za koszmarny wypadek.

Może to był wypadek – błąd.

Może nasze ścieżki nigdy nie powinny się przeciąć.

Może Graham miał być dla mnie tylko lekcją, a nie stałym elementem życia.

Mimo to sposób, w jaki mnie pocałował...

Odczuwałam tę pieśczętę jak zderzenie nieba i piekła. Każda decyzja była jednocześnie dobra i zła. Całowaliśmy się, jakbyśmy jednocześnie popełniali błąd i podejmowali najlepszą decyzję. Jego usta sprawiły, że poszybowałam wysoko, jednocześnie spadając coraz niżej. Jego oddech sprawił, że moje serce przyspieszyło i równocześnie się zatrzymało.

W tym jednym pocałunku nasza miłość okazała się zarówno dobra, jak i zła.

Częściowo wiedziałam, że powinnam tego żałować, ale sposób, w jaki jego wargi rozgrzały zimne cienie mojej duszy... Sposób, w jaki mnie nazaczył...

Nigdy nie mogłabym żałować, że go znalazłam i zatrzymałam, nawet jeśli na jedną małą sekundę.

Zawsze wart będzie tych wspólnych sekund.

Zawsze wart będzie połączenia dusz, gdy zderzyły się nasze usta.

Zawsze wart będzie nocy pełnych marzeń, by być blisko siebie.

Dla mnie zawsze będzie tego wart.

Czasami gdy nasze serce pragnęło grubej książki, świat dawał nam tylko małą nowelkę. Gdy chcieliśmy wieczności, dostawaliśmy jedynie sekundy.

A wszystko, co mogłam zrobić, wszystko, co ktokolwiek mógł zrobić, to sprawić, by każda chwila była znacząca.

Po powrocie do domu w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. W następnym tygodniu także. Skupiłam całą uwagę na Talon, Graham z kolei pracował nad książką. Wierzyłam, że oboje czekaliśmy na właściwy moment, by o tym porozmawiać, jednak czas był na tyle podstępny, że ta chwila nie nadchodziła.

Czasami trzeba było skoczyć i mieć nadzieję, że się nie upadnie.

Na szczęście Graham w ciepłe sobotnie popołudnie postanowił to zrobić.

– Był dobry, prawda? – zapytał, zaskakując mnie pytaniem, gdy zmieniałam Talon pieluchę.

Obróciłam się nieznacznie i zobaczyłam, że stoi w drzwiach pokoju małej, patrząc na mnie.

– Co było dobre? – zapytałam, kończąc zaklejać paski.

– Pocałunek. Myślisz, że był dobry?

Pierś mi się ścisnęła. Wzięłam Talon na rękę i odchrząknęłam.

– Tak, był dobry. Cudowny.

Graham przytaknął i podszedł do mnie. Z każdym jego krokiem moje serce coraz bardziej się niecierpliwiło.

– I co jeszcze? Co o tym sądzisz?

– Tak naprawdę? – szepnęłam.

– Naprawdę.

– Myślałam, że byłam już zakochana. Sądziłam, że wiem, czym jest miłość. Uważałam, że rozumiem świat, jego kształt, krzywe i kąty, ale wtedy mnie pocałowałeś.

– I?

Przełknęłam z trudem ślinę.

– I zdałam sobie sprawę, że byłeś pierwszym i jedynym, który sprawił, że moje serce ożyło.

Przyglądał mi się z wahaniem.

– Ale? – zapytał, przysuwając się. Wsadził ręce do kieszeni i przygryzł dolną wargę, po czym ponownie się odezwał: – Wiem, że jest jakieś „ale”. Widzę to w twoich oczach.

– Ale... to moja siostra.

Skrzywił się.

– Jane.

Przytaknęłam.

– Lyric.

– Więc uważasz, że my nigdy...? Ty i ja? – Ból w jego spojrzeniu złamał mi serce.

– Uważam, że społeczeństwo miałoby na ten temat wiele do powiedzenia. O to najbardziej się martwię.

Znalazł się jeszcze bliżej mnie. Na tyle blisko, że znów mógł mnie pocałować.

– A niby odkąd to przejmujesz się tym, co ma do powiedzenia społeczeństwo, moja świrnięta hipisko?

Zarumieniłam się i założyłam włosy za ucho.

– Nie będzie łatwo. Może być bardzo trudno, dziwnie i niestandardowo, ale przyrzekam, że jeśli dasz mi szansę, jeśli dasz mi kilka chwil, sprawię, że będą warte poświęconego mi czasu. Zgódź się.

Milczałam przez chwilę, a następnie rozchyliłam wargi.

– Zgadzam się.

– Chciałbym zabrać cię na randkę. Jutro. Chcę, byś włożyła swój ulubiony strój i wyszła ze mną.

Roześmiałam się.

– Jesteś pewien? Mój ulubiony strój zawiera paski, kropki i milion barw.

– Nie spodziewałem się niczego innego. – Uśmiechnął się.

*Boże. Ten uśmiech. Co on ze mną wyprawiał?*

Posadziłam Talon na podłodze, by mogła poraczkować dookoła.

– Lucille?

– Tak?

– Masz kupę na policzku.

Wytrzeszczyłam oczy z przerażeniem, a następnie wzięłam moką chusteczkę, podeszłam do lustra i umyłam twarz. Spojrzałam na Grahama, który uśmiechał się łobuzersko, a moje policzki nie chciały przestać się czerwienić. Skrzyżowałam ręce na piersiach i zmrużyłam oczy.

– Zaprosiłeś mnie na randkę w momencie, gdy miałam kupę na policzku?

Przytaknął bez wahania.

– Tak. To był tylko niewielki kawałek kupy. Nie zmienia to faktu, że cię kocham i chcę cię zabrać na randkę.

– Co? Chwila. Co? Powtórz... – Moje serce gnało jak oszalałe i kręciło mi się w głowie.

– To, że chcę cię zabrać na randkę?

– Nie, to wcześniej.

– To o kupce?

Machnęłam ręką.

– Nie, nie. To później. To o tym, że...

– Że cię kocham?

I znów moje serce mocniej zabiło i zawirowało mi w głowie.

– Kochasz mnie?

– Każdą cząstką swojej duszy.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, przeszła przede mną Talon. W tej samej chwili popatrzyliśmy na nią z Grahamem, otwierając szeroko oczy.

– Czy ona...? – zapytałam.

– Chyba tak... – odparł.

Graham wziął córeczkę na ręce i mogłabym przysiąc, że jego uśmiech rozświetlił cały dom.

– Zrobiła pierwsze kroki! – cieszył się, obracając się z córką i całując ją raz po raz, przez co miała chichotała. – Właśnie postawiłaś swoje pierwsze krociki!



Oboje zaczęliśmy podskakiwać, ciesząc się wraz z dzieckiem, które śmiało się i klaskało. Resztę wieczoru spędziliśmy na podłodze, próbując nakłonić Talon do postawienia kolejnych kroków. Za każdym razem, gdy jej się to udawało, świętowaliśmy, jakby zdobyła złoty medal w biegach. W naszych oczach wygrała olimpiadę.

Ten dzień, kiedy przyglądałam się, jak ukochany mężczyzna z taką łatwością okazywał córce miłość, był najlepszym dniem w moim życiu. Gdy Talon w końcu zasnęła, przenieśliśmy się z Grahamem do sypialni, gdzie tuliliśmy się, dopóki również nas nie zmorzył sen.

– Lucille? – szepnął Graham tuż przy mojej szyi, gdy przywarłam do jego ciepła.

– Tak?

– Nie chcę, by była to prawda, ale wolę cię przygotować. Nastanie zapewne czas, gdy cię zawiodę. Nie będzie to umyślne, ale wydaje mi się, że kiedy dwoje ludzi się kocha, czasami też się zawodzi.

– Tak – zgodziłam się. – Ale jestem na tyle silna, że się podniosę. Przyjdzie też dzień, gdy i ja cię zawiodę.

– Tak. – Ziewnął i mocniej mnie przytulił. – Ale jestem pewien, że będę kochał cię wtedy jeszcze mocniej.

\*\*\*

Następnego dnia wciąż bujałam w obłokach. Wróciłam na ziemię, kiedy przyszłam do pracy. Mari siedziała w gabinecie w kwaciarni, studiując księgi rachunkowe. Na co dzień to ona się nimi zajmowała, podczas gdy ja obsługiwałam klientów. Była w tym dobra, ale gdy tego ranka weszłam do Ogrodów Moneta, mogłam niemalże dostrzec ciężką gradową chmurę nad jej głową.

Wiedziałam, co powiedziałaaby mama, gdyby zobaczyła w tej chwili swoją córkę.

*Znów przesadnie wszystko analizujesz, Mari Joy.*

– O co chodzi? – zapytałam, opierając się o futrynę.

Spojrzała na mnie, zmarszczyła brwi i zapadła się w fotelu.

– To chyba najdłuższe zdanie, jakie do mnie powiedziałaś, odkąd...

– Zesłaś się ze swoim byłym?

– Z moim mężem – poprawiła.

Nie rozmawialiśmy ze sobą, odkąd siostra ponownie zamieszkała z Parkerem. Unikałam rozmowy na jego temat, ponieważ Mari podjęła świadomą decyzję. Siostra zawsze wszystko przesadnie analizowała, ale jeśli już dokonała wyboru, uparcie nie zmieniała zdania. Cokolwiek bym powiedziała, nie skłoniłoby jej to do zostawienia tego potwora, z którym aktualnie dzieliła łożę. Pozostało mi jedynie cierpliwie czekać, po czym pozbierać okruchy jej połamanego serca, gdy on znów ją porzuci.

– O co chodzi? – zapytałam, wskazując dokumenty.

Pokręciła głową.

– O nic. Próbuję jedynie dojść do ładu z cyframi.

– To nie jest „nic” – nie zgodziłam się. Podeszłam do biurka i usiadłam naprzeciw niej. – Masz to spojrzenie.

– Jakie spojrzenie? – zapytała.

– No wiesz, zmartwione.

– O czym ty mówisz? Nie mam żadnego zmartwionego spojrzenia.

Popatrzyłam na nią wymownie, starając się przekazać, że jednak je miała.

Westchnęła.

– Wydaje mi się, że nie stać nas na Chrissy.

– Co? Jest świetna. Właściwie jest dla nas za dobra, jest lepsza niż my razem wzięte. Potrzebujemy jej. Chciałam zagaić, czy nie dać jej podwyżki.

– Chodzi o to, Lucy, że nie mamy z czego dać jej podwyżki. Ledwie wiążemy koniec z końcem. Wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyśmy ją zwolniły.

Zmrużyłam oczy zdezorientowana jej słowami i pewna, że zostały skażone.

– Przemawia przez ciebie Parker?

– Ja przez siebie przemawiam, Lucy. Skończyłam finanse, wiem, co mówię.

– Chrissy kocha tę pracę – odparłam.

Mari wzruszyła lekko ramionami.

– Też ją lubię, ale to interesy, nic osobistego.  
– Teraz mówisz jak Lyric – prychnęłam. – Sam biznes, zero serca.  
– Lyric ma serce, Lucy, jednak nigdy nie potrafiłyście się dogadać.  
Uniosłam brwi zdziwiona, że Mari wstawiła się za naszą najstarszą siostrą.

– Porzuciła swoje dziecko.

– Każdy popełnia błędy.

– Tak. – Zmrużyłam powoli oczy, nadal zdezorientowana. – Ale błędem jest rozlanie mleka, przypalenie pizzy, zapomnienie o rocznicy. Porzucenie dziecka leżącego przez wiele tygodni na intensywnej terapii? Nieobecność, gdy to dziecko w pełni wyzdrowiało? To nie błąd, to świadoma decyzja.

Skrzywiła się.

– Uważam, że twoje zaangażowanie w całą tę sprawę jest trochę dziwne. Przecież w ogóle nie znałaś Grahama, a było jasne, że nie dogadywałyście się z Lyric. Dlaczego to wszystko pogarszasz? To nie ma sensu. To nienormalne.

– Wiesz co? Sama mogłabyś zbliżyć się nieco do Talon. Jest twoją siostrzenicą. W przyszłym tygodniu urządzamy jej pierwsze urodziny... Może gdybyś przyszła, zrozumiałabyś.

– Urządzamy jej urodziny? My? Nie widzisz, że to dziwne? Lucy, to nie jest twoja córka.

– Wiem o tym. Po prostu pomagam Grahamowi...

– Mieszkasz z nim.

– Wyrzuciłaś mnie!

Pokręciła głową.

– Nie wyrzuciłam cię dosłownie i nie posłałam do jego domu. Twoje serce to zrobiło.

– Przestań – powiedziałam, podnosząc głos, ponieważ skurczył mi się żołądek.

Mari spojrzała na mnie znacząco.

– Lucy, wiem, że się w nim zakochałaś.

Zamrugałam, by rozgonić łzy, które groziły wypłynięciem.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Nie masz zielonego pojęcia.

– Popełniasz błąd. Graham był z Lyric, a to twoja siostra –

wyjaśniła Mari. – Wiem, że słuchasz głosu serca, ale to nie w porządku.

Przygryzłam dolną wargę. Poczulałam jak wrze we mnie gniew.

– Tak, bo jesteś mędrcelem w sprawie związków.

– Związków? – syknęła. – Lucy, nie jesteś w związku z Grahamem Russellem. Wiem, że moje słowa cię zabolą, ale rozumiem nastawienie Lyric do ciebie. Jesteś zbyt podobna do mamy. Jesteś wolna, ale wolność może też dusić. Jeśli zechcesz się ustatkować, nie rób tego z nim. On nie jest twój.

Nie wiedziałam, co zrobić. Serce paliło mnie boleśnie. Rozchyliłam usta, by się spierać, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, więc odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Niedługo później znalazłam się na łonie natury. Szłam moim ulubionym szlakiem, oddychając głęboko, aż w końcu zaczęłam biec. Biegłam pośród drzew, pozwalając, by wiatr owiewał moją skórę. Poruszałam się coraz szybciej, próbując uciec od bólu i dezorientacji.

Częściowo nienawidziłam Mari za to, co powiedziała, choć równocześnie nie mogłam się nadziwić, że było w jej słowach więcej niż ziarenko prawdy.

W umyśle odtwarzałam bajkowy świat związku, jaki mógł mnie łączyć z Grahamem. Samolubnie zastanawiałam się, jak to byłoby, gdyby pewnego dnia nasza miłość poprowadziłaby nas do wieczności. Egoistycznie pozwoliłam sobie na pełne odczuwanie.

Byłam marzycielką, zupełnie jak mama, ale choć zawsze to w niej uwielbiałam, powoli zaczynałam dostrzegać też wady takiej postawy. Mama częściej bujała w obłokach, niż chodziła po ziemi, podskakiwała częściej, niż stała nieruchomo, i bez względu na okoliczności nie potrafiła stawić czoła rzeczywistości.

Zatem gdy dopadała ją ta rzeczywistość, mama zawsze była sama. A to mnie przerażało – samotność.

Jednak niemożność bycia z Grahamem i Talon przerażała mnie jeszcze bardziej.

\*\*\*

Kiedy przyjechałam do domu Grahama, nie odważyłam się wejść do środka. Nawet bieg nie pomógł mi uporządkować myśli, więc zamiast wejść, zostałam w ogrodzie, w pobliżu drzewa Olliego. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami, wpatrując się w niewielkie drzewko, które miało przed sobą jeszcze wiele lat życia. Zostałam przy nim przez sekundy, minuty, godziny. Dopiero gdy słońce zaczęło zachodzić, dołączył do mnie Graham. Miał na sobie idealnie skrojony garnitur, w którym wyglądał niesamowicie przystojnie. Czułam się źle, nie idąc z nim na randkę, ale wiedziałam, że z powodu rozszalałych emocji nie byłam na nią gotowa. Mari sprawiła, że miałam w sobie więcej wyrzutów sumienia, niż było w stanie udźwignąć moje serce.

Może byłam naiwna, myśląc o sposobie, w jaki czułam się przy Grahamie... A może byłam głupia.

– Hej – powiedział.

– Hej – odparłam.

Usiadł, spojrział na mnie i powiedział:

– Jesteś smutna.

Skinęłam głową.

– Tak.

– Siedzisz tu od czterech godzin.

– Wiem.

– Chciałem dać ci czas.

– Dziękuję.

Skinął głową

– Ale chyba miałaś go już dość. Zaraz zaczniesz przekonywać samą siebie, że zasługujesz na samotność, a możesz mi wierzyć, że ty, Lucille Hope Palmer, nigdy nie zasłużysz na to, by być sama.

Nie padło więcej słów, ale poczułam się wyraźnie lepiej. Gdyby tylko świat mógł poczuć nasze bijące we wspólnym rytmie serca, może ludzie nie ocenialiby tak surowo tej relacji.

– To okropna pierwsza randka. – Zaśmiałam się nerwowo.

Graham podał mi wyciągniętą z kieszeni paczkę lukrecji.

– Lepiej? – zapytał.

Westchnęłam i otworzyłam słodycze.

– Lepiej.

W jego towarzystwie zawsze czułam się dobrze. Był jak dom.

W tym względzie różniłam się od mamy. Podczas gdy ona nieustannie chciała bujać w obłokach, moje serce pragnęło zostać z Grahamem Russellem.

I po raz pierwszy w życiu desperacko zapragnęłam twardo stąpać na ziemi.

## ROZDZIAŁ 27

### GRAHAM

– Powinnaś do niej zadzwonić – powiedziałem Lucy, gdy chodziła po domu, szukając zajęcia, chcąc odwrócić uwagę od problemów. Od miesięcy rozmawiała z Mari jedynie o sprawach kwiaciarni, ale najwyraźniej kilka dni temu o coś się pokłóciły. Widziałem, że Lucy zżerało to od środka, jednak próbowała przemilczeć całą sprawę.

– To nic. Poradzimy sobie – odparła.

– Kłamczucha.

Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

– Nie musisz skończyć pisać książki czy coś?

Uśmiechnąłem się na tę jej uszczypliwość.

Uwielbiałem to w niej.

Wszystko w niej uwielbiałem.

– Tak tylko mówię. Tęsknisz za nią.

– Nie – odparła, a wyraz jej twarzy dał mi znać, że było wręcz przeciwnie. Przygryzła dolną wargę. – Myślisz, że jest szczęśliwa? Ja tak nie uważam. Nieważne. Nie chcę o tym mówić.

– Luci...

– Ale przecież on porzucił ją dosłownie w najgorszych chwilach. Kto tak robi?! Nieważne, takie jest życie. Skończmy ten temat.

– Dobrze – zgodziłem się.

– Chociaż to potwór! I to nawet nie mały. Nienawidzę go. Jestem wściekła, że Mari wybrała jego, a nie mnie, nie nas. A dziś są pierwsze urodziny Talon i Mari nie przyjdzie! Nie wierzę...

Kurczę! – krzyknęła, biegnąc do kuchni. Pospieszyłem za nią i zobaczyłem, jak wyciąga z piekarnika czekoladowe ciasto, które zdążyło się przypalić. – Nie, nie, nie – jęczała, kładąc je na blacie.

– Oddychaj – poleciłem, stając za nią i kładąc ręce na jej ramionach. Jej oczy wypełniły się łzami, a ja się zaśmiałem. – To tylko ciasto, Lucille. Wszystko jest okej.

– Nie! Nie, nic nie jest okej – powiedziała, odwracając się do mnie. – Miałyśmy zwiedzać Europę. Zaczęłyśmy oszczędzać, gdy zachorowała. Założyłyśmy nawet słoik na „Negatywne Myśli”, do którego za każdym razem, gdy martwiłyśmy się o jej zdrowie, za każdym razem, ilekroć strach brał górę, wrzucałyśmy pieniądze. Już po tygodniu słoik wypełnił się po brzegi, więc musiałyśmy wziąć kolejny. Mari chciała jechać zaraz, gdy dowiedziała się o remisji, ale ja się bałam. Obawiałam się, że może nie być wystarczająco silna, że to zbyt szybko, więc zatrzymałam ją w domu. Niemal ją w nim zamknęłam, bo to ja nie byłam na tyle silna, by wsiaść z nią do samolotu. – Przełknęła z trudem ślinę. – A teraz się do siebie nie odzywamy. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Przyjdzie.

– Zaprosiłam ją na urodziny Talon, ale od tego właśnie rozpoczęła się kłótnia.

– Dlaczego był to dla niej problem?

– Mari... – urwała, po czym wzięła głęboki wdech. – Uważa, że to złe. Ty i ja, Talon. Twierdzi, że to dziwne.

– Bo to jest dziwne – powiedziałem. – Ale to wcale nie oznacza, że nie jest dobre.

– Powiedziała mi, że nie jesteś mój. Powiedziała, że nie powinnam cię kochać.

Nim zdołałem odpowiedzieć, rozbrzmiał dzwonek, więc Lucy odsunęła się ode mnie, a na jej twarzy pojawił się sztuczny uśmiech.

– To nic takiego, naprawdę. Jestem jedynie zdenerwowana i przypaliłam ciasto. Pójdę otworzyć.

Stałem, wpatrując się w ciasto, a następnie wziąłem nóż, by sprawdzić, czy nie da się zeszkrobać spalenizny i w jakiś sposób



uratować wypiek. Lucy potrzebowała dziś czegoś dobrego. Musiałem sprawić, by się uśmiechnęła.

– O Boże – usłyszałem. Lucy brzmiała na przerażoną. Kiedy wszedłem do salonu, od razu zorientowałem się dlaczego.

– Jane – mruknąłem, patrząc na kobietę stojącą w drzwiach z pluszowym miśkiem w jednej ręce i prezentem w drugiej. – Co ty tu, u diabła, robisz?

Rozchyliła usta, by wyjaśnić, ale ponownie spojrzała na Lucy.

– Co ty tu robisz? – zapytała ostro siostrę. – Dlaczego, u licha, widzę cię tutaj?

– Ja... – zaczęła Lucy, ale widziałem, że była zbyt roztrzęsiona, by wydusić coś z siebie.

– Jane, co tu robisz? – ponowiłem pytanie.

– Ja... – Głos jej zadrżał zupełnie jak wcześniej Lucy. – Chciałam zobaczyć się ze swoją córeczką.

– Swoją córeczką? – prychnąłem, porażony, że miała czelność przychodzić do mojego domu i używać tych właśnie słów.

– Ja... Możemy porozmawiać, Grahamie? – zapytała Jane. Ponownie spojrzała na Lucy i zmrużyła oczy. – Sami?

– Wszystko, co chcesz powiedzieć, możesz powiedzieć przy Lucille – odparłem.

Poobijane serce Lucy właśnie dostało kolejnego kopniaka.

– Nie, nie trzeba. Pójdę sobie. I tak zapewne powinnam popracować w kwiaciarni. Wezmę tylko kurtkę.

Kiedy przeszła obok mnie, złapałem ją lekko za rękę i szepnąłem:

– Nie musisz wychodzić.

Powoli skinęła głową.

– Myślę, że lepiej będzie, gdy porozmawiacie w cztery oczy. Nie chcę powodować większych problemów.

Ścisnęła lekko moją dłoń, po czym mnie puściła. Wzięła kurtkę i bez słowa wyszła z domu, który od razu został wypełniony przez mrok.

– Czego chcesz, Jane?

– Minęło dwanaście miesięcy, Grahamie. Chcę ją zobaczyć.

– Dlaczego sądzisz, że masz do tego prawo? Porzuciłaś ją.

– Byłam przerażona.

– Byłaś egoistką.

Skrzywiła się i przestąpiła z nogi na nogę.

– Mimo to musisz pozwolić mi ją zobaczyć. Jako jej matka zasługuję na to. Mam do tego prawo.

– Matka? – syknąłem z niesmakiem. Urodzenie dziecka nie oznaczało bycia matką. Kobieta stawiała się nią, wstając w nocy, by nakarmić dziecko, śpiąc przy jego łóżeczku, by doglądać go w chorobie i by patrzeć, jak oddycha. Gdyby Jane była matką, wiedziałaby, że Talon nie znosiła miśków. Gdyby była matką, zostałaby z córką.

Jane nie była nią ani przez chwilę.

Była obcą osobą dla mojego dziecka. Obcą w moim domu.

Obcą dla mnie.

– Odejdź – odparłem, nie mogąc pogodzić się z faktem, że wierzyła, iż w dowolnym momencie może wrócić do naszego życia.

– Sypiasz z Lucy? – zapytała, całkowicie zbijając mnie z tropu.

– Słucham? – Ścisnął mi się żołądek, a złość podeszła do gardła. – Porzuciłaś córkę prawie rok temu. Uciekłaś, zostawiając tylko kartkę z bzdurami. Ani razu nie zadzwoniłaś. Mimo to uważasz, że masz prawo pytać mnie o coś takiego? Nie, Jane. Nie będziesz mnie o to pytać.

Wyprostowała się. Choć stała niezachwianie nawet w szpilkach, głos jej drżał.

– Nie chcę, by zbliżała się do mojego dziecka.

Podszedłem do drzwi frontowych i je otworzyłem.

– Żegnaj, Jane.

– Jestem twoją żoną, Grahamie. Lucy nie powinna zbliżać się do Talon. Jest toksyczna. Zasługuję...

– Na nic nie zasługujesz! – zagrzmiałem. W moim głosie można było wyczuć panikę, gniew i niesmak. – Na nic! – Przekroczyła granicę, nazywając się żoną. Przekroczyła ją, wyrażając się źle o Lucy, która została z Talon. Przekroczyła ją, mówiąc, jak powinienem wychowywać dziecko. – Odejdź! – krzyknąłem, ale gdy to zrobiłem, Talon zaczęła płakać, więc przełknąłem z trudem ślinę.

Dorastałem w domu pełnym krzyków, więc nie chciałem tego samego dla córeczki. Ściszyłem głos. – Proszę, Jane. Po prostu odejdz.

Wyszła, ale zrobiła to z podniesioną głową.

– Przemyśl swój następny krok, Grahamie. Jeśli zatrzaśniesz mi drzwi przed nosem, zmusisz mnie do walki. Jeśli je zamkniesz, wypowiesz mi wojnę.

Odparłem bez wahania:

– Moi prawnicy skontaktują się z twoimi.

I trzasnąłem drzwiami.

## ROZDZIAŁ 28

### LUCY

– Lyric wróciła do miasta – powiedziałam, wpadając do Ogrodów Moneta, gdzie Mari zmieniała dekorację na wystawie.

Spojrzała na mnie i skinęła lekko głową.

– Tak, wiem.

– Co? – zapytałam zdziwiona. – Kiedy się dowiedziałas?

– Widziałam się z nią dwa dni temu. Przyszła do naszego domu, by porozmawiać – przyznała to z takim spokojem i łatwością, że aż mnie zatkało. Kto uprowadził moją siostrę, moją ulubioną osobę i zamienił na tę tutaj?

Co się stało z moją Mari?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – dociekałam z bólem w piersi, bo pękało mi serce. – Widziałyśmy się wczoraj.

– Miałam o tym wspomnieć, ale nasza ostatnia rozmowa nie poszła najlepiej. Uciekłaś stąd – odparła, biorąc wazon, który następnie postawiła pod oknem. – I co niby zmienia jej powrót? Wróciła do swojej rodziny, Lucy.

– Porzuciła ją wiele miesięcy temu. Zostawiła noworodka na oddziale intensywnej terapii, bo była egoistką. Nie uważasz, że nie powinna wracać do Grahama? Do Talon?

– Tak naprawdę nie powinnyśmy się mieszać, Lucy. To nie nasza sprawa.

Serce pękało mi jeszcze bardziej, a Mari zachowywała się, jakby nic ją to nie obchodziło.

– Ale...

Mari wzięła głęboki wdech, skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła na mnie.

– Musimy porozmawiać o interesach. Wydawało mi się, że rozmowa ta będzie mogła poczekać, ale pojawiłaś się, więc równie dobrze teraz możemy omówić kilka spraw.

– Jakich spraw? – zapytałam zdezorientowana.

– Lyric martwi się o niektóre rzeczy w księgach rachunkowych, a mnie wydaje się, że ma rację. Myślę, że porwałyśmy się z motyką na słońce, zatrudniając Chrissy. Nie zarabiamy tyle, by płacić jej pensję.

– Dlaczego, u licha, rozmawiałaś z Lyric o kwiaciarni? – Mari skrzywiła się, a ja uniosłam brwi. – Czego mi nie mówisz?

– Nie panikuj – powiedziała, a ja oczywiście zaczęłam panikować. – Pamiętasz, jak zaczynałyśmy i nie mogłam dostać pożyczki na wykończenie wszystkiego?

– Mari, powiedziałaś mi wtedy, że bank się jednak zgodził. Powiedziałaś, że po miesiącach starań, w końcu się udało.

Zerwała kontakt wzrokowy i odparła:

– Nie wiedziałam, co zrobić. Byłaś taka szczęśliwa, że wyzdrowiałam, i tak bardzo chciałaś otworzyć ten interes, że nie miałam odwagi wyznać ci prawdy. Wiele dla mnie poświęciłaś, więc chciałam, byś miała tę kwiaciarnię.

– Okłamałaś mnie w sprawie pożyczki? – zapytałam ze ściśniętym sercem. – Poprosiłaś o nią Lyric?

– Przepraszam, Lucy. Bardzo mi przykro. Przy rachunkach za leczenie wiedziałam, że nigdy nie dostanę nic z banku...

– Więc za moimi plecami poprosiłaś o pieniądze Lyric?

– Nie pozwoliłabyś mi na to.

– Oczywiście, że bym ci nie pozwoliła! Myślisz, że dała ci te pieniądze z dobroci serca? Mari, Lyric robi wszystko dla zysku. Jeśli się na coś zdecyduje, oczekuje rekompensaty.

– Nie – zaprzeczyła Mari. – Zrobiła to dla nas, byśmy stanęły na nogi. Nie było haczyków.

– Aż do teraz – prychnęłam, kładąc ręce na biodrach. – Gdybyś

nie pożyczyla od niej, nie miałyby na nas haka i nie byłoby problemu, Mari. A w tej chwili Lyric próbuje ci mówić, jak mamy prowadzić naszą kwiaciarnię. Mogłyśmy pracować jeszcze intensywniej, w końcu dostałybyśmy tę pożyczkę z banku. Udałoby nam się, ale teraz Lyric chce zniszczyć wszystko, co zbudowałyśmy, tylko dlatego, że zaufałaś wężowi. Musimy zerwać tę umowę.

– Nie możemy – powiedziała stanowczo. – Rozmawiałam o wszystkim z Parkerem, a on uważa, że...

Prychnęłam.

– Dlaczego ma mnie obchodzić jego zdanie? To nie jest jego sprawa.

– To mój mąż. Jego opinia jest dla mnie ważna.

– Nie rozumiem dlaczego. Porzucił cię, kiedy najbardziej go potrzebowałaś. To ja przy tobie zostałam, pamiętasz? To ja posklejałam cię kawałek po kawałku, gdy on cię roztrzaskał.

– No i co z tego? – zapytała.

– Co z tego? – powtórzyłam z niesmakiem. – Przynajmniej to, że powinnaś ufać mnie zamiast jemu.

Przytaknęła powoli.

– Przewidział, że to powiesz.

– Słucham?

– Przewidział, że wypomnisz mi chorobę, że uczepisz się tego, że jako jedyna mi pomagałaś. Parker popełnił błąd, a patrząc na ostatnie miesiące twojego życia, chyba z pierwszej ręki wiesz, jak to jest.

– To niesprawiedliwe, Mari.

– Nie, ale wiesz, co jeszcze jest niesprawiedliwe? Wypominanie mi każdego dnia, że zostałam. Przypominanie mi za każdym razem, gdy próbuję coś czuć, że to właśnie ty pomagałaś mi w chorobie. No i co, teraz jestem twoją dłużniczką aż do śmierci? Nie mogę żyć, jak mi się podoba?

– Uważasz, że praca pod zarządem Lyric będzie życiem wedle twojej woli? Doszło do tego wszystkiego tylko dlatego, że Lyric musi wszystko kontrolować.

– Nie, doszło do tego, ponieważ spałaś z mężem własnej siostry.

– Co? – szepnęłam zszokowana jej słowami wypowiedzianymi bez wysiłku. Stałam przez chwilę oszołomiona, czekając, aż przeprosi, aż zmięknie jej zimne spojrzenie, aż znów stanie się moją przyjaciółką, aż wróci do mnie moja Jeżynka. – Przepróś – powiedziałam cicho, ale tego nie zrobiła.

Była skazona miłością – tą samą, która ją niegdyś zniszczyła.

Zdumiewające jak miłość mogła niekiedy szkodzić.

– Słuchaj, Parker uważa... – umilkła i przełknęła z trudem ślinę. – Oboje z Parkerem uważamy, że przejęcie przez Lyric kontroli nad kwiaciarnią nie zaszkodzi naszym interesom. Lyric jest biznesmenką. Zna prawo i pomoże wyprowadzić nam wszystko na prostą. Chce dla nas jak najlepiej. Jest naszą siostrą.

– Jest twoją siostrą – poprawiłam. – Jest twoją siostrą, a kwiaciarnia należy do niej i do ciebie. Ja nie chcę mieć z nią już nic wspólnego. Nie chcę mieć nic wspólnego również z wami. Nie trudź się zwalnianiem Chrissy. Odchodzę.

Poszłam na zaplecze, pozbierałam rzeczy, wrzucając je do kartonowego pudła. Kiedy wróciłam, odpięłam klucze do kwiaciarni i położyłam je na ladzie.

Spojrzenie Mari wciąż było chłodne, wiedziałam więc, że siostra nie zmieni zdania. Ja również nie zamierzałam zmienić swojego, ale przed wyjściem musiałam wyznać ostateczną prawdę – nawet jeśli siostra miała pomyśleć, że to kłamstwa.

– Zawiodą cię, Mari. Wykorzystają twoje zaufanie i cię skrzywdzą. Chociaż tym razem stanie się to za sprawą twojej decyzji. Masz wolną wolę, możesz mierzyć się z diabłem, ale nie przychodź do mnie później z płaczem, kiedy się przy tym poparzysz.

– Wiem, co robię, Lucy. Nie jestem głupia.

– Nie – zgodziłam się. – Nie jesteś głupia. Jesteś zbyt ufna, co jest milion razy gorsze. – Przełknęłam łzy, które groziły potokiem. – A tak dla jasności, nigdy z nim nie spałam. Kocham go całym sercem. Kocham, ponieważ on kocha mnie po cichu, ale nigdy ze sobą nie spaliśmy, ponieważ nie byłabym w stanie zrobić czegoś takiego własnej siostrze. W tej chwili jednak dostrzegam prawdę. Prawdę tego, że siostrą nie jest się dzięki więzom krwi. Siostrą jest

się dzięki bezwarunkowej miłości. Lyric nigdy nie była moją siostrą i nigdy nią nie będzie. – Zdjęłam zawieszkę w kształcie serca i włożyłam Mari w dłoń. – Ale ty jesteś moim sercem, Mari, i wiem, że ja jestem twoim, więc kiedy cię skrzywdzą, znajdź mnie. Znajdź mnie, a ja znów posklejam twoje serce, po czym może pomożesz mi naprawić pęknięcia w moim własnym.

\*\*\*

– Hej, gdzie się podziewałaś? Dzwoniłem do ciebie, ale połączenie od razu przekierowywane było na pocztę głosową – powiedział Graham, trzymając Talon na rękach, gdy wyczerpana stanęłam na jego ganku. W jego oczach widać było troskę oraz wyrzuty sumienia. – Dobrze się czujesz?

Przytaknęłam powoli i weszłam do foyer.

– Tak. Pojechałam do kwaciarni i znów pokłóciłam się z Mari, następnie biegałam, by uporządkować myśli, a gdy padła mi bateria w telefonie, przypomniałam sobie, że ładowarkę zostawiłam u ciebie, więc właśnie po nią przyjechałam. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. – Wymijając go, zamrugałam kilkakrotnie, próbując ukryć emocje.

– Oczywiście, że nie, ale się martwiłem. – Wpatrywał się we mnie intensywnie. Jego troska się nie zmniejszyła, ale udawałam, że tego nie widzę. Weszłam do pokoju Talon, gdzie zostawiłam ładowarkę.

Moje serce galopowało jak szalone, gdy próbowałam się nie załamać. Po kłótni z Mari nadal miałam chaos w głowie. Czułam, jakby moją ulubioną osobę na świecie ktoś odurzył i kontrolował za pomocą nienawiści i dezorientacji, mimo to siostra wmawiała mi, że jej poczynaniami kierowała miłość.

Serce bolało mnie na widok przyjaciółki, która zmierzała do autodestrukcji.

– Lucille – powiedział Graham, idąc za mną.

Zamrugałam.

*Och, Grahamie...*

Jego kojący głos był jak plaster na moją skołataną duszę.

– Nic mi nie jest – odparłam, przechodząc obok niego



z ładowarką. Unikałam patrzenia mu w oczy, ponieważ poddałabym mu się, a nie mogłam tego uczynić. Może Mari miała rację, może moja miłość do tego mężczyzny była zła.

Gdyby tylko miłość przychodziła o odpowiednim czasie i z właściwymi instrukcjami. Gdybym je miała, zakochałabym się w nim we właściwym momencie. Gdyby miłość miała wycucie czasu, Graham Russell od zawsze gościłby w moim sercu.

– Na kilka dni zamieszkałam w hotelu. Po powrocie Lyric chyba nie powinnam tu zostawać. Pozbieram swoje rzeczy.

– To niedorzeczne – powiedział. – Zostaniesz ze mną. To twój dom.

*Dom.*

Gdyby Graham mnie znał, wiedziałby, że przez całe moje życie dom był ruchomy. Nigdzie nie zapuściłam korzeni, a kiedy przychodził czas, by się przeprowadzić, należało to uczynić.

Nawet jeśli tym razem miałam zostawić za sobą swoje serce.

– Nie, serio, w porządku – stwierdziłam, wciąż nie patrząc mu w oczy. Nie chciałam się załamać, nie przed Grahamem. Czekałam, aż znajdę się w hotelu, by dopiero tam się rozplakać.

*Odczuwaj mniej, Lucy. Czuj mniej.*

Ale było to niemożliwe, gdy niewielka rączka złapała mnie za koszulkę.

– Lulu – powiedziała Talon, a ja spojrzałam na nią. Miała najbardziej promienny uśmiech i najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Och, ta jej minka sprawiła, że urosło mi serce. – Lulu – powtórzyła, wyciągając do mnie rączki.

Wzruszyłam się, choć nie chciałam do tego dopuścić.

– Cześć, kochanie – powiedziałam, biorąc ją od Grahama. Wiedziałam, że to nie w porządku, wiedziałam, że nie była moja, ale ta mała dziewczynka zmieniła mnie na więcej niż milion sposobów. Nigdy nie patrzyła na mnie z naganą z powodu popełnianych błędów. Nigdy się ode mnie nie odwróciła. Kochała mnie bezwarunkowo, szczerze i w pełni. Gdy tuliłam ją mocno, zaczęłam się trząść. Ciężała mi myśl, że mogłabym się obudzić, nie słysząc głosu tego dziecka. Miażdżyła mnie świadomość, że rok

spędzony z Grahamem i z Talon miał się nigdy nie powtórzyć.

Tak, Talon nie była moja, ale ja byłem jej. Całym sercem kochałem to dzieciątko. Oddałabym jej, jak i jej tacie, cały świat.

Nie umiałam zapanować nad drżeniem, nie zdołałam powstrzymać łez, które zmoczyły mi policzki. Nie potrafiłam zmienić tego, kim byłam – dziewczyną, która wszystko odczuwała. W tej chwili mój świat się rozpadał.

Tuliłam do siebie małą, płacząc w jej koszulkę i powtarzając jakieś przypadkowe słowa. Zacisnęłam mocno powieki, szlochając przy tej cudownej duszyczce.

To właśnie przy niej się zakochałam.

Poczułam się szczęśliwa.

Poczułam się kochana.

Poczułam się częścią czegoś większego.

A teraz zostałam zmuszona odejść. Poczułam rękę na moich plecach, więc przysunęłam się, łaknąc dotyku Grahama, który stał za mną niczym solidne drzewo w lesie. Pochylił głowę, aż jego wargi znalazły się przy moim uchu. Kiedy słowa wypływały z jego ust i dotarły do mojego wnętrza, przypomniałam sobie, dlaczego tak bardzo się w nim zakochałam. Gdy się odezwał, jego słowa posiadały moją duszę.

– Jeśli musisz upaść, upadnij na mnie.

## ROZDZIAŁ 29

### GRAHAM

Jane przyjechała następnego dnia, jakby miała prawo wpadać, kiedy jej się żywnie spodoba. Nie znośm nie wiedzieć, co kombinowała. Nie podobał mi się również niepokój, jaki wywołał we mnie jej powrót.

Wiedziałem, że była zdolna do wszystkiego, ale najbardziej obawiałem się tego, że spróbuje odebrać mi Talon. Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że była inteligentna i przebiegła. Nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać, co powodowało, że miałem gęsią skórę.

– Jest tutaj? – zapytała Jane, wchodząc do foyer i rozglądając się pilnie, na co przewróciłem oczami.

– Nie ma jej.

– To dobrze. – Skinęła głową.

– Poszła z Talon na spacer.

– Co?! – wykrzyknęła zszokowana. – Mówiłam, że nie życzę sobie, by znajdowała się w pobliżu mojego dziecka.

– A ja powiedziałem ci, że nie masz w tej kwestii nic do gadania. Po co właściwie wróciłaś, Jane? Czego chcesz?

Spojrzała mi w twarz. Była całkowitym przeciwieństwem swojej siostry. W jej oczach nie było światła, w ciemnych źrenicach nie odbijało się serce, jednak gdy się odezwała, jej głos był łagodny jak nigdy wcześniej.

– Chcę odzyskać rodzinę – szepnęła. – Chcę być obecna w życiu

zarówno twoim, jak i Talon.

Nie wierzyłem w tak wielki tupet – jak mogła sądzić, że ot tak do nas wróci, jakby nie zrobiła sobie od nas rocznych wakacji?

– To niemożliwe – odparłem.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Możliwe. Wiem, że odchodząc, popełniłam błąd, ale chcę go naprawić. Chcę na stałe uczestniczyć w jej życiu. Zasługuję na to.

– Na nic nie zasługujesz. Na nic. Miałem nadzieję, że nie spotkamy się w sądzie, ale jeśli tak właśnie ma być, jestem na to gotowy. Nie boję się walczyć o córkę.

– Nie rób tego, Grahamie. Naprawdę tego nie chcę – ostrzegła, ale zupełnie się tym nie przejąłem. – Jestem prawnikiem.

– Więc będę z tobą walczył.

– Wygram – poinformowała mnie. – Odbiorę ci ją. Zabiorę ją z tego domu, by tylko Lucy nie miała z nią kontaktu.

– Dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz? – zapytałem. – Jest najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

– Musisz więc poznać więcej ludzi.

Poczułem ogień w piersi na myśl, że ten potwór miałby odebrać mi dziecko.

– Nie możesz tak po prostu wrócić, postanawiając od teraz być matką. To tak nie działa, nigdy na to nie pozwolę. Nie masz do tego dziecka żadnych praw, Jane. Jesteś dla niego nikim. Nic dla niego nie znaczysz. Jesteś istotą, która porzuciła je z egoizmu. Nie uda ci się mi go odebrać, nawet pomimo tego, że jesteś prawnikiem.

– Odbiorę ci ją – stwierdziła stanowczo. Zauważyłem, że od wstrzymywanego gniewu pulsowała na jej czole żyła. – Nie będę stała z boku, przyglądając się, jak moja córka zmienia jest w osobę, jaką jest Lucy. – Wstrząsnął mną dreszcz. Nie znosiłem, gdy mówiła, jakby Lucy była potworem w naszym życiu. Jakby Lucy nie ocaliła mnie przed samym sobą. Jakby nie była cudem.

– A kim ty jesteś, żeby mówić z kim ma spotykać się Talon? – zapytałem. Moja pierś bolała coraz bardziej, gdy serce przyspieszało.

– Jestem jej matką!

– A ja jestem jej ojcem!

– Nie, nie jesteś! – wykrzyczała ze złością, a jej słowa odbiły się od ścian i uderzyły wprost w moją duszę.

Czułem się, jakby w moim domu wybuchła bomba, wstrząsając fundamentami mojego życia.

– Co? – zapytałem, mrużąc oczy. – Coś ty powiedziała?

– Co? – zapytał głos z boku. W drzwiach stała oszołomiona Lucy z wózkiem, w którym siedziała Talon.

Jane zamarła, jedynie ręce jej się trzęsły. Kiedy popatrzyła na małą, zgarbiła się nieco i widziałem, jak zaczyna pękać jej serce, jednak wcale się tym nie przejąłem. Ani na moment nie wzruszył mnie widok jej udręczonej twarzy. Przejmowałem się jedynie tym, że ta kobieta starała się zniszczyć moją rodzinę.

– Powiedziałam, że nie... – Przełknęła z trudem ślinę, gapiąc się pod nogi.

– Spójrz na mnie – zażądałem dobitnie i głośno. Uniosła głowę i zamrugowała kilkakrotnie, nim ciężko westchnęła. – Powtórz.

– Nie jesteś jej ojcem.

Kłamała.

Była zła.

Była podła.

Była potworem, za jakiego zawsze ją miałem.

– Jak śmiesz tu przychodzić i wygadywać takie kłamstwa, by mi ją odebrać? – szepnąłem ostro, próbując zapanować nad obezwładniającymi mnie emocjami, cieniami, duchami, obawami.

– To nie... – Skrzywiła się i pokręciła głową. – Ja, eee...

– Pora, żebyś wyszła – oznajmiłem stanowczo, ukrywając własny strach. Częściowo jej uwierzyłem. Od zawsze miałem niewielkie przecucie, które próbowałem stłumić. Gdy spoglądałem na Talon, widziałem w niej własne cechy. Widziałem siebie w jej uśmiechu, widziałem moje najlepsze zalety w jej duszy. Była moja, a ja byłem jej.

– Byłeś w trasie, podpisując książki – wyszeptała drżącym głosem. – Ja, eee, byłam chora i pamiętam, że wkurzyłam się, bo wyjechałeś i nawet nie zadzwoniłeś, by sprawdzić, jak się czuję.

Próbowałem wrócić myślami do tamtego okresu, odnaleźć wspomnienia i jakiegokolwiek wskazówki. Talon była wcześniakiem, ale choć sądziłem, że urodziła się w trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży, lekarz stwierdził, że był to dopiero dwudziesty ósmy tydzień, jednak nie przywiązałem wagi do tych słów. Talon była moją córką. Moim dzieckiem. Moim sercem. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, by nie była to prawda.

– Miałaś grypę i w kółko do mnie wydzwaniałaś.

– Chciałam tylko... – urwała, niepewna, co powiedzieć. – On przyjechał, by sprawdzić, jak się czuję.

– Kto przyjechał? – zapytała cicho Lucy.

Jane nie odpowiedziała, ale dokładnie wiedziałem, o kim mówiła. Wielokrotnie mi o tym opowiadała. Jaki to był troskliwy, podczas gdy ja byłem oziębły. Jaki to dla każdego był czuły.

Zawsze pomagał innym, a nigdy bliskim.

– Mój ojciec – oznajmiłem łamiącym się głosem.

Kent Theodore Russell, człowiek, ojciec, bohater.

Diabeł.

W spojrzeniu Talon były cząstki mnie samego, jednak gdy na nią patrzyłem, widziałem też jego. Widziałem go w jej uśmiechu. Widziałem go w jej duszy, a mimo to nie była jego, a on nie był jej.

Choć właśnie tylko tyle wystarczyło, by złamać moją duszę.

– Powinnaś wyjść – powiedziała Lucy do Jane.

Jane wyprostowała się i pokręciła głową.

– Jeśli ktokolwiek powinien stąd wyjść, to ty.

– Nie! – sprzeciwiłem się, nie wiedząc, dlaczego moje serce nadal biło. – Jeśli ktokolwiek powinien wyjść, to ty i to natychmiast.

Jane chciała się kłócić, ale zobaczyła buzujący we mnie ogień. Wiedziała, że jeśli postawi choć jeden krok naprzód, spali się na popiół. Zabrała swoje rzeczy i stwierdziła, że jeszcze tu wróci, po czym wyszła.

Kiedy zniknęła, wziąłem Talon na rękę. Jak mała mogła nie być moim światem?

Była moja, a ja byłem jej.

Byłem jej, a ona była moja.

Ocaliła mnie.

Dała mi powód do życia, a Jane próbowała mi go teraz odebrać.

– Możesz ją popilnować? – poprosiłem Lucy, czując, jak świat wali mi się na głowę.

Kobieta podeszła i zabrała ode mnie dziecko. Położyła też rękę na moim ramieniu, ale ostrożnie ją odsunąłem.

– Mów do mnie – poprosiła.

Pokręciłem głową i wyszedłem bez słowa. Poszedłem do gabinetu, zamknąłem drzwi, usiadłem za biurkiem i zapatrzyłem się na mrugający na ekranie kursor.

Nienawidziłem mojego ojca. Nienawidziłem jego kontroli. Nienawidziłem tego, że nawet po śmierci potrafił zniszczyć mi życie.

## ROZDZIAŁ 30

### ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA

– *To zapewne ty inspirujesz mojego syna przy pisaniu – powiedział Kent, wchodząc do Grahama. Mężczyzna zaraz miał wyjść, by przedstawić Jane profesorowi Oliverowi.*

– *Co ty tu robisz? – zapytał chłodno gospodarz, patrząc surowo na ojca.*

– *To Święto Dziękczynienia, synu. Miałem nadzieję, że spędzimy je razem. Widziałem, że twoja ostatnia książka wspięła się na szczyt list bestsellerów, a przecież nie uczciliśmy jeszcze jej sukcesu. – Kent uśmiechnął się do Jane, która przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, jakby miała przed sobą żywą legendę, a nie potwora. – Graham talent odziedziczył po ojcu.*

– *Nie jestem do ciebie podobny – warknął syn.*

*Kent parsknął śmiechem.*

– *Nie, jesteś bardziej ponury.*

*Jane zachichotała, co doprowadziło Grahama do szału. Denerwował się, bo wszyscy śmiali się w towarzystwie Kenta.*

– *Wychodzimy – oznajmił ojcu, chcąc się go pozbyć.*

– *Zajmę ci niewiele czasu. Słuchaj, wydawca zaproponował, byśmy razem udzielili wywiadu dla ABC News. Uważa, że przyda się to rozwojowi naszych karier.*

– *Nie udzielam wywiadów, a już zwłaszcza nie z tobą...*

*Kent przygryzł wargę i skrzywił się nieznacznie. Był to znak ostrzegawczy, że zaraz się zdenerwuje, ale przez lata nauczył się*



*pilnować przy nieznajomych. Graham jednakże znał tę minę aż za dobrze, wiedział więc, że ojciec kipiał z wściekłości.*

*– Przemyśl to – poleciał z ostrością, która umknęła jednak Jane. Kent uśmiechnął się do niej promiennie. – Jak masz na imię, ślicznotko?*

*– Jane i muszę przyznać, że jestem pana największą fanką – zagruchała.*

*Uśmiech Kenta poszerzył się.*

*– Większą niż mojego syna?*

*Graham się skrzywił.*

*– Wychodzimy.*

*– Dobrze, dobrze. Napisz mi, jeśli zmienisz zdanie. Jane? – Kent wziął ją za rękę i pocałował jej wierzch. – Było mi miło poznać tak piękną kobietę. Mój syn ma wielkie szczęście.*

*Jane zaczerwieniła się i podziękowała za miłe słowa.*

*Zanim się odwrócił, Kent powiódł wzrokiem po sylwetce Jane i odezwał się do Grahama:*

*– Wiem, że nieczęsto się zgadzaliśmy i nie zawsze wszystko się między nami układało, ale chciałbym to naprawić. Uważam, że ten wywiad byłby krokiem w dobrą stronę. Mam nadzieję, że niedługo pozwolisz mi wrócić do twojego życia. Szczęśliwego Świąta Dziękczynienia, synu.*

*Kent odjechał, pozostawiając Grahama i Jane na ganku. Kobieta przestąpiła z nogi na nogę.*

*– Uroczy człowiek – skomentowała.*

*Graham zmarszczył brwi, włożył ręce do kieszeni eleganckich spodni i podszedł do samochodu.*

*– Nic nie wiesz o potworze, o którym teraz mówisz. Prawie wpadłaś w jego sidła.*

*Pospieszyła za nim, próbując nadążyć w szpilkach.*

*– Mimo wszystko był miły – spierała się.*

*Graham nie odpowiedział, ale zdawał sobie sprawę, o czym myślała – sądziła, że Kent był miły, zabawny, czarujący i zupełnie inny od tego, co mówił o nim syn.*

*Kent promieniał światłem, podczas gdy Graham żył w cieniu.*

## ROZDZIAŁ 31

### LUCY

Ukształtowała go. Nie dała mu wyboru, bo kontrolowała jego serce. Graham nie dopuścił do siebie myśli, że nie jest ojcem Talon. Walczył z całych sił, a kiedy poddał się testowi na ojcostwo, wierzyłam, że był przekonany, iż Lyric się myli. Jednak gdy poznał wynik, widziałam, że zgasło w nim światło.

Lyric kazała mu podjąć najważniejszą w życiu decyzję, choć nie było się nad czym zastanawiać. Stwierdziła, że albo przyjmie ją z powrotem do swojego życia i będzie mógł zatrzymać córkę, albo zostanie ze mną, a ona odbierze mu małą.

Byłam przy tym, gdy mu to obwieściła. Stałam przy nim, gdy zniszczyła jego świat. W pełni kontrolowała Grahama, wiedziałam więc, że pozostało mi tylko jedno.

Musiałam się spakować i odejść. Byłam pewna, że muszę to zrobić, zanim Graham wróci do domu. Rozmawiał z prawnikiem całe popołudnie i wiedziałam, że jeśli teraz się nie wyprowadzę, później będzie to zbyt trudne. Nie mógł przecież stracić córki, nie mógł stracić swojej duszy.

Zaczęłam się więc pakować.

\*\*\*

– Co robisz? – zapytał zdezorientowany.

– Grahamie. – Westchnęłam, zobaczywszy go w drzwiach łazienki. Przyglądał mi się karmelowymi oczami, gdy wzięłam ręcznik i się nim owinęłam. – Nie wiedziałam, że wróciłeś.

– Zauważyłem twoje rzeczy we foyer.

– Tak.

– Wyprowadzasz się – stwierdził bez tchu. Golił się wczoraj, a mimo to na jego policzkach widać już było niewielki zarost. Graham zaciskał usta, więc wiedziałam, że zgrzytał zębami. Jego zuchwa zawsze była bardziej kwadratowa, gdy zaciskał tak zęby.

– Uważam, że tak będzie lepiej.

– Naprawdę? – Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Kiedy patrzyliśmy na siebie przez chwilę, otaczał nas jedynie szum płynącej wody.

– Tak – odparłam, choć żołądek mi się skurczył, a serce mocniej zabiło. Spojrzałam na jego dłoń, którą położył na gałce i przekreślił blokadę. Podszedł do mnie powoli, a mnie przeszył dreszcz. – Grahamie, proszę – nalegałam, choć nie miałam pojęcia, czy chciałam, by wyszedł czy żeby został.

– Potrzebuję cię – szepnął. Stał przede mną i patrzył mi w oczy. Choć w ogóle jeszcze mnie nie dotknął, czułam go całego. – Proszę – powiedział, odchylił mi głowę i przygryzł swoją dolną wargę. – Nie zostawiaj mnie. – Położył mi ręce na plecach, a mnie dech uwiązał w gardle. Jego usta znalazły się na mojej szyi, szeptał do mnie pomiędzy pocałunkami. Gdy mnie podniósł, upuściłam ręcznik. – Zostań ze mną. Proszę, Lucy, zostań.

Wiedziałam, jak było mu trudno poprosić, bym została, ale znałam również powody, dla których nie mogłam tego zrobić.

Myśli wirowały w mojej głowie, kiedy przylgnął do mojego ciała i przekroczył krawędź brodzika, sprawiając, że spłynęła po nas woda. Przywarł ustami do mojej piersi, po czym zamknął wargi na sutku i zassał mocno. Mój umysł zasnęła mgła, gdy oparł mnie plecami o ścianę, a jego przemoknięte ubranie przykleiło się do jego skóry.

– Grah... – Kręciło mi się w głowie i zdawało mi się, że zaraz zemdleję, jednak byłam szczęśliwa. Niemal jak naćpana. Przesunął palce po mojej klatce piersiowej i brzuchu, a następnie wsunął je we mnie z potrzebą, pragnieniem, bólem.

– Nie porzucaj mnie, Lucille, proszę. Nie mogę cię stracić –

szeptał do mnie, dopóki moje wargi nie złączyły się z jego językiem. – Potrzebuję cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Muszę cię mieć.

Wszystko przyspieszyło – jego poczynania, palce, język. Natychmiast rozpięłam mu jeansy, opuszczając je na dno brodzika i zaczęłam go głaskać przez przemoknięty materiał bokserek. Kiedy i one zostały zsunięte, Graham zabrał palce i spojrzał mi w oczy.

Podjęliśmy decyzję, dodając ją do listy naszych błędów. Użyliśmy swoich ciał, by się naćpać. Cierpieliśmy, dotykając się, jęcząc, błagając. Uniosłam się do nieba, gdy złapał mnie za pośladki i przycisnął do ściany. Załkałam, kiedy wchodził we mnie centymetr po centymetrze, wypełniając nieopisanym ciepłem. Całował mnie niebiańsko i kochał się ze mną grzesznie. Gdy woda spływała po nas, modliłam się w duchu, by był mój, bym na zawsze i na wieki wieków już z nim została. Serce twierdziło, że będę go kochać po wsze czasy, umysł zaś mówił, że miałam na to tylko kilka chwil i że powinnam cieszyć się każdą, ale przeczucie...

Prieczucie podpowiadało, że musiałam odejść.

Gdy Graham kochał się z każdym centymetrem mojego ciała, poruszał ustami przy moim uchu. Owiał mnie jego ciepły oddech, kiedy powiedział:

– Powietrze nade mną... – Objął dłonią moją pierś i ścisnął sutek. – Ziemia pode mną...

– Grahamie – jęknęłam oszołomiona i dezorientowana, odczuwając wyrzuty sumienia i miłość.

Złapał mnie za włosy i lekko pociągnął, przez co odchyliłam głowę. Dreszcze przebiegły po moich plecach, gdy zaczął ssać skórę na mojej szyi.

– Ogień we mnie... – Wsuwał się we mnie coraz głębiej, kontrolując tempo, poddając się pragnieniu i naszej miłości. Opierał mnie o ścianę, gdy woda ochlapывwała nas, gdy ja jęczałam jego imię, a on szeptał moje tuż przy mojej szyi: – Woda wokół mnie...

– Proszę – błagałam, unosząc się na krawędzi spełnienia, czując zbliżający się koniec naszego błędu. Graham oparł jedną rękę

o ścianę, a drugą otoczył moją talię. Trzymał mnie mocno, każdy jego mięsień napinał się, uwidaczniając się w ostrych liniach. Patrzyliśmy sobie w oczy, gdy moje ciało zaczęło drżeć. Byłam blisko... tak blisko czystej ekstazy, tak blisko naszego pożegnania. – Proszę, Grahamie – mruknęłam, niepewna, czy błagałam, by mnie puścił czy żeby zatrzymał na zawsze.

Przywarł do moich ust, całując mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy nasze języki tańczyły ze sobą, czułam, że pochłania mnie jego ból i jego miłość, i że on też wiedział, jak blisko byliśmy pożegnania. On również próbował trzymać się usilnie tego, co nam się wymykało.

Pocałował mnie na pożegnanie, a ja pocałowałam jego, modląc się o kilka dodatkowych sekund. Pocałował mnie, by dać miłość, a ja pocałowałam go, by dać swoją. Pocałował mnie, by podarować zawsze, a ja pocałowałam go, by podarować na wieki wieków.

Wkrótce po uniesieniu się do nieba spadliśmy na sam dół – jednak uprzednio jego oddech stał się moim powietrzem, jego grunt stał się moją ziemią. Jego płomień rozпалиł mój ogień, a jego pragnienie ukoiliam swoją wodą. A jego duch?

Jego duch napełnił moją duszę.

W końcu przygotowaliśmy się na pożegnanie.

\*\*\*

– Nie sądziłam, że będzie tak trudno – szepnęłam, słysząc kroki Grahama. Stałam w pokoju Talon, która smacznie spała. Myśl, że nie zobaczę, jak dorasta, dostarczyła mi wielkiego bólu.

– Możesz ją obudzić – powiedział Graham, opierając się o futrynę.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jeśli zobaczę jej oczy, nie zdołam stąd wyjść. – Otarłam łzy i wzięłam głęboki wdech, próbując spojrzeć na Grahama. Kiedy na siebie patrzyliśmy, pragnęliśmy pozostać razem i być rodziną, być jednością.

Pragnienia jednak rzadko przeradzały się w rzeczywistość.

– Przyjechała taksówka, ale i tak mogę cię odwieźć na lotnisko – zaoferował.

W końcu podjęłam decyzję i wyjęłam wszystkie pieniądze ze słoików na negatywne myśli, jakie zbierałam przez lata.

Wybierałam się w podróż po Europie, w którą miałyśmy jechać z Mari. Musiałam stąd uciec, musiałam wyjechać jak najdalej, bo wiedziałam, że póki moje serce pozostanie na tym samym kontynencie co Graham, znajdę sposób, by do niego wrócić.

– Nie, nie trzeba, naprawdę. Tak jest łatwiej. – Przyłożyłam sobie palce do ust, pocałowałam je, a następnie umieściłam na czole Talon. – Kocham cię bardziej niż wiatr kocha drzewa, cukiereczku. Zawsze będę przy tobie, nawet jeśli nie zdołasz mnie zobaczyć.

Kiedy podeszłam do Grahama, ten również się zbliżył, jakby miał zamiar mnie objąć, by przejąć mój smutek, ale nie pozwoliłam na to. Wiedziałam, że gdy ponownie znajdę się w jego ramionach, będę błagać, by nigdy mnie nie puścił.

Graham pomógł zanieść mój bagaż do drzwi i włożył go do taksówki.

– Nie chcę się żegnać – powiedział, chwytając mnie za rękę. Uniósł je sobie do ust i pocałował czule. – Nie pożegniam się z tobą. – Puścił mnie i wrócił na ganek, ale gdy podeszłam do samochodu, zawołał mnie. Rozchylił usta i powiedział: – Jaki jest tajemniczy składnik, Lucille?

– Tajemniczy składnik?

– Twojej herbaty. Co do niej dodałaś?

Zmrużyłam oczy i przygryzłam dolną wargę. Ruszyłam w jego kierunku. Im bliżej byłam, tym również on stawiał więcej kroków. Kiedy stanęliśmy naprzeciw siebie, wpatrywałam się w jego karmelowe oczy, których mogłam już nigdy nie zobaczyć. Zapisałam więc sobie ten widok w sercu. Miałam zamiar pamiętać te oczy tak długo, jak najdłużej zdołam.

– Powiedz, co według ciebie do niej dodałam, a ja zdradzę ci tajemnicę tego ostatniego składnika.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Zamknął oczy i zaczął wymieniać:

– Cynamon, imbir, cytryny.

– Tak, tak, tak.

– Chili, cukier, pieprz.

– Mhm – mruknęłam, gdy przeszył mnie dreszcz.

– Mięta. – Kiedy otworzył oczy, spojrzał na mnie, jakby mógł dostrzec element mojej duszy, którego sama jeszcze nie odkryłam.

– Zgadza się – powiedziałam.

Uśmiechnął się, a ja niemal zapłakałam, bo kiedy się uśmiechał, zawsze czułam się jak w domu.

– Więc co jest ostatnim? – zapytał.

Rozejrzałam się, upewniając, czy nikt nie podsłuchuje i przysunęłam się do niego. Moje wargi niemal otarły się o jego ucho.

– Tymianek – powiedziałam. Odsunęłam się i uśmiechnęłam tak, że zmarszczył brwi. – Dodaj odrobinę tymianku.

– Tymianek. – Powoli skinął głową, również się odsuwając.

– Przepraszam panią, ale nie mam całego dnia – zawołał kierowca taksówki.

Skinęłam do niego głową, po czym ponownie spojrzałam na Grahama, który wciąż się we mnie wpatrywał.

– Ostatnie słowa? – zażartowałam zdenerwowana.

Zmrużył oczy i założył mi kosmyk włosów za ucho.

– Jesteś najlepszym człowiekiem spośród najlepszych ludzi.

Przełknęłam z trudem ślinę. Tęskniłam za nim. Tęskniłam tak bardzo, nawet kiedy stał przede mną. Wciąż mogłam go dotknąć, jednak z jakiegoś powodu zdawało mi się, że był coraz dalej.

– Pewnego dnia będziesz zadowolony, że nam nie wyszło – przyrzekłam. – Pewnego dnia obudzisz się z Talon po swojej lewej i z kimś innym po prawej stronie i zdasz sobie sprawę, jak bardzo jesteś szczęśliwy, że nam nie wyszło.

– Pewnego dnia się obudzę – odparł ponuro – a obok mnie będziesz ty.

Położyłam dłoń na jego policzku i pocałowałam go w usta.

– Jesteś najlepszym człowiekiem spośród najlepszych ludzi. – Łza wymknęła mi się z oka. Całowałam go powoli, przeciągając tę chwilę, aż w końcu się odsunęłam. – Kocham cię, Herbatniku Grahamku.

– Kocham cię, Lucille.

Kiedy otworzyłam drzwi i wsiadłam do taksówki, Graham  
zawołał mnie po raz ostatni.

– Tak? – odparłam.

– Czas – powiedział cicho.

– Czas?

Uniósł lewe ramię, ale szybko je opuścił.

– Daj mi trochę czasu.



## ROZDZIAŁ 32

### GRAHAM

Tej nocy obudziłem się ze snu, by znaleźć się w koszmarze.

Lewa strona łóżka była pusta. Lucy siedziała w samolocie, oddalając się ode mnie. Kiedy taksówka odjeżdżała spod domu, musiałem użyć całej swojej silnej woli, by nie błagać dziewczyny, aby została. Musiałem pilnować się też, by grawitacja nie powaliła mnie na kolana. Gdyby Lucy nie odjechała, nigdy bym jej nie puścił. Gdyby została, zacząłbym wszystko od nowa, ucząc się, jak kochać ją jeszcze mocniej. Gdyby została, uniósłbym się do nieba, choć wiedziałem, że nie zostanie – nie mogła zostać. W obecnej sytuacji nie mogłem jej zatrzymać i obdarzyć miłością na jaką zasługiwała.

Była dla mnie wolnością, a ja stanowiłem dla niej klatkę.

Leżałem w łóżku, serce bolało mnie z tęsknoty. Prawie się załamałem. Niemal wyłączyłem wszystkie swoje uczucia, by żyć tak jak wcześniej, przed poznaniem Lucy. Ale wtedy moja piękna córeczka zaczęła płakać, więc pospieszyłem do jej pokoju. Na mój widok mała wyciągnęła rączki i natychmiast umilkła.

– Cześć, kochanie – szepnąłem, gdy wtuliła się we mnie i położyła główkę na mojej piersi.

Zaniosłem ją do swojej sypialni, a chwilę po tym, jak się położyliśmy, zasnęła. Jej pierś unosiła się miarowo, mała cichutko chrapała, zwinięta tuż obok mnie.

Właśnie w tej chwili przypomniałem sobie, że nie mogę się

poddać. Przypomniałem sobie, że nie mogę popaść w mrok samotności – przecież nie byłem sam. Miałem najpiękniejszy cel, by dalej żyć.

Talon była moim zbawieniem, obiecałem więc sobie być jej tatą, a nie tylko ojcem. Każdy mógł być ojcem, ale tylko silny mężczyzna potrafił spełnić się w roli taty. Byłem jej to winny. Zasługiwała, by mieć mnie w pełni.

Gdy przywarła do mnie, śniąc piękne sny, sam pozwoliłem sobie na odpoczynek.

Dziwiło mnie działanie miłości.

Byłem zdumiony, że serce jednocześnie może być złamane, jak i pełne uczucia.

Tej nocy moje największe koszmary wymieszały się z najpiękniejszymi snami. Przytuliłem córeczkę, by przypomnieć sobie dlaczego, podobnie jak słońce, muszę rano wstać.

\*\*\*

W następnym tygodniu Jane przywiozła do domu swoje rzeczy. Rozgościła się w miejscu, w którym nie było dla niej miłości. Zaczęła robić wszystko, jakby cokolwiek wiedziała na ten temat, więc krzywiłem się za każdym razem, gdy brała na ręce Talon.

– Miałam nadzieję, że wybierzemy się we troje na kolację, Grahamie – powiedziała, gdy rozpakowywała walizkę w sypialni. Nie miałem siły, by powiedzieć, żeby wyniosła się z mojego pokoju, ponieważ i tak spałem w pokoju córki. – Byłby to dobry początek pojednania.

– Nie.

Uniosła głowę z niedowierzaniem.

– Co?

– Powiedziałem „nie”.

– Grahamie...

– Chciałbym ci coś wyjaśnić, Jane. Nie wybrałem ciebie. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Możesz mieszkać w moim domu, możesz nosić na rękach moją córkę, ale musisz zrozumieć, że ja cię nie chcę. – Zacisnąłem dłonie w pięści i ściągnąłem brwi. – Wybrałem ją. Wybrałem Talon. Wybierałbym ją w każdej sekundzie mojego

życia, ponieważ jest dla mnie wszystkim. Przestań więc udawać, że będziemy tu żyć długo i szczęśliwie. Nie jesteś moim ostatnim zdaniem, nie jesteś moim ostatnim słowem. Jesteś tylko rozdziałem, który z przyjemnością bym wymazał.

Odwróciłem się i wyszedłem, zostawiając ją oszołomioną, ale miałem to gdzieś. Każdą wolną chwilę zamierzałem spędzać z córką.

Czekając, by pewnego dnia Lucy do nas wróciła.

Ponieważ to właśnie jej przeznaczeniem było zostać moim ostatnim słowem.

\*\*\*

– Nie powinienesz tu przychodzić – powiedziała Mari, gdy wszedłem do Ogrodów Moneta.

Zdjąłem czapkę i skinąłem głową.

– Wiem.

Wyprostowała się i przestąpiła z nogi na nogę.

– Powinienesz wyjść. Nie czuję się dobrze w twoim towarzystwie.

Ponownie skinąłem głową.

– Wiem. – Ale zostałem, ponieważ czasami najodważniejszą rzeczą było pozostanie. – On cię kocha?

– Słucham?

Przycisnąłem czapkę do piersi.

– Pytałem, czy on cię kocha? Ty go kochasz?

– Słuchaj...

– Rozśmiesza cię tak bardzo, że śmiejąc się odrzucasz głowę w tył? Jak wiele macie wspólnych żarcików? Próbuje cię zmienić czy zainspirować? Jesteś dla niego wystarczająco dobra? Czy czujesz się przy nim doceniana? Czy on ci wystarcza? Leżysz niekiedy w łóżku i zastanawiasz się, co tu nadal robisz? – urwałem. – Tęsknisz za nią? Rozśmieszała cię tak bardzo, że odrzucałaś głowę w tył? Ile miałyście wspólnych żarcików? Próbowwała cię zmienić czy cię inspirowała? Byłaś dla niej wystarczająco dobra? Czulaś się przy niej doceniana? Czy ona ci wystarczała? Leżysz niekiedy w łóżku i zastanawiasz się, dlaczego odeszła?

Pod naporem moich pytań niewielka sylwetka Mari zaczęła się trząść. Kobieta rozchyliła usta, ale nie popłynęły z nich żadne słowa.

Nie dawałem za wygraną i ciągnąłem dalej:

– Bycie z kimś nieodpowiednim ze strachu przed samotnością nie jest dobre. Przymierzam, że z nim będziesz jeszcze bardziej samotna, niż gdybyś z nim nie była. Miłość nie odpycha. Miłość nie dusi. Sprawia, że świat kwitnie. Ona mnie tego nauczyła. Nauczyła mnie, jak działa miłość, jestem pewien, że ciebie nauczyła tego samego.

– Grahamie – szepnęła Mari, gdy łzy popłynęły po jej policzkach.

– Nigdy nie kochałem twojej starszej siostry. Przez wiele lat byłem niewrażliwy, a Jane była taką samą niewrażliwą istotą. Ona też nigdy mnie nie kochała, ale Lucille... jest moim światem. Jest wszystkim, czego mi trzeba i kimś, na kogo nie zasługuję. Wiem, że możesz nie zrozumieć, ale poszedłbym na nieskończoną wojnę, gdybym tylko zdołał odzyskać jej uśmiech. Stoję więc w twojej kwiaciarni, Mari, i pytam, czy go kochasz. Jeśli jest wszystkim, czym powinna być dla ciebie miłość, zostań. Jeśli jest on twoją Lucille, nawet na sekundę go nie odstępуй. Ale jeśli nie jest... Jeśli w twojej duszy istnieje choćby jedna cząstka wątpliwości – uciekaj. Chcę, byś pobiegła do siostry. Chcę, byś stanęła ze mną ramieniem w ramieniu i walczyła o osobę, która zawsze zostawała, nawet jeśli nic nam nie była winna. Nie mogę być teraz przy niej, a wiem, że po drugiej stronie świata jej serce jest złamane. Zatem toczę dla niej tę wojnę, przychodząc do ciebie, błagając cię, byś ją wybrała. Ona cię potrzebuje, Mari, i zakładam, że twoje serce również jej potrzebuje.

– Ja... – Zaczęła się załamywać, drżąc coraz bardziej. Na chwilę zakryła usta dłońmi. – Rzeczy, które jej powiedziałam... Sposób, w jaki ją potraktowałam...

– W porządku.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Była moją najlepszą przyjaciółką, a ja odepchnęłam ją i podeptałam jej uczucia. Nie wybrałam jej.

– Popełniłaś błąd.

– Podjęłam decyzję, której mi nigdy nie wybaczysz.

Skrzywiłem się i zmrużyłem oczy.

– Mari, przecież mówimy o Lucille. Ona nie potrafi nie wybaczyć. Wiem, gdzie teraz jest. Pomogę ci się do niej dostać, żebyś zrobiła, co w twojej mocy, aby odzyskać swoją najlepszą przyjaciółkę. Zajmę się wszystkim. Musisz jedynie pobiec.

## ROZDZIAŁ 33

### LUCY

Ogrody Moneta w Giverny były cudowne. Spacerowałam niespiesznie, wdychając woń kwiatów i dzień po dniu rozkoszowałam się ich widokiem. W tych ogrodach czułam się niemal sobą. Otoczenie tak wspaniałego piękna przypominało mi o oczach Talon, o krzywym uśmiechu Grahama, o domu.

Snując się kamienną ścieżką, uśmiechałam się do przechodniów, którzy podziwiali ogrody. Często zastanawiałam się, skąd pochodzili. Co przywiodło ich do miejsca, w którym byli w tej chwili? Jaka była ich historia? Czy kiedykolwiek kochali? Czy pochłoneła ich miłość? Czy ją porzucili?

– Malinko.

Serce ścisnęło mi się, gdy usłyszałam to słowo i gdy poznałam głos. Odwróciłam się zdenerwowana i zobaczyłam przed sobą Mari. Chciałam do niej podejść, ale moje stopy nie mogły się ruszyć. Moje ciało się zbuntowało. Stałam nieruchomo, podobnie jak moja siostra.

– Ja... – zaczęła, ale głos jej się załamał. Przyciskając do piersi dużą kopertę, spróbowała raz jeszcze: – Powiedział mi, że tu jesteś. Powiedział, że przychodzisz tu każdego dnia. Nie wiedziałam tylko, o której godzinie.

Milczałam. W oczach Mari pojawiły się łzy, gdy siostra próbowała wziąć się w garść.

– Przepraszam, Lucy. Przepraszam, że tak się zachowałam.

Przepraszam, że straciłam wiarę. Przepraszam, że się od ciebie odsunęłam. Chcę, byś wiedziała, że odeszłam od Parkera. Którejś nocy leżałam w jego ramionach. Tulił mnie mocno, ale czułam, że się rozpadam. Za każdym razem, gdy mówił, że mnie kocha, czułam, że coraz bardziej tracę samą siebie. Byłam zaślepiona, nie widziałam prawdy, a strach przed samotnością popchnął mnie w objęcia mężczyzny, który w ogóle na mnie nie zasługiwał. Tak bardzo bałam się, że nie będę kochana, że nie martwiłam się, czy sama kocham. I odepchnęłam cię od siebie. Byłaś jedynym stałym punktem w moim życiu, więc nie wierzę, że aż tak mogłam cię skrzywdzić. Jesteś moją przyjaciółką, Lucy, jesteś moim sercem i tak bardzo, bardzo cię przepraszam... – Nie zdołała powiedzieć niczego więcej, ponieważ objęłam ją i przytuliłam. Płakała w moje ramię, a ja ją ścisiskałam. – Przepraszam, Lucy. Za wszystko bardzo przepraszam.

– Ciii... – szepnęłam. – Nawet nie wiesz, jak dobrze cię widzieć, Jeżynko.

Westchnęła z ulgą.

– Nawet nie wiesz, jak dobrze cię widzieć, Malinko.

Pozbierałyśmy się chwilę później, przeszłyśmy jednym z wielu mostków i usiadłyśmy ze skrzyżowanymi nogami na trawie. Mari wręczyła mi dużą kopertę i wzruszyła ramionami.

– Prosił, bym ci to przekazała. Powiedział, żebym nie dała ci wyjść z ogrodu, póki nie przeczytasz do końca.

– Co to takiego?

– Nie wiem – odparła i wstała. – Ale polecił, bym dała ci to przeczytać w samotności. Pozwiedzam ogrody i przyjdę tu za chwilę.

– Dobrze, może być. – Otworzyłam list, w którym znalazłam rękopis zatytułowany *Historia G.M. Russella*. Odetchnęłam głęboko. Była to jego autobiografia.

– Och, Lucy? – zawołała Mari, a ja uniosłam głowę. – Myliłam się co do niego. Kocha cię inspirująco, a ty kochasz go aż do utraty tchu. Jeśli poczuje choćby namiastkę tego, co jest między wami, umrę szczęśliwa.

Kiedy odeszła, zrobiłam głęboki wdech i zaczęłam czytać.  
Przez każdy rozdział przepływałam bez wysiłku, każde zdanie było ważne, każde słowo znaczące.  
Czytałam historię chłopca, który stał się potworem, ale w końcu ponownie nauczył się kochać.  
Aż dotarłam do ostatniego rozdziału.

### ŚLUB

*Dłonie mu się pocily, gdy siostra Karla poprawiała mu krawat. Nie podejrzewał nawet, że podejmując najlepszą decyzję w życiu, mógł aż tak się denerwować. Przez cały czas nie wyobrażał sobie nawet, że się w niej zakocha.*

*W kobiecie, która wszystko odczuwała.*

*W kobiecie, która pokazała mu, jak żyć, jak oddychać, jak kochać.*

*W kobiecie, która stała się jego siłą w mrocznych czasach.*

*Było w niej coś romantycznego, gdy się poruszała, tańczyła na palcach i śmiała się beztrosko, co niekiedy zdawało się niedorzeczne. Było coś prawdziwego w sposobie, w jaki patrzyła na ludzi i w jaki się uśmiechała.*

*Te oczy.*

*Och, mógłby w nie spoglądać do końca życia.*

*Te usta.*

*Och, mógłby je całować do końca swych dni.*

*– Jesteś szczęśliwy, Grahamie? – zapytała jego mama Mary, gdy weszła do pomieszczenia i zobaczyła, że oczy jej syna błyszczą z podekscytowania.*

*Po raz pierwszy od wieków odpowiedź nie sprawiła mu trudności.*

*– Tak.*

*– Gotowy? – dociekała.*

*– Tak.*

*Wzięła go pod rękę, a Karłę pod drugą i powiedziała:*

*– Więc chodźmy po tę dziewczynę.*

*Stanął na końcu nawy, czekając, by dołączyła do niego miłość jego życia, ale najpierw chciał spotkać się z córką.*

*Talon ubrana w zwiewną białą sukienkę przeszła przez kościół,*



rozrzucając płatki kwiatów. Jego aniołek, jego światełko, jego zbawca. Gdy dotarła pod ołtarz, podbiegła do taty, by go przytulić. Wziął ją na ręce, czekając. Czekając, aż do nich dołączy. Czekając, aż na nich spojrzy, a kiedy to się stało, dusza Grahama pozbawiona została tchu.

Była taka piękna, lecz w ogóle go to nie zdziwiło. Wszystko w niej było oszałamiające, prawdziwe, mocne i dobre. Gdy szła ku niemu i ku ich nowemu życiu, zmienił się. W tej właśnie chwili oddał jej całe serce, nawet ze wszystkimi pęknięciami – w końcu to właśnie przez nie sączyło się światło.

Stała obok niego i złączyli swoje dłonie. Kiedy nadszedł czas, rozchylił usta i wypowiedział słowa, o których od dawna marzył:

– Ja, Graham Michael Russell, biorę sobie ciebie, Lucille Hope Palmer, za żonę i z moją pogruchotaną przeszłością, pełną blizn terażniejszością i kompletną przyszłością ślubuję ci całego siebie. Jesteś moim światłem, moją miłością, moim przeznaczeniem. Powietrze nade mną, ziemia pode mną, ogień we mnie, woda wokół mnie. Oddaję ci ducha, oddaję ci siebie.

Następnie w każdy możliwy banalny sposób, w każdym aspekcie istnienia, żyli razem długo i szczęśliwie.

#### KONIEC

Wpatrywałam się w te słowa, a ręce mi się trzęsły i łzy płynęły po policzkach.

– Historia ma szczęśliwe zakończenie – szepnęłam do siebie oszołomiona. Graham nigdy w życiu nie napisał szczęśliwego zakończenia.

Póki nie poznał mnie.

Póki nie był ze mną.

Aż do teraz.

Wstałam i przebiegłam mostkiem, by znaleźć siostrę.

– Mari, musimy wracać.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Miałam nadzieję, że to powiesz. – Zdjęła wisiołek w kształcie serca i założyła mi go na szyję. – Chodźmy – powiedziała cicho. –

Wracajmy do domu.

## ROZDZIAŁ 34

### LUCY

Stałam na ganku Grahama, a serce biło mi jak oszalałe. Nie wiedziałam, co zastanę po drugiej stronie drzwi, ale byłam pewna, że nie ucieknę, cokolwiek by to nie było. Zamierzałam zostać. Zamierzałam zostać już na zawsze.

Zapukałam kilkakrotnie i zadzwoniłam, a następnie czekałam.

I czekałam.

I czekałam.

Kiedy poruszyłam klamką, zdziwiłam się, bo drzwi ustąpiły.

– Halo? – zawołałam.

W środku było ciemno, najwyraźniej Grahama nie było w domu. Spięłam się, gdy usłyszałam kroki. Z sypialni pośpiesznie wyszła Lyric, niosąc dwie walizki. Nie spostrzegła mnie od razu, a kiedy uniosła głowę, w jej oczach zauważyłam panikę.

– Lucy – szepnęła bez tchu. Jej fryzura była nieokiełznana, jak zawsze u mamy, a oczy miała przekrwione. Wiedziałam, że nic nie jestem jej winna. Wiedziałam, że nie muszę nic do niej mówić ani w żaden sposób jej pocieszać.

Ale te jej oczy, te jej przygarbione ramiona...

Niekiedy najbrzydsi ludzie byli też najbardziej załamani.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

Parsknęła drwiąco, gdy łzy spłynęły po jej policzkach.

– Jakby cię to obchodziło.

– Dlaczego uważasz, że cię nienawidzę? – zapytałam. – Dlaczego,

u licha, ty nienawidzisz mnie?

Przestąpiła z nogi na nogę i się wyprostowała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jestem pewna, że wiesz, Lyric. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wydaje mi się, że od zawsze miałaś ze mną problem, który nasilił się po śmierci mamy. Nigdy jednak nie rozumiałam z jakiego powodu. Byłaś dla mnie wzorem. – Prychnęła, nie wierząc mi. – Poważnie.

Rozchyliła usta, ale nie wyszły z nich żadne słowa. Chwilę później je zamknęła i spróbowała raz jeszcze:

– Kochała cię bardziej. Ciebie zawsze kochała bardziej.

– Co? To niedorzeczne. Kochała wszystkie trzy córki tak samo.

– Nie, to nieprawda. Byłaś jej sercem. Zawsze o tobie mówiła, o tym jaka jesteś wolna, jaka jesteś bystra, jaka jesteś niesamowita. Byłaś jej światłem.

– Lyric, ciebie też kochała.

– Zazdrościłam ci. Zazdrościłam ci jej miłości, a kiedy się tu pojawiłaś, on również cię pokochał. Wszyscy zawsze cię kochali, Lucy, a mnie spychali na drugi plan.

– Ja zawsze cię kochałam, Lyric – powiedziałam z bólem.

Parsknęła, nie dowierzając. Nadal płakała i się trzęsła.

– Wiesz, jakie były ostatnie słowa mamy, gdy umierała, a ja trzymałam ją za rękę?

– Jakie?

– „Idź po siostrę” – odparła łamiącym się głosem. – „Przyprowadź Lucy”.

Poczułam, jak te słowa złamały serce mojej siostry i że od tamtej pory nie była w stanie go posklejać.

– Lyric... – zaczęłam, ale pokręciła głową.

– Nie. Skończyłam. Po prostu skończyłam. Nie martw się, możesz mieć swoje życie. Ja do niego nie należę. Nic w tym budynku nie stanowi dla mnie domu.

– Odchodzisz? – zapytałam zdezorientowana. – Graham wie, że odchodzisz?

– Nie.

- Lyric, nie możesz tak po prostu zniknąć. Nie ponownie.
- Dlaczego? Zrobiłam to już raz. Poza tym on mnie tu nie chce, ja też nie planuję zostawać.
- Ale przynajmniej mogłabyś napisać list, jak zrobiłaś to ostatnio – powiedział Graham. Odwróciłyśmy się. Spojrzał mi w oczy, a moje serce przypomniało sobie, jak bić.
- Nie uważałam tego za konieczne – odparła Lyric, zaciskając palce na rączkach walizek.
- Dobrze, ale zanim wyjdiesz, poczekaj chwilę – powiedział Graham, podchodząc do mnie z Talon na rękach. – Lucille – szepnęła, patrząc na mnie z łagodnością, którą widziałam poprzednio.
- Herbatniku Grahamku – odpowiedziałam.
- Możesz ją potrzymać? – zapytał.
- Oczywiście – rzekłam.
- Podał mi dziecko, poszedł do gabinetu, a kiedy wrócił, miał ze sobą jakieś kartki i długopis.
- Co to? – zapytała Lyric, gdy podał jej to wszystko.
- Dokumenty rozwodowe i zrzeczenie się praw rodzicielskich. Nie uciekniesz tym razem, nie załatwiając uprzednio spraw, Jane. Nie wyjdiesz stąd, pozostawiając sobie furtkę, byś mogła wrócić i odebrać mi córkę – powiedział stanowczo, jednak bez złośliwości. Wyłożył kawę na ławę, ale nie był przy tym okrutny.
- Lyric rozchyliła usta, jakby zamierzała się kłócić, lecz gdy spojrzała na Grahama, zrozumiała upomnienie zawarte w jego spojrzeniu. Jego oczy nieustannie przekazywały uczucia. Wyraźnie było widać, że on nie będzie już jej, a Lyric zrozumiała, że nigdy go tak naprawdę nie chciała. Powoli skinęła głową.
- Podpiszę je przy twoim biurku – powiedziała, kierując się do jego gabinetu.
- Kiedy zniknęła za rogiem, widziałam, jak Graham odetchnął z ulgą.
- Dobrze się czujesz? – zapytałam.
- Pocałował mnie, by dać znać, że tak.
- Wróciłaś do mnie – szepnęła tuż przy moich ustach.

– Zawsze wrócę.

– Nie – powiedział stanowczo. – Wystarczy, że nigdy nie odejdiesz.

Kiedy Lyric wróciła do salonu, poinformowała nas, że podpisała dokumenty i że nie będzie nas już niepokoić. Gdy wychodziła z domu, zawołałam ją.

– Ostatnie słowa mamy brzmiały: „Zaopiekuj się Lyric i Mari. Zaopiekuj się siostrami. Zadbaj o moją Lyric. Zatrósz się o moją ulubioną melodię”. Byłaś jej ostatnią myślą. Byłaś jej ostatnim oddechem, jej ostatnim słowem.

Łzy po raz kolejny popłynęły po jej policzkach, gdy skinęła głową, dziękując mi za spokój, jaki tylko ja mogłam dać jej duszy. Gdybym wiedziała, jak wielki kamień nosiła na sercu, zdjęłabym go wiele lat temu.

– Zostawiłam Talon prezent – powiedziała. – Pomyślałam, że jej się bardziej przyda. Stoi na szafce nocnej. – Lyric wyszła bez pożegnania.

Kiedy poszliśmy do pokoju małej, złapałam się za serce, gdy zobaczyłam co moja siostra zostawiła swojej córce – maleńką pozytywkę z tańczącą baletnicą, którą niegdyś podarowała jej mama. Na wierzchu leżała kartka. Załkałam, gdy przeczytałam zapisane na niej słowa.

*Zawsze tańcz, Talon.*

## ROZDZIAŁ 35

### LUCY

Nastało Boże Narodzenie, które świętowałam z Grahamem i Talon aż trzykrotnie. Dzień rozpoczęliśmy od picia kawy w ogrodzie, pod drzewem Olliego. Każdego dnia Graham przychodził pod to drzewo, by porozmawiać ze swoim przyjacielem, ze swoim ojcem, opowiadając o rozwoju Talon, o rozwoju naszego związku, o własnym rozwoju. Cieszyłam się z tego – było niemal tak, jakby Ollie mógł żyć wiecznie.

Jego piękne drzewo rosło dumnie dniem i nocą.

Po południu udaliśmy się do Mary, by świętować z rodziną. Mari dołączyła do nas. Śmialiśmy się, płakaliśmy i wspominaliśmy. Pierwsze święta bez ukochanego zawsze były najtrudniejsze, ale w otoczeniu bliskich serce bolało nieco mniej.

Wieczorem spakowaliśmy samochód i pojechaliśmy z Grahamem i Talon pod drzewo mamy. Mari stwierdziła, że dołączy do nas za kilka godzin. Przez całą podróż wpatrywałam się w trzymaną przeze mnie dłoń Grahama, który był moim powietrzem, moim ogniem, moją wodą, moją ziemią i moją duszą.

Nie podejrzewałam, że miłość może być aż tak prawdziwa.

– Robimy to, prawda? – szepnęłam, patrząc na Talon, która spała z tyłu w foteliku. – Kochamy się już na zawsze?

– Na zawsze – przyrzekł, całując grzbiet mojej dłoni. – Na zawsze.

Kiedy podjechaliśmy pod chatę, wszystko pokrywała niewielka warstwa śniegu. Graham wysiadł, wziął nosidełko z Talon

i pospieszył pod drzewo.

– Powinniśmy wejść do środka, jest zimno.

– Powinniśmy się przynajmniej przywitać – powiedział, spoglądając na drzewo. – Możesz podłączyć światło? Obawiam się, że jeśli położę Talon, zaczniesz płakać.

– Oczywiście – odparłam, przechodząc przez chłodny ogród. Kiedy wsadziłam wtyczkę do gniazdka i obróciłam się do drzewa, moje serce ścisnęło się w piersi na widok utworzonych z lampek słów, które na zawsze zmieniły moje życie.

*Wyjdiesz za nas?*

– Grahamie – szepnęłam, drżąc, gdy powoli na niego spojrzałam. Klęczał na jednym kolanie, wyciągając do mnie dłoń z pierścieniem.

– Kocham cię, Lucy – powiedział, po raz pierwszy nie nazywając mnie Lucille. – Kocham twoją otwartość, twoją troskliwość, twoją radość. Kocham twoje serce i to, jak bije dla świata. Zanim cię poznałem, byłem zagubiony, ale dzięki tobie odnalazłem drogę do domu. Dzięki tobie wierzę w przyszłość. Dzięki tobie wierzę w miłość i planuję nigdy nie dać ci odejść. Wyjdź za mnie. Wyjdź za Talon. Wyjdź za nas.

Do oczy napłynęły mi łzy. Uklękłam obok Grahama i wyszeptałam pospiesznie „tak”, które z moich ust popłynęło wprost do jego duszy, a on objął mnie mocno.

Wsunął mi pierścionek na palec i przytulił, a moje serce zabiło radośnie, ponieważ urzeczywistniła się moja największa nadzieja.

W końcu zapuściłam korzenie w ciepłym domu.

– Więc to nasze szczęśliwe zakończenie? – zapytałam cicho, tuż przy jego ustach.

– Nie, kochanie, to nasz pierwszy rozdział.

Kiedy mnie pocałował, mogłabym przysiąc, że w mroku nocy poczułam ciepło słońca.



## EPILOG

### GRAHAM

*Sześć lat później*

– I był twoim przyjacielem, tato? – zapytała Talon, która pomagała mi w ogrodzie. Letnie słońce dotykało promieniami naszych twarzy, gdy zbieraliśmy paprykę i pomidory na obiad.

– Moim najlepszym przyjacielem – odparłem, klęcząc na ziemi. Słoneczniki, które posialiśmy wiosną, były teraz tak duże jak moja córka. Ilekroć owiewał nas wietrzyk, czuliśmy woń kwiatów zasianych przez Lucy.

– Możesz mi znów o nim opowiedzieć? – zapytała, wbijając łopatkę w ziemię. Zerwała papryczkę i wgryzła się w nią jak w jabłko, zupełnie jak robiła jej mama. Gdy nie mogłem znaleźć ich w domu, wiedziałem, że zastaną je w ogrodzie, gdzie jadły ogórki, paprykę czy rabarbar. „Ziemia jest dobra dla duszy” – nieustannie żartowała Lucy.

– Znowu? – zapytałem, unosząc brwi. – Czy nie opowiadałem ci o nim wczoraj przed snem?

– *Maktub* – rzuciła, uśmiechając się przekornie. – Oznacza to „jest napisane”, przez co jeszcze raz powinienesz mi o nim opowiedzieć.

Roześmiałem się.

– Ach tak? – zapytałem, podchodząc do niej i biorąc ją na rękę. Zachichotała.

– Tak!

– No dobrze, skoro tak jest napisane i w ogóle – rzuciłem żartem. Zbliżyłem się do drzewa profesora Olivera, gdzie ustawione zostały trzy krzesła. Dwa większe i jedno mniejsze. Posadziłem Talon na jej miejscu i usiadłem obok.

– Wszystko zaczęło się, gdy na studiach zawałem swoje pierwsze wypracowanie...

Opowiedziałem jej o tym, jak profesor Oliver zawitał do mojego życia i zasiał ziarno w moim sercu, z którego wyrosła miłość. Był moim przyjacielem, ojcem, rodziną. Talon uwielbiała o nim słuchać. Sposób, w jaki uśmiechała się, słuchając uważnie, napełniał mnie miłością. Słuchała podobnie jak Lucy – całą sobą i z iskrą w oczach.

Gdy skończyłem opowiadać, Talon wstała, podeszła do drzewa i jak zawsze przytuliła się do niego.

– Kocham cię, dziadziu – szepnęła do drzewa i pocałowała korę.

– Znowu? – zapytała Lucy, mając na myśli historię profesora. Podeszła do nas, a kiedy usadowiła się na krześle z wielkim brzuchem, westchnęła ciężko, jakby przebiegła właśnie półmaraton.

– Znowu. – Uśmiechnąłem się, po czym przysunąłem się, by pocałować najpierw jej usta, a następnie brzuch.

– Jak tam drzemka, mamó? – zapytała pełna energii Talon. Uwielbiałem patrzeć, jak biega radośnie. Kilka lat temu mieściła się na mojej dłoni i nie byłem wtedy pewien, czy przetrwa, ale w tym momencie była słownikową definicją życia.

– Dobrze – odparła Lucy, ziewając z nieustannego zmęczenia.

W każdej chwili spodziewaliśmy się, że przesypianie nocy się skończy.

Nigdy wcześniej nie byłem bardziej podekscytowany i gotowy na to niż teraz.

– Przynieść ci coś? – zapytałem. – Wody? Soku? Pięciu pizz?

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

– Tylko trochę słońca.

Zostaliśmy w ogrodzie kilka godzin. W gronie rodziny czułem się niesamowicie.

### *Rodzina.*

W jakiś sposób w końcu doczekałem się rodziny. Nigdy nie podejrzewałem, że może do tego dojść – że będę szczęśliwy. Dwie dziewczyny siedzące obok mnie były całym moim światem, a chłopczyk, który wkrótce miał do nas dołączyć, już kontrolował bicie mojego serca.

Kiedy nadeszła pora na przygotowanie obiadu, pomogłem Lucy podnieść się z krzesła. Gdy już stanęła, oboje na chwilę zamarliśmy.

– Mamo? Dlaczego zsikałaś się w majtki? – zapytała Talon, spoglądając na Lucy.

Uniosłem brwi, wiedząc już, co się działo.

– Szpital? – zapytałem.

– Szpital – odparła.

Wszystko było inaczej niż przy narodzinach Talon. Syn przyszedł na świat, ważąc trzy kilo i siedemdziesiąt dwa gramy. Krzyczał wniebogłosy, udowadniając, że ma silne płuca.

Często wspominałem najszcześniejsze chwile, zastanawiając się, jakim cudem mężczyzna jak ja został aż tak pobłogosławiony – kiedy Talon wypisana została z intensywnej terapii, kiedy profesor Oliver nazwał mnie synem, kiedy Lucy po raz pierwszy powiedziała, że mnie kocha, kiedy dostaliśmy dokumenty adopcyjne, stwierdzające, że Talon oficjalnie jest naszą córką, kiedy się pobraliśmy i teraz, kiedy po raz pierwszy trzymałem na rękach wspaniałego syna.

Oliver James Russell.

Zdrobniale Ollie.

Wróciliśmy z nim do domu już dzień później. Gdy Talon miała iść do łóżka, podeszła do braciszka śpiącego na rękach Lucy i pocałowała go w czółko.

– Kocham cię, mały Ollie – szepnęła, a moje serce ponownie urosło. W otoczeniu ukochanych rosło każdego dnia.

Zaniosłem córkę do łóżka, wiedząc, że i tak w środku nocy znajdę ją w naszej sypialni, pomiędzy Lucy a mną. Każdej nocy tuliłem ją i całowałem, bo wiedziałem, że nadejdzie dzień, w którym już do

nas nie przyjdzie. Wiedziałem, że będzie za duża, by być tak blisko z rodzicami, więc ilekroć zakradała się do naszego pokoju, przytulałem ją i dziękowałem światu za córkę, która pokazała mi, jak wygląda prawdziwa miłość.

Ułożyłem ją do snu i wróciłem do pokoju syna. Lucy zasypiała w bujanym fotelu, trzymając Olliego na rękach. Wziąłem go od niej i włożyłem do łóżeczka, uprzednio całując ostrożnie w główkę.

– Czas się położyć – szepnąłem do żony, całując ją w policzek i pomagając wstać.

– Czas się położyć – mruknęła i ziewnęła, gdy pomagałem jej przejść do sypialni. Kiedy odsunąłem kołdrę i pomogłem jej zająć miejsce, położyłem się obok i przytuliłem ją mocno. Jej usta dotknęły mojej szyi.

– Szczęśliwy? – zapytała, ziewając.

Pocałowałem ją w czoło.

– Szczęśliwy – odparłem.

– Kocham cię, Herbatniku Grahamku – powiedziała cicho, nim zasnęła.

– Kocham cię, Lucille – odparłem, ponownie całując ją w czoło.

Kiedy leżałem z nią, rozmyślałem o naszej historii. Lucy znalazła mnie, gdy byłem zagubiony i ocaliła mnie, gdy najbardziej tego potrzebowałem. Zmusiła mnie, bym przestał odpychać od siebie ludzi i udowodniła, że prawdziwa miłość nie istnieje jedynie w bajkach. Nauczyła mnie, że prawdziwa miłość potrzebuje czasu, pracy i komunikacji. Prawdziwa miłość rozkwitała jedynie dla tych, którzy poświęcali czas, by ją pielęgnować, odżywiali ją i dawali jej światło.

Lucille Hope Russell była moją historią miłosną, obiecałem więc sobie, że po wsze czasy ja będę jej.

*Maktub* – wszystko zostało już napisane.

Przeznaczone było nam żyć długo i szczęśliwie, podczas gdy nasze serca unosiły się do gwiazd, a nasze stopy twardo stąpały po ziemi.

## PODZIĘKOWANIA

Napisanie tej książki było dla mnie trudne, ale wiele osób pomogło mi dotrzeć do końca. Była jedna kobieta, która słuchała mnie, gdy się załamywałam, i pomagała mi się pozbierać przy tej historii. Wiele godzin przegadała ze mną przez telefon, a kiedy wymazałam siedemdziesiąt tysięcy słów, trzymała mnie za rękę, mówiąc, że mogę zacząć od nowa i sprawić, by opowieść była jeszcze lepsza. Staci Brillhart – byłaś moją opoką przy pisaniu tej książki. Uziemiałaś mnie, gdy odlatywałam i nie przestałaś być moim aniołem. Miałam naprawdę wielkie szczęście, spotykając kogoś tak cierpliwego i troskliwego. Z całego serca dziękuję Ci, że trzymałaś mnie za rękę i wysłuchiwałaś moich żali. Przyjaciółko, gdybyś mnie potrzebowała, jestem do Twojej dyspozycji, nieważne, czy w dzień czy w nocy. To ty jesteś powodem, dla którego wierzę w dobro tego świata.

Dziękuję Kandi Steiner i Danielle Allen – dwóm kobietom, które sprawiły, że urosło mi serce. Jesteście definicją siły, uroku i lojalności. Dziękuję, że czytałyście fragmenty tej książki, słuchałyście mnie, gdy wpadałam w panikę i nie przestałyście mnie kochać. Jesteście najlepszym, co spotkało mnie przy tej książce. Uwielbiam Was bardziej, niż potrafię to opisać, moje kochane!

Dziękuję mojemu kręgowi kobiet, które podnoszą się nawzajem na duchu i cieszą się z wzajemnych sukcesów – jestem szczęśliwa, mogąc zaznać takiego piękna.

Dziękuję mojej przyjaciółce Samancie Crockett za podsyłanie zachęcających memów, żebym napisała w końcu tę książkę. Dziękuję również za towarzystwo na wycieczkach do Chicago, bym przestała myśleć o pisaniu. I dziękuję za bycie najlepszą przyjaciółką. Zostałam pobłogosławiona Twoją miłością. Nawet jeśli lubisz groszek.

Dziękuję Talon, Marii, Allison, Terze, Alison, Christy, Tammy i Beverly – moim ulubionym konsultantkom za stawiane wyzwania i niedopuszczenie do tego, by moje słowa pozostały „przyzwoite”. Dzięki Wam moja historia jest silniejsza, a dzięki Waszym głosom nauczyłam się, jak odnaleźć własny. „Dziękuję” to niewystarczające słowo, ale ponieważ nie czytacie tych podziękowań w rękopisie, nie możecie podpowiedzieć mi nic lepszego, ha!

Ogromne podziękowania dla redaktorek: Ellie z Love N Books i Caitlin z Editing by C. Marie. Dziękuję za wzięcie na warsztat tego bałaganu i wygładzanie go, dopóki całość nie zaczęła błyszczeć. O, i dziękuję za znoszenie mojego: „Chwila! Tylko coś dodam!”. Boże, ależ jestem irytująca.

Dziękuję Virginii, Emily i Alison – najlepszym korektorkom na świecie, za poprawę dziwnych błędów, szczegółików typu przecinki, które rozrzucam zupełnie dowolnie. Powiedziałabym, że następnym razem się poprawię, ale chyba bym skłamała.

Dziękuję Staci Brillhart – znowu – która zaprojektowała tę niesamowitą okładkę oraz znalazła cudownego fotografa (poważnie, ta kobieta jest jednorożcem!). Dziękuję Arronowi Dunworthowi, cudownemu fotografowi, i Stuartowi Reardonowi – oszałamiającemu modelowi.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom, którzy jakimś cudem nadal mnie lubią, nawet jeśli przez wiele godzin nie wychodzę ze swojej jaskini, pisząc całymi dniami. Dziękuję za wyrozumiałość, gdy czasami zamieram w połowie rozmowy, po czym wyciągam notatnik, by zapisać jakieś ważne słowa, i gdy niekiedy odtwarzam w kółko jedną i tę samą piosenkę, pisząc daną scenę. Dziękuję, że mnie kochacie nawet w dni (dobra, tygodnie), gdy nie ściele łóżka czy nie nakładam makijażu. Życie z takim twórczym zombie musi

być niezręczne, ale i tak przecież mnie kochacie. Dziwaki.

I w końcu dziękuję Tobie, Tobie i Tobie za przeczytanie tej książki. Dziękuję za danie mi szansy. Bez Was – czytelnicy i blogerzy – byłabym jedynie dziewczyną z marzeniami i nieprzeczytanymi powieściami. Zmieniście moje życie. Dziękuję, że z każdą książką zmuszacie mnie, bym była lepsza. Dziękuję, że okazujecie wsparcie, gdy najbardziej go potrzebuję. Dziękuję za wszystkie wiadomości, na które odpowiadam czasami tygodniami (ale przyrzekam, że czytam wszystkie). Dziękuję, że kochacie książki, że poświęćcie czas na ich otwarcie. Będę Was za to kochać po wsze czasy. Jesteście moimi Lucille tego świata. Jesteście moim sercem. Jesteście najlepszymi osobami spośród najlepszych ludzi.

*Maktub.*

## O AUTORCE

Brittainy C. Cherry – autorka bestsellerów, która od zawsze kocha słowa. Ukończyła studia licencjackie ze sztuki teatralnej oraz kurs kreatywnego pisania na Uniwersytecie Carroll. Brittainy wraz z rodziną mieszka w Brookfield w stanie Wisconsin. Kiedy nie załatwia miliona sprawunków i nie pisze książek, zapewne bawi się z ukochanymi zwierzętami lub zwiedza nowe miejsca.

Inne książki Brittainy C. Cherry (wydane nakładem Wydawnictwa Filia):

*Kochając pana Daniela*  
*Art&Soul*

*Powietrze, którym oddycha*  
*Ogień, który ich spala*  
*Woda, która niesie ciszę*

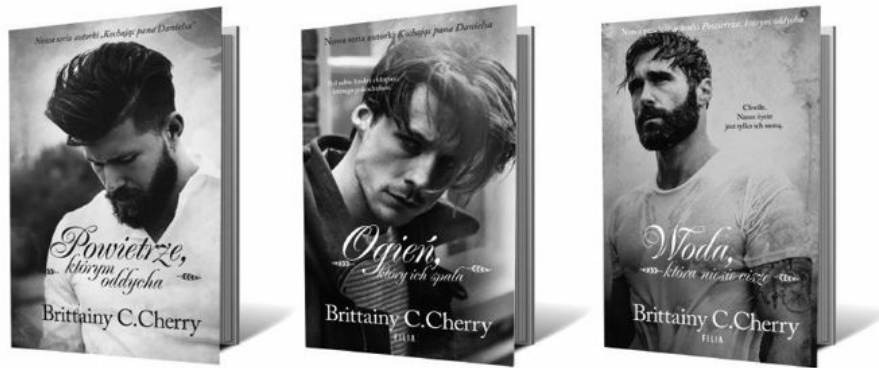
Autorkę znajdziecie na:

[www.facebook.com/BrittainyCherryAuthor](http://www.facebook.com/BrittainyCherryAuthor)

[www.twitter.com/brittainycherry](http://www.twitter.com/brittainycherry)



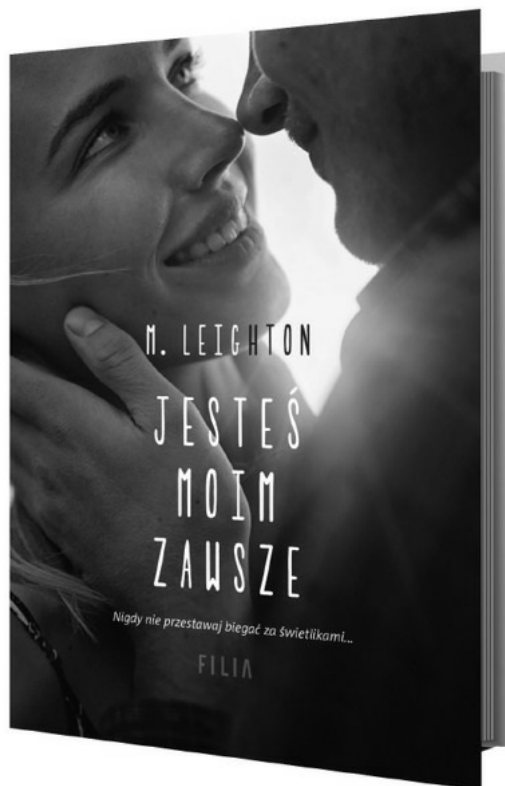
Był sobie kiedyś chłopiec,  
którego pokochałam



---

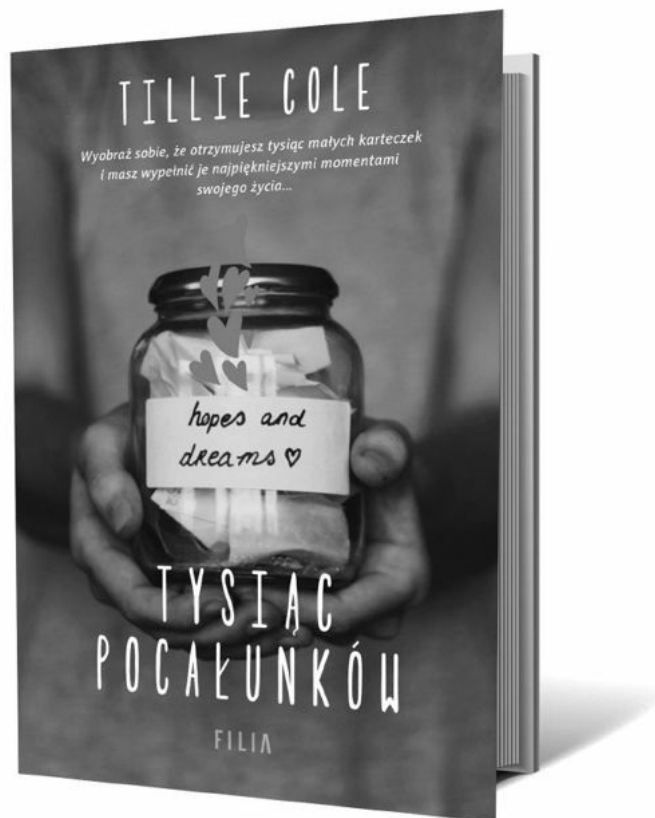
seria  
Żywioty

FILIA



- Dobranoc, księżycu. Gwiazdki, dobranoc – szepczę,  
dotykając palcami niewielkiego okienka.  
– Dobranoc, świetliki, przylećcie znów rano.
- 

**FILIA**



# TYSIĄC POCAŁUNKÓW

---

*Wyobraź sobie, że otrzymujesz tysiąc małych karteczek  
i masz wypełnić je najpiękniejszymi momentami  
swojego życia...*

**FILIA**

# SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[O AUTORCE](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: The Gravity of Us

Copyright © 2017 by Brittainy C. Cherry  
Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Quirky Bird  
Zdjęcie na okładce: Arron Dunworth

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek  
Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-367-9

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

*Nowa powieść autorki Powietrza, którym oddycha*

Przeznaczone  
nam było  
roztrzaskać się  
o skały...

*Sila,  
która ich  
przyciąga*

**Brittainy C. Cherry**